

FANTASTYCZNA PODRÓŻ

*Isaac
Asimov*



ISAAC ASIMOV

FANTASTYCZNA PODRÓŻ

PRZEKŁAD DANUTA KORZIUK

TYTUŁ ORYGINAŁU THE FANTASTIC VOYAGE

Spis treści

[Słowo Wstępne](#)

[Rozdział 1 Samolot](#)

[Rozdział 2 Samochód](#)

[Rozdział 3 Kwatera główna](#)

[Rozdział 4 Odprawa](#)

[Rozdział 5 Łódź podwodna](#)

[Rozdział 6 Miniaturyzacja](#)

[Rozdział 7 Zanurzenie](#)

[Rozdział 8 Wniknięcie](#)

[Rozdział 9 Tętnica](#)

[Rozdział 10 Serce](#)

[Rozdział 11 Kapilara](#)

[Rozdział 12 Płuco](#)

[Rozdział 13 Opłucna](#)

[Rozdział 14 Naczynie limfatyczne](#)

[Rozdział 15 Ucho](#)

[Rozdział 16 Mózg](#)

[Rozdział 17 Skrzep](#)

[Rozdział 18 Oko](#)

SŁOWO WSTĘPNE

Ta historia została wydana w formie książki, na podstawie której nakręcono film. Ma ona kilku autorów, a każdy z nich na swój sposób przyczynił się do powstania jej w obecnej formie. Dla nas wszystkich było to długie i żmudne zadanie oraz wielkie wyzwanie, które przyniosło głęboką satysfakcję i sprawiło wielką przyjemność. Kiedy wraz z Jayem L Bixby napisaliśmy naszą opowieść, nie wiedzieliśmy, do czego to doprowadzi, co się z nią stanie w rękach ludzi o wielkiej wyobraźni i wspaniałym mistrzostwie — Saula Davida, producenta filmowego, Richarda Reischera, reżysera i natchnionego twórcę pełnego fantazji, Harry’ego Kleinera, który napisał scenariusz, Dale’a Henessy’ego, kierownika artystycznego i artysty o głębokim wnętrzu, oraz lekarzy i naukowców, którzy ofiarowali nam wiele swego czasu i pomysłów. I wreszcie Isaaca Asimova, który użyczył swego pióra i wielkiego talentu, by nadać formę i urealnić tę fantasmagorię faktów i fantazji.

Otto Klement

ROZDZIAŁ I

SAMOŁOT

To był stary samolot. Czterosilnikowy plazmowy odrzutowiec wycofany z czynnej służby. Odbywał być może swój ostatni lot, który nie był ani łatwy, ani bezpieczny. Z trudem przebijał się przez kłęby chmur. Podróż miała zająć dwanaście godzin. Odrzutowiec o napędzie rakietowym potrzebowałby tylko pięć. Do celu pozostała jeszcze godzina, może trochę więcej.

W ogromnej kabinie pasażerskiej znajdowało się tylko dwóch mężczyzn. Jednym był agent, który wiedział, że jego odpowiedzialność za drugiego pasażera skończy się, gdy wylądują. Za godzinę. Najdłuższą godzinę w jego życiu. Drugim był niepozorny, drzemiący mężczyzna. Ale w tej chwili to właśnie on był najważniejszym człowiekiem na świecie.

Generał Alan Carter podniósł posępny wzrok na wchodzącego pułkownika. Miał zmęczoną twarz, worki pod oczami i obwisłe kąciki ust. Spinaczowi, którym manipulował, próbował nadać pierwotny kształt, ale ten wyskoczył mu z ręki.

— Tym razem prawie mnie trafiłeś — powiedział pułkownik Donald Reid.

Włosy w kolorze piasku miał gładko zaczesane do tyłu, a krótkie, siwiejące wąsy sterczały jak szczecina. Obaj . zostali przydzieleni do superspecjalnego zadania. Na kieszonkach mundurów mieli naszywki z literami CMDF. Każda litera znajdowała się w sześciokącie, z których dwa były umieszczone wyżej, a trzy poniżej. Środkowy sześciokąt w dolnym rzędzie zawierał symbol, który dodatkowo klasyfikował człowieka. W przypadku Reida był to kaduceusz, oznaka personelu medycznego.

— Zgadnij, co robię? — spytał generał.

— Pstrykasz spinaczami.

— No właśnie. A także liczę godziny. Jak dureń! — Jego głos podniósł się o ton. — Siedzę tu, ręce mam wilgotne, włosy zlepione, serce mi wali i liczę godziny. A teraz już tylko minuty. Siedemdziesiąt dwie minuty, Don. Siedemdziesiąt dwie minuty i wylądują na lotnisku.

— W porządku. Po co wobec tego te nerwy? Czy dzieje się coś złego?

— Nie. Nic. Żadnych problemów. Jak dotąd. Wydostaliśmy go z ich rąk, jeśli mi wiadomo, bez przeszkód. Bezpiecznie dotarł do samolotu, do tego starego...

— Tak. Wiem.

Carter potrząsnął głową. Nie interesowało go, czy mówi coś nowego, interesowała go sama rozmowa.

— Sądziłyśmy, że oni założą, że czas to dla nas sprawa najwyższej wagi, więc wsadzimy go do X-52 i wystrzelimy poprzez wewnętrzną przestrzeń. Tylko że my doszliśmy do wniosku, że oni tak będą sądzić i przygotują szczelny system antyrakietowy...

— Paranoja, tak to się nazywa w moim zawodzie — powiedział Reid. — To, że ktoś mógłby uwierzyć, że oni by tak zrobili. Ryzykowaliby wojnę i unicestwienie?

— Właśnie mogliby zaryzykować, żeby zatrzymać naszą akcję. Gdyby sytuacja była odwrotna, byłbym za podjęciem takiego ryzyka. Jak wiesz, wzięliśmy samolot transportowy, czterosilnikowy, plazmowy odrzutowiec. Ciekaw byłem, czy da radę wystartować. Jest taki stary.

— Przecież dał radę?

— Co, dał radę? — generał otrząsnął się z zamyślenia.

— Wystartować.

— Tak, tak. Lot przebiega normalnie. Dostaję raporty od Granta.

— Kto to taki?

— Agent ochrony. Znam go. Jeszcze nigdy nie zawiódł. Powinienem być spokojny, ale nie mogę opanować nerwów. To Grant przeprowadził całą operację. Wyłuskał Benesa z ich rąk niczym pestkę.

— Więc o co chodzi?

— Wciąż się martwię. Powiadam ci, Reid, że bezpieczeństwo można zachować tylko przez równowagę sił. Oni są tak samo sprytni jak my. Na każdego naszego człowieka umieszczonego u nich, przypada ich człowiek umieszczony u nas. Na każdy nasz fortel odpowiadają fortem. To trwa już od lat. Musieliśmy porwać Benesa, bo inaczej równowaga zostałaby zachwiana. A to mogłoby się skończyć... sam wiesz jak.

— Nie przejmuj się, Al.

— Jak mam się nie przejmować? To, co odkrył Benes, to nowa wiedza, może raz na zawsze położyć kres rywalizacji. Będziemy zwycięzcami.

— Mam nadzieję, że tamci nie myślą tak samo — odrzekł Reid.

— A jeśli myślą... Wiesz, Al, dotychczas istniały reguły tej gry. Żadna ze stron nie dawała drugiej powodu do użycia broni. Ale teraz kiedy szala przechyliła się na naszą stronę, niebezpieczeństwo wzrasta. Nie możemy go za mocno naciskać. Musimy pozostawić sobie jakiś margines... jakieś wyjście. Jeśli on tu dotrze.

— Masz wątpliwości?

Carter podniósł się, jakby chciał rozpocząć spacer bez celu, tam i z powrotem. Wytrzeszczył oczy, po czym raptownie usiadł.

— W porządku, po co się denerwować? Widzę po twoich oczach, doktorze, że chciałbyś dać mi coś na uspokojenie. Nie potrzebuję żadnych uspokajających pigułek. Ale przypuśćmy, że on dotrze tu za siedemdziesiąt dwie... za sześćdziesiąt sześć minut. Przypuśćmy, że wyląduje bezpiecznie na lotnisku. Ale jeszcze trzeba go tutaj przewieźć. Wszystko może się zdarzyć...

— ...między ustami a brzegiem pucharu — wyrecytował Reid. — Na miłość Boską, generale, czy nie powinniśmy być praktyczni i porozmawiać o następstwach? Chodzi mi o to, co się stanie po jego przybyciu tutaj?

— Ależ, Don, poczekajmy z tym, dopóki się tu nie zjawi.

— Ależ, Al — powiedział z przekąsem pułkownik, okazując w ten sposób zdenerwowanie — to nie może czekać, aż on się tu znajdzie. Wtedy będzie za późno.

Będziesz zbyt zajęty, a ja nie uzyskam dostępu do niego. Rzucą się na Benesa spece z Pentagonu. Musimy teraz coś postanowić.

— Obiecuję... — gest generała był niezdecydowany. Reid zignorował to.

— Nie. Nie będziesz w stanie dotrzymać żadnej obietnicy i dobrze o tym wiesz. Dzwon do szefa, dobra? Teraz! Możesz się z nim połączyć. Jesteś jedyną osobą, która potrafi dodzwonić się do niego. Zmusz go, żeby zrozumiał, że CMDF nie służy tylko obronie. Lub, jeśli nie możesz, skontaktuj się z komisarzem Furnaldem. On jest po naszej stronie. Powiedz mu, że odkrycia Benesa są ważne dla nauk biologicznych i medycznych. Przypomnij, że są na to ustawy. Słuchaj, Al, musimy zdobyć te informacje. Wiesz, że mogą one uratować życie wielu ludzi. Skoro Benes tu się znajdzie i obskoczą go prawdziwi generałowie, niech ich diabli wezmą, my zostaniemy na lodzie.

— Nie mogę, Don. I nie zrobię tego. Jeśli chcesz usłyszeć prawdę, nie zrobię nic w tej cholerniej sprawie, dopóki nie będzie tu Benesa. I nie podoba mi się, że próbujesz w takiej chwili coś ode mnie uzyskać.

Usta Reida zbieleły.

— Co mam robić, generale?

— Czekać, tak jak ja czekam. Liczyć minuty.

Reid odwrócił się, by odejść. Doskonale panował nad złością.

— Gdybym był tobą, generale, ponownie rozważyłbym, czy wziąć środek na uspokojenie.

Carter patrzył na wychodzącego. Spojrzał na zegarek.

— Sześćdziesiąt jeden minut! — wymamrotał i machinalnie szukał spinacza.

Po wyjściu od generała Reid wstąpił do gabinetu doktora Michaela, cywilnego szefa Sekcji Medycznej. Wyraz szerokiej twarzy Michaela wahał się zawsze w określonych granicach. Z jednej strony łagodna wesołość połączona z suchym chichotem, z drugiej — chwilowa powaga, która, jak się zdawało, nigdy sama siebie nie brała poważnie.

Michael trzymał w ręku mapę czy coś w tym rodzaju. Dla pułkownika Reida wszystkie te mapy były jednakowe, wszystkie były pogmatwanymi labiryntami, a razem wzięte stanowiły ogromną gmatwaninę, której nie potrafił odczytać.

Od czasu do czasu Michael próbował objaśniać te mapy każdemu, kto przekroczył próg jego gabinetu — był chętny do rozmów na ich temat.

— Do krwioobiegu dodajemy śladowe ilości promieniotwórczych substancji, a organizm, może to być człowiek albo mysz, robi własną fotografię na zasadzie laserowej, która tworzy obraz trójwymiarowy. Proszę spojrzeć — mówił Michael — dostajemy obraz kompletnego układu krążenia w trzech wymiarach, który może być zapisany dwuwymiarowo w tak wielkiej liczbie przekrojów i rzutów, jakiej wymaga dana praca. Można uzyskać przekrój najmniejszej kapilary, jeśli odpowiednio powiększymy obraz. Jestem jak geograf — kontynuował. — Geograf ludzkiego ciała, który nanosi na mapę jego rzeki, zatoki, zatoczki i strumyki, o wiele bardziej skomplikowane niż cokolwiek na Ziemi. Reid spojrział na mapę i spytał:

— Czyje to, Max?

— Nikogo, kogo znasz — Michael odrzucił wykres. — Czekam, to wszystko. Gdy ktoś inny czeka, czyta książkę. Ja czytam układ krwionośny.

— Ty także czekasz, co? Tak jak on. — Reid wskazał głową w kierunku gabinetu Cartera. — Czekasz na to samo?

— Na przybycie Benesa. Oczywiście. Wiesz, jeszcze tak zupełnie w to nie wierzę.

— W co nie wierzysz?

— Nie jestem pewien, czy ten człowiek wie to, o czym mówi, że wie. Jestem fizjologiem a nie fizykiem — Michael wruszył ramionami — wierzę ekspertom. Oni twierdzą że to niemożliwe, mówią że zasada nieoznaczoności czyni to możliwe tylko w bardzo ściśle określonym przedziale czasu. Czy można zakwestionować zasadę nieoznaczoności?

— Ja nie jestem ekspertem, Max, ale ci sami eksperci mówią, że Benes jest w tej dziedzinie najlepszy z nich. Po tamtej stronie właśnie on stanowił przeciwwagę dla naszych uczonych. Teraz nie mają nikogo lepszego, podczas gdy my mamy Zaletsky'ego, Kramera, Richtheima, Lindsaya i całą resztę. I ci nasi najwięksi wierzą że on musiał coś odkryć, jeśli twierdzi, że to zrobił.

— Naprawdę? A może po prostu myślą, że nie możemy pozwolić sobie na nieskorzystanie z takiej szansy? Nawet jeśli okaże się, że on nic nie odkrył wygramy, po prostu przez jego dezercję. Tamci nie będą już korzystać z jego usług.

— Dlaczego miałyby kłamać?

— A czemu nie? — rzekł Michael. — To jego atut. To spowodowało naszą akcję. Myślę, że on chce być tutaj u nas. Jeżeli się okaże, że nie ma niczego nowego, nie odeślemy go z powrotem, prawda? Poza tym, może on rzeczywiście nie kłamać. Może po prostu się myli.

— Hm. — Reid przechylił swoje krzesło do tyłu i położył nogi na biurku. — Trafiłeś w sedno. Jeśli wystrychnie nas na dudka, dobrze tak Carterowi. Dobrze tak nam wszystkim. Przekłęci głupcy!

— Nie uzyskałeś nic od Cartera, co?

— Nic. Niczego nie zrobi do przybycia Benesa. Liczy minuty. Teraz ja też to zrobię. Jeszcze

czterdzieści dwie.

— Do czego?

— Do lądowania samolotu, którym leci Benes. A nauki biologiczne nie dostaną nic. Jeżeli Benes mówi to po to, aby uciec z tamtej strony, nie mamy nic, lecz jeśli rzeczywiście ma powody, jakie podał, nadal nic nie mamy. Armia zachowa wszystkie informacje dla siebie, nie uroni ani kropli. Nie będzie żadnych przecieków.

— Nonsens. Być może na początku naprawdę będą tego strzec, lecz my także mamy swoje sposoby nacisku. Możemy napuścić na nich Duvala, uczciwego bogobojnego Petera.

Wyraz niechęci przemknął przez twarz Reida.

— Z przyjemnością napuściłbym go na wojskowych. Z chęcią napuściłbym go także na Cartera. Jeśli Duval byłby naładowany ujemnie, a Carter dodatnio, i mógłbym ich ze sobą zetknąć, i pozwolić, żeby wytworzyło się między nimi śmiertelne krótkie spięcie...

— Nie bądź taki krwiożerczy, Don. Bierzesz Duvala zbyt serio. Jako chirurg jest artystą, rzeźbiarzem żywej tkanki. Wielki chirurg jest wielkim artystą i posiada temperament wielkiego artysty.

— Dobra, ja też mam temperament, a nie obnoszę się z nim jak z jajkiem. Co daje Duvalowi prawo bycia agresywnym, aroganckim sukinsynem?

— Gdyby tylko miał na to wyłączność, mój pułkownik, byłbym zachwycony. Kłopot w tym, że na tym świecie jest wielu agresywnych, aroganckich sukinsynów.

— Masz rację. Masz rację — mruknął Reid, ale nie dał się ułagodzić. — Trzydzieści siedem minut.

Gdyby ktoś powtórzył doktorowi Peterowi Lawrence'owi Duvalowi jego charakterystykę sformułowaną przez Reida, usłyszaliby tylko krótkie mruknięcie. Taką samą odpowiedź usłyszaliby na pochlebstwa czy miłosne wyznania. Nie dlatego, żeby Duval był niewrażliwy na obelgę i na uwielbienie, on tylko reagował na nie, gdy miał czas, a czas miewał rzadko. To, co zwykle widniało na jego twarzy, nie było nachmurzoną miną, było to raczej ściągnięcie mięśni pod wpływem myśli, ich koncentracja. Przypuszczalnie wszyscy ludzie mają swoje sposoby ucieczki od świata; ucieczką Duwała było skoncentrowanie się na pracy. Ta droga doprowadziła go w czterdziestym piątym roku życia do międzynarodowej sławy chirurga mózgu i sprawiła, że pozostał w stanie starokawalerskim. Nie miał czasu na założenie rodziny. Nawet nie podniósł wzroku znad pomiarów, których dokonywał na leżących przed nim trójwymiarowych zdjęciach rentgenowskich, kiedy otworzyły się drzwi. Jego asystentka weszła bezszelestnie, jak zwykle.

— O co chodzi, panno Peterson? — spytał i jeszcze uważniej wpatrywał się w fotografię. Percepcja głębi była dla oka dość jasna, lecz mierzenie głębi rzeczywistej wymagało subtelnego uwzględnienia kątów i wiedzy o tym, czym ta głębia jest.

Cora Peterson czekała, aż minie chwila dodatkowej koncentracji. Miała lat dwadzieścia pięć, była dokładnie o dwadzieścia lat młodsza od Duwała. Stopień naukowy posiadała dopiero od roku. Poświęciła się pracy z Duvałem. W każdym liście do domu tłumaczyła, że dzień pracy z Duvałem to jak kurs college'u. Studiowanie jego metod, jego technik diagnostycznych, jego posługiwania się fachowym sprzętem, jest ogromnie pouczające. A jego poświęcenie dla pracy i sprawie leczenia mogło być określone jako inspirujące. Była świadoma, zawodową świadomością fizjologa, przyspieszonego bicia serca, kiedy chłoneła wzrokiem płaszczyzny i krzywizny jego twarzy pochylonej nad robotą. Zauważała szybki, pewny, niezachwiany ruch jego ręki. Jej twarz pozostawała kamienna. Cora nie chciała uzewnętrzniać swoich uczuć. Była świadoma swojej urody. Miała ciemne, szczerze, szeroko rozstawione oczy, usta skłonne do śmiechu i nienaganną figurę. Musiała przyznać, że wyrazy uznania dla jej wyglądu sprawiały przyjemność. Chociaż wołała, żeby bardziej ceniono jej intelekt niż figurę. Duval doceniał jej umiejętności i wydawał się nieporuszony jej atrakcyjnością, za co jeszcze bardziej go uwielbiała. Odezwała się wreszcie:

— Benes będzie lądował za niecałe trzydzieści minut, doktorze.

— Hmm... — Podniósł wzrok. — Co pani tu jeszcze robi? Pani dzień pracy się skończył.

Cora mogłaby odpowiedzieć, że jego również, ale dobrze wiedziała, że jego dzień pracy kończył się dopiero wtedy, gdy robota była skończona. Dostyc często pracowali po szesnaście godzin. Miała wrażenie, że on nie uświadamiał sobie upływu czasu.

— Chcę go zobaczyć — powiedziała.

— Kogo?

— Benesa. Czy pana to nie ekscytuje, doktorze?

— Nie. Dlaczego miałoby ekscytować?

— On jest wielkim uczonym. Chodzą słuchy, że posiada ważną informację, która zrewolucjonizuje to, nad czym pracujemy.

— Doprawdy? — Duval podniósł zdjęcie leżące na wierzchu stosu, odłożył je na bok i sięgnął po następne. — Czy ta informacja pomoże pani w pracy z laserem?

— Może ułatwić trafienie w obiekt.

— To już zostało opracowane. Z tego co doda Benes, tylko wojskowi będą mieli jakiś pożytek. Wszystko, co zrobi Benes, przyczyni się do wzrostu prawdopodobieństwa zagłady świata.

— Ależ, doktorze Duval, pan mówił, że rozwój tej techniki może być bardzo ważny dla neurofizjologa.

— Tak mówiłem? No wiec dobrze, mówiłem. Teraz wolałbym, aby pani przyzwicie wypoczęła, panno Peterson. — Znów podniósł wzrok. Czyżby jego głos zmiękł troszeczkę? — Wygląda pani na zmęczoną.

Ręka Cory uniosła się ku włosom. Dziewczyna zrozumiała słowo „zmęczona” jako „rozczochna” — typowo kobieca reakcja.

— Skoro przyjedzie Benes — powiedziała — zrobię to. Obiecuję. Nawiasem mówiąc...

— Tak?

— Będzie pan jutro używał lasera?

— Właśnie usiłuję podjąć decyzję, jeśli mi pani pozwoli, panno Peterson.

— Model sześćdziesiąt jeden, pięćdziesiąt jeden nie może być używany.

Duval odłożył zdjęcie, przechylił się do tyłu.

— Dlaczego nie?

— Nie jest dostatecznie sprawny. Nie mogę go należycie zogniskować. Podejrzewam, że jedna z diod tunelowych jest wadliwa, lecz jeszcze nie zlokalizowałam jej.

— Dobrze. Proszę nastawić taki, który dobrze działa na wypadek, gdybyśmy go potrzebowali i zrobi to pani, zanim pani wyjdzie. Z kolei jutro...

— Z kolei jutro sprawdzę, co jest nie w porządku z 6951.

— Dobrze.

Odwróciła się, by odejść, spojrzała szybko na zegarek i powiedziała:

— Dwadzieścia jeden minut. Mówią, że samolot leci i według rozkładu.

Wydał nieokreślony dźwięk, wiedziała, że nie usłyszał. Wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Kapitan William Owens zagłębił się w miękko wyściełane siedzenie limuzyny. Ze znużeniem potarł swój spiczasty nos i zacisnął szerokie szczęki. Poczul, że samochód unosi się dzięki silnemu odrzutowi sprężonego powietrza i sunie naprzód z doskonałą równowagą. Nie usłyszał głosu turbosilnika, chociaż za jego plecami gryzło wędzidła pięćset koni mechanicznych.

Przez kuloodporne szyby z prawej i lewej strony widział eskortę na motocyklach. Inne samochody jechały przed nim i za nim, ożywiając noc światłami reflektorów. Ta armia strażników sprawiła, że przez chwilę poczul się ważny, ale to nie było dla niego. Nawet dla człowieka, na którego spotkanie wyjechali. Nie dla człowieka jako istoty ludzkiej. Jedynie dla zawartości wielkiego umysłu.

Szef tajnej służby siedział po lewej ręce Owensa. Zasady bezpieczeństwa w tym resorcie polegały na tym, że Owens nie znał nazwiska tego nieokreślonego człowieka, który, od okularów po skromne obuwie, sprawiał wrażenie profesora college'u lub sprzedawcy ze sklepu z galanterią.

— Pułkownik Gander — powiedział Owens, gdy ściskali sobie dłonie przy powitaniu.

— Gander — zabrzmiała cicha odpowiedź. — Dobry wieczór, kapitanie Owens.

Byli już na skraju lotniska. Gdzieś w górze, przed nimi, w odległości z pewnością nie większej niż parę mil, znajdował się samolot przygotowujący się do lądowania.

— Wielki dzień, co? — rzekł Gander cicho. Wszystko, co wiązało się z tym człowiekiem, zdawało się szeptać, nawet nie rzucający się w oczy fason jego cywilnego ubrania.

— Tak — powiedział Owens, usiłując mówić spokojnie. W jego głosie zawsze „brzmiało napięcie, które pasowało do jego wąskiego, ściągniętego nosa, jego oczu i wysokich, wystających kości policzkowych. Czasami mu to przeszkadzało. Ludzie sądzili, że jest nerwusem, ale on taki nie był. W każdym razie nie bardziej niż inni. Z drugiej strony, czasem ludzie ustępowali mu z drogi z powodu brzmienia jego głosu, nawet nie musiał podnosić ręki. Czasami było to użyteczne.

— Dostarczenie go tutaj to prawdziwie mistrzowskie posunięcie — odezwał się Owens. — Trzeba pogratulować służbie.

— To zasługa naszego agenta. To najlepszy człowiek, jakiego mamy. Jego sekret, jak sądzę, polega na tym, że wygląda jak agent.

— Jak wygląda?

— Wysoki. Grał w futbol w college'u. Przystojny. Prostolinijny. Jedno spojrzenie i każdy wróg powiada: tak powinien wyglądać jeden z ich tajnych agentów, więc ten z pewnością nim nie jest. I lekceważą go, zbyt późno stwierdzają, że on jednak jest agentem.

Owens zmarszczył brwi. Czy on mówi serio, czy żartuje? A może chce rozładować napięcie?

— Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że pański udział w tym wszystkim nie jest przypadkowy? — odezwał się Gander. — Rozpozna go pan, prawda?

— Tak — odrzekł Owens i zaśmiał się krótkim, nerwowym, śmiechem. — Spotkałem go kilka razy na konferencjach naukowych po tamtej stronie. Pewnej nocy upiłem się z nim, no, nie upiłem się naprawdę.

Byłem na lekkim rauszu.

— Mówił coś na temat swojej pracy?

— Nie upiłem go po to, żeby go skłonić do zwierzeń na tematy zawodowe. Ale, tak czy owak, nie mówił. Był z nami ktoś jeszcze. Ich naukowcy zawsze są w towarzystwie opiekunów.

— A pan? — Pytanie było bez troskie, intencja nie.

Owens zaśmiał się.

— Proszę mi wierzyć pułkowniku, wiem na czym polega moja służba. Mógłbym rozmawiać z nim cały dzień i to raczej ja wyciągnąłbym coś z niego.

— Mam nadzieję. Podziwiam was, naukowców, kapitanie. Mamy do czynienia z genialnym umysłem zdolnym zmienić oblicze świata i tylko garstka ludzi potrafi to zrozumieć. Jego umysł jest wspaniały. Wielki naukowiec. — W rzeczywistości nie jest tak źle — powiedział Owens. — Jest nas wielu. Oczywiście, istnieje tylko jeden Benes, a mnie całe mile dzieli od jego klasy. Właściwie nie wiem wiele więcej nad to, co potrzeba, by zastosować tę technikę do konstrukcji moich okrętów. To wszystko.

— Ale Benesa pan rozpozna? — szef tajnej służby chciał się upewnić jeszcze raz.

— Nawet gdyby miał brata bliźniaka, a jestem pewien, że go nie ma, poznałbym go.

— To bardzo istotne. Nasz agent, Grant, jest jak powiedziałem dobry, lecz mimo to jestem trochę zaskoczony, że tak gładko dał sobie radę. Zadaję sobie pytanie: czy nie wchodzi tu w grę podwójne przechrztenie? Czy oni nie Spodziewali się, że spróbujemy wydostać Benesa i nie spreparowali Benesa fałszywego?

— Potrafię zorientować się w różnicy — powiedział Owens.

— Nie wie pan, co można dziś zrobić za pomocą chirurgii plastycznej i narkohipnozy.

— Wszystko jedno. Twarz może mnie okpić, ale nie rozmowa. Albo zna technikę — szept Owensa wyraźnie podkreślił to słowo — lepiej niż ja, albo nie jest Benesem, chociaż ma jego wygląd. Możliwe, że oni potrafią podrobić ciało Benesa, lecz nie jego umysł.

Przybyli na lotnisko. Pułkownik Gonder spojrział na zegarek.

— Słyszę samolot. Będzie lądował za parę minut, punktualnie.

Uzbrojeni ludzie i opancerzone pojazdy rozproszyły się, by dołączyć do tych, które już okrążyły lotnisko i zmieniły je w teren szczelnie zamknięty dla wszystkiego, prócz upoważnionego personelu. Ostatnie światła miasta zgasły, sprawiając, że horyzont po lewej stronie stawał się nieco zamazany.

Owens odetchnął z ulgą. Za chwilę zobaczy Benesa. Szczęśliwe zakończenie? Zmarszczył brwi. Czy może być inne? „Szczęśliwe zakończenie!”

ROZDZIAŁ 2

SAMOCHÓD

Grant z ulgą obserwował zbliżające się światła miasta. Samolot rozpoczął długie podchodzenie do lądowania. Nikt nie powiedział mu, dlaczego profesor Benes jest taki ważny z wyjątkiem oczywistego faktu, że jest naukowcem i posiada ważną informację. Powiedzieli, że jest to najważniejszy człowiek na świecie, ale nie wyjaśnili dlaczego. Właściwie nie należał. Ta informacja musiała mieć rzeczywiście ogromną wagę. Uświadomiono mu, że od powodzenia jego zadania zależy dużo; bardzo dużo: bezpieczeństwo jego ojczyzny, a może nawet ludzkości. Wykonał zadanie. Nie udałooby mu się, gdyby nie to, że oni bali się zabić Benesa. W momencie kiedy zdali sobie sprawę, że śmierć naukowca to jedyny sposób, żeby utrzymać dotychczasową równowagę sił między mocarstwami było już za późno. Benes zniknął. A Granta zranił pocisk, dobrze że tylko powierzchownie. Opatrzył ranę na pokładzie samolotu. Pomógł mu w tym Benes.

Teraz gdy opadło napięcie, poczuł się zmęczony, cholernie zmęczony. Dziesięć lat temu, gdy uczęszczał do college'u nazywano go Granitowym Grantem, a on starał się jak głupol zasłużyć na to miano na boisku futbolowym. Rezultatem było złamane ramię. Ale miał przynajmniej dość szczęścia, że zęby i nos pozostały nie uszkodzone. Zachował przez to swoją męską urodę. Uśmiechnął się sam do siebie.

Od tego czasu był przeciwnikiem używania swojego imienia. Przedstawiał się krótkim mruknięciem: Grant. Było to męskie i bardzo mocne. Do diabła z tym. Przekroczył niedawno trzydziestkę. Chyba nadszedł czas, by wrócić do swego imienia. Charles Grant. A może Charlie Grant. Dobry, stary Charlie Grant. Skrzywił się. Musi tak być. Dobry, stary Charlie. To jest to. Dobry, stary, łagodny Charlie, który lubi siedzieć i kołysać się w bujanym fotelu. Cześć, Charlie, jaki ładny dzień. Hej tam, Charlie, wygląda na to, że pada deszcz. Znajdź sobie spokojne zajęcie, dobry, stary Charlie, i zdrzemnij się po drodze do emerytury. Grant spojrział z ukosa na Jana Benesa. Znalazł nawet coś znajomego w zmierzwionej czuprynie posiwiałych włosów, w twarzy, w solidnym, mięsistym nosie, w tych niechlujnych wąsach, także posiwiałych. Karykaturzystom wystarczył jedynie nos i wąsy, lecz były także jego oczy, otoczone delikatnymi zmarszczkami, i pomarszczone czoło. Ubranie Beneśa leżało nie najlepiej, nie było w najlepszym gatunku, ale nie było czasu na zmianę. Uczony dobiegał pięćdziesiątki, ale wyglądał starzej.

Benes, pochylony do przodu, obserwował zbliżające się światła miasta.

— Był pan już tu kiedyś, profesorze? — spytał Grant.

— Nie byłem nigdy w pańskim kraju, czy to miało być podchwytliwe pytanie? — W jego mowie brzmiał obcy akcent.

— Nie, po prostu chciałem nawiązać rozmowę. To nasze drugie co do wielkości miasto. Może je pan sobie obejrzeć. Ja pochodzę z drugiego końca kraju.

— Dla mnie to bez różnicy. Jeden koniec. Drugi koniec. Dopóki tu jestem. To będzie... — nie dokończył zdania, w oczach miał smutek.

Trudno jest się oderwać, pomyślał Grant, nawet kiedy już się podjęło decyzję.

— Nasza w tym głowa, żeby nie miał pan czasu na nostalgiczne rozmyślenia, profesorze. Czeka na pana dużo pracy.

Benes wciąż był smutny.

— Wiem o tym. Spodziewam się tego. To cena, którą płacę, czyż nie?

— Obawiam się, że tak. Wie pan, że kosztował nas pan sporo wysiłku.

Benes położył rękę na rękawie Granta.

— Ryzykował pan życiem. Doceniam to. Mogli pana zabić.

— Płacą mi za ponoszenie ryzyka, nawet za narażanie się na niebezpieczeństwo. Nie tak dobrze, jak za grę na gitarze, rozumie pan, albo za walenie w baseball, ale mniej więcej tyle, ile jest warte moje życie.

— Nie może pan traktować swego życia tak lekko.

— Mogę. Moi szefowie tak robią. Kiedy dolecimy, będzie uścisk dłoni i zakłopotane „Dobra robota!” Wie pan, męska powściągliwość i to wszystko. A potem „A teraz następne zadanie i musimy potrącić ci za ten bandaż, który masz na żebrach. Trzeba liczyć się z kosztami”.

— Pański cynizm nie robi na mnie wrażenia, miody człowieku.

— Muszę być cynikiem, profesorze, inaczej zrezygnowałbym — Grant był zaskoczony goryczą w swoim głosie. — Niech pan zapnie pasy, profesorze. Ta latająca kupa złomu przy lądowaniu może nam spłatać figla.

Wbrew przepowiedni Granta, samolot wylądował gładko. Toczył się przez chwilę. W końcu zatrzymał się.

Nadeszła kolej na tajną służbę. Żołnierze wyskoczyli z wojskowych ciężarówek transportowych, uformowali kordon wokół samolotu, zostawiając korytarz dla zmotoryzowanych schodków, zmierzających ku drzwiom maszyny. Konwój trzech limuzyn zbliżył się do stóp trapu.

— Przesadza pan z tym bezpieczeństwem, pułkowniku — powiedział Owens.

— Lepiej przesadzić niż nie dopilnować — wargi Gondera poruszyły się prawie bezgłośnie w czymś, co zdumiony Owens rozpoznał jako szybką modlitwę.

— Cieszę się, że on tu jest — rzekł Owens.

— Nie tak bardzo, jak ja. Wie pan, że zdarzało się już wysadzanie samolotów w środku lotu. Mamy go teraz na stałym gruncie.

Drzwi samolotu otworzyły się i pojawił się w nich Grant. Rozejrzał się dokoła, pomachał ręką.

— On jest cały — odetchnął Gonder i spytał: — Gdzie jest Benes?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie, Grant stanął bokiem i pozwolił Benesowi precyzyjnie się obok. Przez chwilę Benes stał na szczycie trapu uśmiechając się. W ręku trzymał jedną sfatygowaną walizkę. Ostrożnie zbiegł po schodkach. Grant poszedł w jego ślady. Za nim obaj piloci.

Pułkownik Gonder stał u stóp schodków.

— Profesorze Benes, cieszę się, że jest pan tutaj! Jestem Gonder. Od tej chwili będę czuwał nad pańskim bezpieczeństwem. To jest William Owens. Sądzę, że zna go pan.

Oczy Benesa rozjaśniły się, a jego ramiona uniosły się wysoko, upuścił walizkę. Pułkownik Gonder dyskretnie ją podniósł.

— Owens! Tak, oczywiście. Upiliśmy się razem pewnej nocy. Dobrze to pamiętam. Długa, nudna sesja po południu, gdzie najbardziej interesujące było to, czego nie można było powiedzieć. Owens i ja spotkaliśmy się przy kolacji. Było z nim pięciu jego kolegów, ale tamtych za dobrze nie pamiętam. Owens i ja poszliśmy do małego klubu, z danciem i jazzem, i popijaliśmy. Owens bardzo się zaprzyjaźnił z jedną z dziewczyn. Pamięta pan Jaroslavica, Owens?

— Tego faceta, który był z panem? — zaryzykował Owens.

— Właśnie. Kochał wódkę bez wzajemności. Nie wolno mu było pić. Miał być trzeźwy. To było jego zadanie.

— Żeby pana pilnować? Benes potwierdził skinieniem głowy i śmiertelnie poważnym wysunięciem dolnej wargi.

— Uparcie proponowałem mu drinka. Długo się opierał. Ale w końcu dał się namówić i to na nie jednego. To była z mojej strony nikczemność.

Owens uśmiechnął się i kiwnął głową.

— Chodźmy do limuzyny, profesorze. Jedziemy do kwatery głównej. Będziemy musieli najpierw pokazać pana, niech zobaczą na własne oczy. A, potem, obiecuję, że zanim zadamy panu jakiegokolwiek pytania, będzie pan spał przez dwadzieścia cztery godziny, jeśli pan zechce.

— Będę spał przez szesnaście. Ale najpierw... — rozejrzał się niespokojnie. — Gdzie jest Grant? Ach, tam.

Przeczysnął się w stronę młodego agenta.

— Grant! — wyciągnął rękę. — Do widzenia. Dziękuję. Dziękuję panu bardzo. Zobaczymy się jeszcze, prawda?

— Być może — powiedział Grant. — Jestem człowiekiem, którego łatwo można spotkać. Po

prostu trzeba poszukać najbliższej paskudnej roboty, a ja tam na pewno będę.

— Cieszę się, że wziął pan tę paskudną robotę. Grant zaczerwienił się.

— Ta paskudna robota miała jedną ważną zaletę. Przyjemność, że mogłem pomóc. Mówię poważnie.

— Wiem. Do widzenia! Do widzenia! — Benes pomachał ręką i wycofał się ku limuzynie.

Grant zwrócił się do pułkownika:

— Czy naruszę zasady bezpieczeństwa, jeśli teraz skończę pracę, szefie?

— Ruszaj! A przy okazji, Grant...

— Tak, sir?

— Dobra robota!

— Mówi się bycza zabawa, sir. Za nic innego nie ręczę. — Ironicznie dotknął skroni palcem wskazującym i odszedł.

Zejdź ze sceny, Grant, pomyślał, a potem: na scenę, dobry, stary Charlie?

Pułkownik zwrócił się do Owensa:

— Niech pan siada z Benesem i porozmawia z nim. Ja będę w samochodzie przed wami. A potem, w kwaterze głównej, chcę, żeby był pan gotów potwierdzić lub zaprzeczyć, czy to naprawdę jest Benes. Niczego innego nie żądam.

— Przypomniał sobie ten pijacki epizod — powiedział Owens.

— Właśnie — rzekł pułkownik z rozgoryczeniem. — Przypomniał sobie trochę za szybko i trochę za dobrze. Proszę z nim porozmawiać. Wsiedli i kawalkada ruszyła, nabierając prędkości. Grant przez chwilę patrzył za nią, pomachał na pożegnanie i odszedł. Był teraz wolny. Przynajmniej na jakiś czas. Najpierw spać, spać. A potem... Już wiedział, co zrobi z wolnym czasem.

Kawalkada jechała starannie wytyczoną trasą. Była noc i przejazd nie powinien sprawić problemów. Wzięto pod uwagę wszystkie możliwości. Czy naprawdę wszystkie? Samochody z hałasem jechały pustymi ulicami przez okolice pełne pogrążonych w ciemnościach magazynów. Motocykle z terkotem podskakiwały na przedzie. Pułkownik w pierwszej limuzynie próbował raz jeszcze ocenić, jak tamci zareagują na to udane, mistrzowskie posunięcie.

Sabotaż w kwaterze głównej zawsze był możliwy. Nie potrafił sobie wyobrazić, jakie środki ostrożności można by jeszcze podjąć, ale w jego służbie było pewne, że nigdy żadne środki ostrożności nie są wystarczające.

Światło? Tylko przez moment wydało mu się, że w jednej z ruder, do których się zbliżali, zabłysło i zgasło światło. Jego ręka rzuciła się do telefonu, by zaalarmować motocyklową eskortę. Mówił szybko i gwałtownie. Jadący z tyłu motocykl wystrzelił do przodu. Właśnie w tej chwili, gdzieś na przedzie i nieco z boku, z całą mocą zawył silnik samochodowy (stłumiony i prawie zagłuszony przez zwielokrotniony hałas nadjeżdżającej kawalkady), a sam pojazd wypadł pędem z alei. Przednie światła miał wygaszone. W szoku spowodowanym jego nagłym pojawieniem się, nikt niczego nie zarejestrował. Nikt później nie mógł sobie przypomnieć dokładnego przebiegu wydarzeń. Samochód-pułapka mierzył prosto w limuzynę wiozącą Benesa, ale po drodze napotkał motocykl, nieprzewidzianą przeszkodę. W kraksie, jaka nastąpiła, motocykl został zmasakrowany, a jego kierowca odrzucony na wiele stóp w bok, roztrzaskany i martwy. Auto-pocisk zboczyło z drogi tak, że zaledwie uderzyło w tył limuzyny. Nastąpił wielki karambol. Limuzyna, tracąc panowanie, wyrznięta w słup telefoniczny i szarpnąwszy, zatrzymała się. Samochód-pułapka pozbawiony kontroli trafił w ceglany mur i stanął w płomieniach.

Limuzyna pułkownika zatrzymała się z piskiem. Motocykle warczały, obracając się i kręcąc.

Gonder wyskoczył z auta i podbiegł do rozbitego samochodu szarpiąc za jego drzwiczki.

Owens, zaszokowany, z zaczerwienioną rysą na jednym policzku, zapytał:

— Co się stało?

— Na miłość boską, mniejsza z tym. Co z Benesem?

— Jest ranny.

— Żyje?

— Tak. Proszę mi pomóc.

Razem na pół wynieśli, na pół wyciągnęli Benesa z samochodu. Oczy uczonego były otwarte i szkliste, a on sam wydawał krótkie jęki.

— Jak się pan czuje, profesorze?

— Mocno rąbnął głową w kłamkę drzwi — szeptem powiedział Owens. — Prawdopodobnie to wstrząs mózgu. Ale to jest Benes. To pewne.

— Teraz już to wiemy, ty... — wrzasnął Gonder, z trudem przelękając ostatnie słowo.

Drzwiczki pierwszej limuzyny były otwarte. Razem wnieśli do niej Benesa. Gdzieś nad nimi trzasnął strzał karabinowy. Gonder rzucił się do środka samochodu, zakrywając Benesa własnym ciałem.

— Ruszaj szybko! — ryknął.

Samochód i część motocyklowej eskorty ruszyły w dalszą drogę. Reszta została za nimi. Policjant pobiegł do budynku, skąd rozległ się wystrzał. Gasnące szczątki płonącego samochodu robiły niesamowite wrażenie.

Gonder trzymał na kolanach głowę Benesa. Uczony był już nieprzytomny, jego oddech powolny,

puls słaby. Gonder wpatrywał się żarliwie w profesora, który w każdej chwili mógł umrzeć. Mamrotał do siebie:

— Już prawie byliśmy na miejscu, prawie na miejscu!

ROZDZIAŁ 3

KWATERA GŁÓWNA

Odurzony Grant z trudem uświadomił sobie, że ktoś łomocze do drzwi. Potykając się i zataczając, wynurzył się ze swej sypialni. Szedł w kierunku drzwi wejściowych. Czuł zimno podłogi pod stopami. Nie mógł opanować ziewania.

— Idę!

Czuł się prawie rozbudzony. Chciał się tak czuć. Wykształcił w sobie umiejętność ożywiania się na każdy obcy dźwięk, dzięki swoim zajęciom zawodowym. Nieustanne czuwanie. Zaśnij głęboko, a niech tylko coś zastuka lub zaskrobie gwałtownie budzisz się przytomny. Ale teraz miał czas dla siebie i do diabła z tym.

— Czego?

— Od pułkownika, sir — dobiegło z tamtej strony drzwi. — Proszę natychmiast otworzyć.

Grant już przytomny stanął z boku drzwi, płasko przywarł do ściany. Otworzył je na tyle szeroko, na ile pozwalał łańcuch i powiedział:

— Wsuń swoją kartę identyfikacyjną.

Kartę wepchnięto i zabrał ją do sypialni. Po omacku odszukał swoją torbę i odczepił identyfikator. Umieścił w nim kartę i odczytał wynik na półprzezroczystym ekranie.

Oddał kartę i odczepił łańcuch przygotowany na pojawienie się rewolweru czy jakiejś innej oznaki wrogości. Ale młody człowiek, który wszedł do środka, wyglądał zupełnie niewinnie.

— Musi pan pójść ze mną do kwatery głównej, sir.

— Która godzina?

— Szósta czterdzieści pięć, sir.

— Rano?

— Tak, sir.

— Do cholery, czego chcą ode mnie o tej porze?

— Nie potrafię powiedzieć, sir. Wykonuję rozkazy. Muszę prosić, żeby poszedł pan ze mną. Przykro mi. — Spróbował zażartować. — Mnie samemu nie chciało się wstawać, służba nie drużba, prawda?

— Mogę wziąć prysznic i ogolić się?

— No, cóż...

— Dobrze, czy wobec tego mam czas, aby się ubrać?

— Tak, sir... ale szybko!

Grant poskrobał kciukiem po szczecinie i poczuł zadowolenie, że ogolił się zeszłej nocy.

— Daj mi pięć minut na ubranie się i załatwienie potrzeb. — Już z łazienki zawołał: — O co chodzi, po co mnie wzywają?

— Nie wiem, sir.

— Do jakiej kwatery głównej jedziemy?

— Nie sądzę, żeby...

— Mniejsza z tym.

Hałas spuszczonej wody uniemożliwił na chwilę dalszą rozmowę.

Grant wyszedł z łazienki, czując się jak człowiek tylko na pół cywilizowany.

— Jedziemy do kwatery głównej? Tak powiedziałeś, prawda?

— Tak, sir.

— Dobra, synu — rzekł Grant figlarnie — ale jeśli uznam, że masz zamiar mnie okpić, zabiję cię, rozumiesz?

Samochód się zatrzymał, Grant zmarszczył brwi. Świt był szary i przejmująco wilgotny. Zanosiło się na deszcz, okolica przedstawiała zrujnowany krajobraz składów towarowych, ćwierć mili wcześniej minęli teren otoczony kordonem.

— Co tu się stało? — spytał Grant, ale jego towarzysz milczał. Grant delikatnie położył rękę na kolbie swego rewolweru.

— Lepiej powiedziałbyś mi, o co chodzi.

— : Jesteśmy na miejscu. To jest tajny, wojskowy teren. Nie wygląda na to, ale tak jest. Młody człowiek wysiadł, szofer również.

— Proszę pozostać w samochodzie, panie Grant.

Ci dwaj oddalili się o jakieś sto stóp. Grant ostrożnie rozejrzał się dokoła. Nagle poczuł jakieś szarpnięcie i przez ułamek sekundy stracił równowagę. Odzyskując ją, zaczął otwierać drzwiczki samochodu, ale zawahał się zdumiony. Wokół niego wyrosły w górę gładkie ściany. Minęła chwila, zanim zdał sobie sprawę, że opada wraz z samochodem, że samochód został ustawiony w windzie. Gdy to zrozumiał, było za późno, by próbować się wydostać. W górze pokrywa zamknęła się. Przez chwilę Grant znalazł się w zupełnej ciemności. Włączył przednie światła samochodu, ale nie widział nic, tylko ścianę. Nie mógł nic zrobić, tylko czekać przez nie kończące się trzy minuty. Wreszcie winda zatrzymała się.

Otworzyły się wielkie drzwi. Napięte ciało Granta gotowało się do skoku. Po chwili odprężył się. Czekał na niego dwuosobowy skuter, na siodełku siedział M.P. — najprawdziwszy M.P. w prawdziwym mundurze żandarmerii wojskowej. Na jego hełmie widniały litery CMDF. Na skuterze również. Grant automatycznie podłożył słowa pod te inicjały.

— Centralized Mountain Defence Forces* — wymruczał. — Coastal Marina Department Fisheries*. — Co? — powiedział głośno. — Nie dosłyszałem, co pan powiedział M.P.

— Proszę wsiąść, sir — rzekł M.P., uprzejmie wskazując puste siodełko.

— Niezły lokal tu macie.

— Tak, sir.

— Jakie to duże?

Przejeżdżali przez ogromny, pusty obszar, z ciężarówkami i autami ustawionymi rzędem pod ścianą, wszystkie posiadały oznaczenie CMDF.

— Spore — powiedział M.P.

— To właśnie lubię u wszystkich tutaj — rzekł Grant. — Jesteście wszyscy kopalnią informacji.

Skuter gładko przesunął się w górę rampy, na wyższy gęsto zaludniony poziom. Wszędzie poruszały się umundurowane istoty zarówno męskie, jak i żeńskie. Wokół panowała nieokreślona atmosfera podniecenia. Grant przyłapał się na tym, że obserwuje dziewczynę w czymś, co wyglądało jak mundur pielęgniarki (nad wypukłością jednej piersi starannie wydrukowano CMDF) i przypomniał sobie plany, jakie zaczął snuć poprzedniego wieczoru. Jeśli to miało być kolejne zadanie...

Skuter zakręcił ostro i zatrzymał się przed jakimś biurkiem. M.P. zsiadł ze skutera.

— Charles Grant, sir.

Oficera zza biurka nie poruszyła ta informacja.

— Nazwisko? — spytał.

— Charles Grant — odrzekł Grant — jak powiedział ten miły facet.

— Kartę identyfikacyjną proszę.

Grant podał mu. Był na niej wytłoczony numer, na który oficer rzucił jedno krótkie spojrzenie. Wsunął kartę do identyfikatora na biurku. Grant patrzył na to bez większego zainteresowania. Identyfikator był dokładnie taki, jak jego własny. Szary, niepozorny ekran rozblił jego własnym portretem en face i z profilu wyglądającym, jak zawsze w oczach Granta, ponuro i groźnie jak podobizna gangstera.

Gdzież to otwarte, szczere spojrzenie? Gdzie czarujący uśmiech? Gdzie dołeczki w policzkach, które doprowadzały dziewczyny do szaleństwa? Pozostały tylko ciemne, marszczące się brwi, które nadawały mu gniewny wygląd. Dziwne, że ktoś go mógł rozpoznać.

Oficer rozpoznał i to bez trudu — jedno spojrzenie na fotografię, jedno na Granta. Karta identyfikacyjna została wysunięta, zwrócona i machnięciem ręki kazano im jechać dalej.

Skuter skręcił w prawo, przejechał przez sklepioną bramę, a potem w dół długiego korytarza, wydzielonego dla ruchu; dwa pasy w każdą stronę. Ruch był tu także ogromny, a Grant był jedynym nie umundurowanym osobnikiem.

Po obu stronach, w równych odstępach, powtarzały się drzwi, a bezpośrednio do ścian przylegały pasy dla pieszych. Na pasach ludzi było znacznie mniej. Skuter zbliżył się do kolejnej sklepionej bramy, nad którą napis głosił: Sekcja Medyczna.

M.P. na służbie, w wysoko umieszczonej budce, podobnej do takiej, w jakiej siedzi policjant regulujący ruch, przekręcił przełącznik. Ciężkie, stalowe drzwi otworzyły się, skuter prześlizgnąwszy się przez nie, zatrzymał się. Grant zastanawiał się, pod którą częścią miasta znajduje się obecnie.

Człowiek w generalskim mundurze zbliżał się pospiesznie. Wyglądał znajomo. Grant uzmysłowił sobie, skąd go zna w chwili, gdy znaleźli się od siebie na odległość wyciągniętej ręki.

— Carter, prawda? Parę lat temu spotkaliśmy się na Transkontynentalu. Nie był pan wtedy w mundurze.

— Czolem, Grant. Ach, ten cholerny mundur! Noszę go tylko ze względu na specyficzny charakter tego miejsca. Tylko w ten sposób możemy ustalić zasady starszeństwa i utrzymać dyscyplinę. Proszę za mną. Granitowy Grant, tak to było, co?

— Zgadza się.

Weszli przez drzwi do czegoś, co najwyraźniej było salą operacyjną. Grant zajrzał przez okienko obserwacyjne.

Zobaczył zwykły widok mężczyzn i kobiety w bieli, krzątających się, przygotowujących się do operacji. Aseptyka, silny blask metalowych narzędzi, ostrych i zimnych, a wszystko to malało w powodzi elektronicznych instrumentów, które przekształcały medycynę w gałąź inżynierii.

Wtoczono stół operacyjny. Na białej poduszce rozsypała się obfita, kudłata czupryna posiwiałych włosów. W tej chwili Grant doznał szokującego zaskoczenia, najgorszego, jakie go w życiu spotkało.

— Benes? — wyszeptał.

— Benes — potwierdził Carter ponuro.

— Co mu się stało?

— Dobrali się do niego. Nasza wina. Żyjemy w wieku elektroniki, Grant. Wszystko, co robimy, robimy z tranzystorowymi pomocnikami w ręku. Każdego wroga unicestwiamy przez manipulowanie przepływem elektronów. Zabezpieczyliśmy trasę na wszelkie możliwe sposoby, ale tylko przeciw wrogom elektronicznym. Nie wzięliśmy pod uwagę samochodu z samobójcą przy kierownicy i karabinów w rękach ludzi.

— Przypuszczam, że żaden z nich nie został przy życiu.

— Żaden. Człowiek w samochodzie zginął na miejscu. Innych zabiły nasze pociski. Straciliśmy

kilku naszych.

Grant spojrział w dół. Twarz Benesa miała wyraz pustki, który kojarzył się z głębokim spokojem.

— Żyje, jest zatem nadzieja.

— Żyje, ale wielkiej nadziei nie ma.

— Czy ktokolwiek miał okazję porozmawiać z nim? — zapytał Grant.

— Kapitan Owens, William Owens. Zna go pan?

Grant potrząsnął głową.

— Zaledwie rzuciłem okiem na lotnisku na kogoś, kogo Gonder przedstawił tym nazwiskiem.

— Owens rozmawiał z Benesem, ale nie zdobył żadnej istotnej informacji — powiedział Carter. — Gonder go o to pytał. Pan rozmawiał z Benesem dłużej niż ktokolwiek. Powiedział panu coś?

— Nie, sir. Gdyby nawet powiedział, nie zrozumiałbym. Moją misją było dostarczyć go na miejsce i nic więcej.

— Oczywiście. Ale pan z nim rozmawiał, a on mógł powiedzieć więcej niż zamierzał.

— Jeśli powiedział, naprawdę przeszło mi to mimo uszu. Ale nie sądzę. Żyjąc po tamtej stronie nabywa się praktyki w trzymaniu gęby na kłódkę.

Carter popatrzył spode łba.

— Niech się pan niepotrzebnie nie obraża, Grant. Tej samej praktyki nabywa się po tej stronie. Jeśli pan tego nie wie... przepraszam, to było niepotrzebne.

— W porządku, generale — skwitował beznamiętnie

Grant.

— A zatem Benes nie rozmawiał z nikim. Został wyłączony z akcji, zanim zdołaliśmy wydostać z niego to, na czym nam zależało. Równie dobrze mogliśmy nie opuszczać nigdy tamtej strony.

— Jadąc tutaj, minąłem miejsce otoczone kordonem... — powiedział Grant.

— To zdarzyło się właśnie tam. Jeszcze pięć przecznic i byłby bezpieczny.

— Co mu jest?

— Uszkodzenie mózgu. Musimy operować i dlatego pan nam jest potrzebny.

— Ja? — spytał Grant z napięciem. — Proszę posłuchać, generale. Jeśli chodzi o chirurgię mózgu, jestem jak dziecko. W swoim czasie oblałem egzamin z tej specjalizacji na Uniwersytecie Stanowym.

Carter nie zareagował. Grantowi wydało się, że jego własne słowa zabrzmiały nieszczerze.

— Proszę za mną — powiedział Carter.

Grant przeszedł za nim przez krótki odcinek korytarza. Weszli do innego pokoju.

— Centrum Kontroli Monitorowej—rzekł Carter krótko. Ściany pokoju pokrywały ekrany telewizyjne. Główne stanowisko było otoczone ustawioną pochyło półkolistą konsolą z przełącznikami. Carter usiadł, Grant stanął za jego plecami.

— Pozwoli pan, że wyjaśnię, o co chodzi — zaczął generał.

— Rozumie pan, że między nimi a nami istnieje sytuacja patowa.

— Tak jest od dawna. Oczywiście.

— Pat nie jest rzeczą złą. Współzawodniczymy. Przez cały czas obawiamy się jedni drugich i tym sposobem wiele dokonujemy. Jedni i drudzy. Gdyby ta sytuacja miała ulec zmianie, to musi się to stać na naszą korzyść. Sądzę, że pan to rozumie?

— Myślę, że tak, generale — odrzekł Grant sucho.

— Benes daje nam taką możliwość. Gdyby mógł powiedzieć nam, co wie...

— Mogę zadać pytanie, sir?

— Proszę.

— Co on wie? Co to za informacja?

— Powoli, powoli. Niech pan zaczeka parę chwil. Pan pozwoli, że będę kontynuował. Jeśli on będzie mógł powiedzieć nam, co wie, wówczas szala przechyli się na naszą korzyść. Jeśli umrze lub nawet jeśli wyzdrowieje, ale nie będzie zdolny przekazać nam tej informacji z powodu uszkodzenia mózgu, sytuacja patowa będzie trwała dalej.

— Pomijając czysto ludzki aspekt tej sprawy — powiedział Grant — można rzec, że utrzymanie pata nie jest takie złe.

— Tak, o ile sytuacja jest naprawdę taka, jak to opisałem. Ale może być inaczej.

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Weźmy Benesa. Znany jest jako człowiek o umiarkowanych poglądach, ale nic nie wskazuje na to, aby miewał jakieś kłopoty ze swoimi władzami. Przez ćwierć wieku był lojalny i dobrze traktowany. Teraz nagle dezercuje...

— Chce przechylić szalę na naszą stronę.

— Czyżby? A może zanim zdał sobie sprawę ze znaczenia swojego odkrycia, wyjawiał dość, żeby dać tamtej stronie klucz do przewagi. Mógł dojść do wniosku, że nieświadomie oddał władzę nad światem w ręce własnej strony. Może nie jest z tego zadowolony albo stracił do nich zaufanie. Teraz przychodzi do nas, nie tyle po to, aby dać nam zwycięstwo, ile po to, aby nikt nie miał przewagi. Przychodzi do nas utrzymać równowagę.

— Czy jest na to jakiś dowód, sir?

— Ani cienia — powiedział Carter. — Ale rozumiem pan, jak sądzę, że taka możliwość istnieje i wie pan, że nie a cienia dowodu na to, że tak nie jest.

— Proszę mówić dalej.

— Jeżeli kwestia życia lub śmierci Benesa oznaczałaby wybór między zwycięstwem dla nas a utrzymaniem sytuacji patowej, dalibyśmy sobie radę. Stracić szansę na zwycięstwo byłoby cholerną hańbą, ale jutro mogłaby pojawić się kolejna szansa. Wybór między sytuacją patową a klęską jest nie do zniesienia. Zgadza się pan?

— Oczywiście.

— Widzi pan, Grant, że jeśli istnieje nawet nikła możliwość, że śmierć Benesa spowoduje naszą klęskę, to tej śmierci trzeba zapobiec za wszelką cenę, nie licząc się z kosztami i ryzykiem.

— Czuję, że wygłosił pan to przemówienie na mój benefis, generale. Zamierza pan prosić mnie, aby zapobiec klęsce. Jeśli mam być szczerzy, nigdy nie sprawiało mi to przyjemności. Ale co ja mogę zdziałać na sali operacyjnej? Gdy wczoraj potrzebowałem opatrunku na żebra, Benes musiał mi go nałożyć. A w porównaniu z innymi czynnościami medycznymi, w bandażowaniu jestem bardzo dobry.

Carter nie zareagował.

— Gonder pana do tego zarekomendował. Ze względów zawodowych uważa pana za człowieka bardzo uzdolnionego. Ja też.

— Generale, nie potrzebuję komplementów. Uważam, że to irytujące.

— Do cholery, człowieku! Nie schlebiam panu. Wyjaśniam coś. Gonder uważa pana za bardzo dobrego, ale jeszcze bardziej uważa, że pańska misja nie została do końca spełniona. Miał pan bezpiecznie dostarczyć nam Benesa, a to nie zostało zrobione.

— Był bezpieczny, kiedy sam Gonder mnie zwolnił.

— Ale nie jest bezpieczny teraz.

— Apeluje pan do mojej dumy zawodowej, generale?

— Jeśli pan tak uważa...

— W porządku. Będę trzymał skalpele. Będę ocierał pot z czoła chirurga. Nawet będę mrugał na pielęgniarki. Sądzę, że to już kompletna lista moich umiejętności na sali operacyjnej.

— Nie będzie pan sam. Stanie się pan częścią zespołu.

— Spodziewam się — rzekł Grant. — Ktoś inny będzie musiał trzymać skalpele i operować nimi. Ja tylko podam je na tacy.

Carter pewnym ruchem przekręcił kilka przełączników. Na ekranie telewizyjnym ukazały się natychmiast dwie postacie w ciemnych okularach. Pochylały się z przejęciem nad promieniem lasera, jego czerwony promień zwężał się do grubości nitki. Rozbłysło światło, zdjęli okulary.

— To jest Peter Duval — powiedział Carter. — Słyszał pan o nim?

— Przykro mi, ale nie.

— To najlepszy chirurg mózgu w kraju.

— Kim jest ta dziewczyna?

— Asystuje mu.

— Ha, ha!

— Niech pan nie będzie ograniczony. Ona jest fachowcem o najwyższych kompetencjach.

Grant oklapł odrobinę.

— Jestem tego pewien, sir.

— Mówi pan, że widział Owensa na lotnisku?

— Bardzo krótko, sir.

— On również będzie z wami. A także nasz szef sekcji medycznej. On pana pouczy.

Kolejna szybka manipulacja i tym razem ekran telewizyjny włączył się z tym niskim buczeniem, które oznacza dwukierunkowe połączenie dźwiękowe. Zawiała sieć układu krążenia, jaki ukazał się na ekranie, wypełniała całą salę w głębi pokoju, zdawała się pomniejszona w zestawieniu z sympatyczną, łysą głową widoczną na pierwszym planie.

— Max! — powiedział Carter.

Michaels podniósł wzrok. Jego oczy zwężyły się. Wyglądał nieszczęśliwie.

— Tak, Al.

— Grant jest gotów do spotkania z tobą. Pospiesz się. Nie mamy wiele czasu.

— Z pewnością nie. Przyjdę po niego. — Przez chwilę patrzył w oczy Granta. Powoli powiedział: — Mam nadzieję, panie Grant, że jest pan przygotowany na najbardziej niezwykle doświadczenie w pańskim życiu lub w czyimkolwiek życiu.

ROZDZIAŁ 4

ODPRAWA

Grant znalazł się w gabinecie Michaela. Gapił się z otwartymi ustami na mapę.

— To piekielnie skomplikowane — powiedział Michaels. — Jest to mapa układu krwionośnego. Każda linia na niej to droga, każdy węzeł to skrzyżowanie. Ta mapa jest tak zawikłana jak mapa samochodowa Stanów Zjednoczonych. Nawet bardziej, bo jest trójwymiarowa.

— Dobry Boże!

— Sto tysięcy mil naczyń krwionośnych. Teraz widzi pan bardzo mało. Większość jest mikroskopijnej wielkości i dla pana niewidzialna bez dużego powiększenia. Gdy pan ułoży to wszystko razem w jedną linię, opasze ona czterokrotnie Ziemię lub, jeśli pan woli, sięgnie na pół drogi do Księżyca. Spał pan trochę, Grant?

— Około sześciu godzin. Trochę zdrzemnąłem się w samolocie. Jestem w dobrej formie.

— Dobrze. Będzie pan miał okazję zjeść coś, ogolić się i załatwić inne tego rodzaju sprawy. Gdybym ja był wyspany — powiedziaławszy to, podniósł rękę. — Nie jestem w złej formie. Nie narzekam. Brał pan kiedy morfogen?

— Nigdy o nim nie słyszałem. Czy to jakiś narkotyk?

— Tak. Stosunkowo nowy. To nie spanie jest potrzebne, wie pan. Śpiąc, nie odpoczywa się bardziej niż wtedy, kiedy się leży wygodnie z otwartymi oczami. Może nawet mniej. To, czego potrzebujemy to sny. Musimy mieć czas marzeń sennych, inaczej załamuje się koordynacja mózgowa, człowiek zaczyna mieć halucynacje i w końcu umiera.

— Morfogen sprawia, że pan śni? Czy tak?

— Właśnie. Daje człowiekowi pół godziny nieprzerwanych snów i potem jest się przez cały dzień gotowym do działania. Proszę posłuchać mojej rady i trzymać się z daleka od tego leku, chyba że zaistnieje nagła potrzeba.

— Dlaczego? Czy jest pan po nim zmęczony?

— Nie. Nie jakoś szczególnie zmęczony. Po prostu dlatego, że te sny są niedobre. Morfogen opróżnia umysł; oczyszcza go z psychicznych śmieci nagromadzonych w ciągu dnia i to jest naprawdę przeżycie. Niech pan tego nie robi. Ja nie miałem wyboru. Ta mapa musiała być przygotowana i spędziłem nad nią całą noc.

— Ta mapa?

— To jest układ krążenia Benesa aż do ostatniej kapilary. Musiałem zrobić, co było w mej mocy, aby dowiedzieć się wszystkiego o nim. Tu, na górze, niemal w centralnym punkcie czaszki, akurat obok przysadki jest krwawy skrzep.

— I to jest problem?

— Z pewnością. Wszystko inne da się załatwić. Ogólne potłuczenia i kontuzje, szok, wstrząs. Ale nie ten skrzep. Nie bez udziału chirurgii. I to szybko.

— Ile czasu mu zostało, doktorze Michaels?

— Nie umiem powiedzieć. Mamy nadzieję, że pożyje jeszcze przez jakiś czas, ale uszkodzenie mózgu nastąpi znacznie wcześniej niż sama śmierć. A w tej sytuacji uszkodzenie mózgu będzie takim samym złem jak śmierć. Ci ludzie oczekują cudów od Benesa. Są mocno przerażeni. Szczególnie Cartera porządnie to trzepnęło. On pana potrzebuje.

— Chce pan powiedzieć, że spodziewa się nowego ciosu z tamtej strony — domyślił się Grant.

— Nie powiedział tego, ale podejrzewam, że właśnie tego się obawia i dlatego włączył pana

do zespołu.

Grant rozejrzał się dokoła.

— Czy jest jakiś powód, by sądzić, że przeniknęli do tego miejsca? Że umieścili tu swoich agentów?

— Nic o tym nie wiem, ale Carter jest człowiekiem nieufnym. Myślę, że podejrzewa możliwość zamachu medycznego.

— Duval? . Michaels wzruszył ramionami.

— Jest nie lubiany, a instrument, którym się posługuje, może spowodować śmierć, jeśli chybi o włos.

— Jak można go powstrzymać?

— ; Nie można.

— Wobec tego użyjcie kogoś innego. Kogoś, komu można zaufać.

— Nikt inny nie ma takiej wprawy. A Duval jest akurat tu, z nami. I nie ma dowodu na to, że nie jest lojalny.

— Jeśli postawicie mnie przy Duvalu w roli męskiej pielęgniarki i będę miał za zadanie ściśle go obserwować, nie zrobię tego dobrze. Nie będę wiedział, co on robi ani też, czy robi to dobrze i prawidłowo. Mam wrażenie, że kiedy otworzy czaszkę, ja prawdopodobnie zemdleję.

— Nie będzie otwierał czaszki — powiedział Michaels. — Skrzepu nie można osiągnąć z zewnątrz.

— Ale w takim razie...

— Dojdziemy do skrzepu od wewnątrz.

Grant zmarszczył brwi. Powoli potrząsnął głową.

— Nie rozumiem, o czym u diabła pan mówi?

Michaels powiedział ze spokojem:

— Panie Grant, wszyscy inni, zaangażowani w tę akcję wiedzą w czym rzecz, i dokładnie rozumieją, co mają robić. Pan jest człowiekiem z zewnątrz i wykszolenie pana to zadanie raczej niewdzięczne. Jednak skoro trzeba, to trzeba. Muszę zaznajomić pana z niektórymi pracami teoretycznymi, prowadzonymi w tym instytucie.

Grant skrzywił się.

— Przepraszam, doktorze, ale właśnie palnął pan gafę. W college'u na pierwszym miejscu był u mnie futbol, potem dziewczyny, a poza tym nic. Niech pan nie marnuje czasu na teorię.

— Widziałem pańskie akta, panie Grant, i nie jest to całkiem tak, jak pan mówi. Nie będę uwłaczał pańskiej męskości, wmawiając panu inteligencję i wykształcenie, nawet jeśli będziemy na gruncie prywatnym. Nie będę się rozwodził, ograniczę się do sedna. Przypuszczam, że zauważył pan nasz znak, CMDF.

— Oczywiście, zauważyłem.

— Wie pan, co to znaczy?

— Co pan powie na Centralna Marsjańska Durnota Federacyjna? Wymyśliłem jeszcze coś lepszego, ale to niecenzuralne.

— Tak się składa, że znaczy to Combinet Miniature Deterrent Forces*.

— Ma to mniej sensu niż moja sugestia — powiedział Grant.

— Wyjaśnię panu. Słyszał pan o polemice na temat miniaturyzacji?

Grant zastanawiał się przez chwilę.

— Byłem wtedy w college'u. Straciliśmy na to dwie sesje na kursie fizyki.

— Między jednym a drugim meczem futbolowym?

— Tak. Nie w porę, prawdę powiedziałem. Jeśli dobrze pamiętam, grupa fizyków utrzymywała, że potrafi zredukować rozmiary przedmiotów w dowolnym stopniu. Zostało to zdemaskowane jako oszustwo. No, może nie oszustwo, ale w każdym razie omyłka. Pamiętam, że grupa przedyskutowała kilka argumentów, wykazujących, dlaczego niemożliwe jest zredukowanie człowieka do rozmiarów, powiedzmy myszy, tak, żeby przy tym nadal pozostał człowiekiem.

— Jestem pewien, że było tak we wszystkich college'ach w kraju. Pamięta pan jakieś zarzuty?

— Myślę, że tak. Jeśli chce się zredukować rozmiary, można to zrobić na jeden z dwóch sposobów. Można bardziej ściśnić poszczególne atomy obiektu albo można zupełnie zrezygnować z proporcji między tymi atomami, wziętymi razem. Ściśnięcie atomów wbrew działającym między nimi siłom odpychania wymagałoby nadzwyczajnych ciśnień. Dla zredukowania człowieka do rozmiarów myszy okazałoby się niewystarczające ciśnienie równe temu, jakie panuje w centrum Jowisza. Czy, jak dotąd, dobrze mówię?

— Pańskie rozumowanie jak na razie jest poprawne.

— I nawet gdyby się tego dokonało, ciśnienie zabiłoby każdą żywą istotę. Prócz tego, obiekt o rozmiarach zredukowanych przez ściśnięcie atomów, zachowuje całą swoją oryginalną masę, a obiektowi wielkości myszy, ale z masą człowieka, trudno byłoby się poruszać.

— Zdumiewające, panie Grant. Zapewne przez wiele godzin zabawiał pan swoje dziewczyny taką romantyczną rozmową. A druga metoda?

— Druga metoda polega na usunięciu atomów w starannie dobranej proporcji, tak żeby masa i rozmiary obiektu zmniejszyły się, podczas gdy wzajemny stosunek tych wielkości pozostałby stały. Tylko, jeżeli zredukuje się człowieka do rozmiarów myszy, można uchronić zaledwie jeden atom na, powiedzmy, siedemdziesiąt tysięcy. Jeżeli dokona się tego na mózgu, wówczas to, co pozostanie, będzie przede wszystkim niewiele bardziej skomplikowane niż mózg myszy. Prócz tego, w jaki sposób z powrotem powiększyć ten obiekt? Fizycy upierali się, że potrafią. Jak z powrotem włączyć te atomy i rozstawić je na właściwych miejscach?

— Otóż właśnie, panie Grant. Lecz wobec tego, jakim sposobem niektórzy cieszący się poważaniem fizycy doszli do przekonania, że miniaturyzacja jest możliwa w zastosowaniu praktycznym?

— Nie wiem, doktorze, nic więcej na ten temat nie słyszałem.

— Po części dlatego, że w college'u wykonano, zgodnie z nakazem, staranną robotę z wybijaniem tego z głów. Ta technika zeszła pod ziemię zarówno po tej, jak i po tamtej stronie. Dosłownie tutaj. Pod ziemię. — Michaels z pasją postukał w biurko przed sobą. — Musimy prowadzić specjalne kursy z technik miniaturyzacji dla ów ze stopniem naukowym, którzy nie mogą nauczyć się tego nigdzie indziej, poza analogicznymi szkołami po tamtej stronie. Miniaturyzacja jest możliwa, lecz nie tymi metodami, które pan opisał. Widział pan powiększoną fotografię, panie Grant? Lub pomniejszoną do wymiarów mikrofilmu?

— Oczywiście.

— Wobec tego taki sam proces można zastosować do obiektów trójwymiarowych, nawet do człowieka. Jesteśmy pomniejszani nie jako formalne obiekty, ale jako obrazy, kierowane z zewnętrznego świata czasoprzestrzeni.

Grant uśmiechnął się.

— Teraz, mistrzu, rozumiem.

— Tak, ale pan nie chce teorii, prawda? To co fizycy odkryli dziesięć lat temu, to było wykorzystanie nadprzestrzeni, to znaczy przestrzeni o więcej niż trzech zwykłych wymiarach. Ta koncepcja jest nie do pojęcia. Matematycy nie mogą tego zrozumieć właściwie. Prawdziwy jest fakt,

że da się to zrobić. Można zmniejszać obiekty ani nie eliminując atomów, ani ich nie ścieśniając. Redukując rozmiary atomów, redukujemy wszystko i masa zmniejsza się automatycznie. Kiedy chcemy, przywracamy poprzednie rozmiary.

— To, co pan mówi, brzmi sensownie — powiedział Grant. — Czy chce pan mnie przekonać, że rzeczywiście możemy zredukować człowieka do rozmiarów myszy?

— W zasadzie możemy zredukować człowieka do rozmiarów bakterii, wirusa, atomu. Teoretycznie nie istnieje granica miniaturyzacji. Możemy zmniejszyć armię wraz z całym wyposażeniem do rozmiarów, które pozwoliłyby ją umieścić w pudełku od zapalek. Potem moglibyśmy wysłać to pudełko, gdzie trzeba, i skierować armię do boju po przywróceniu jej pierwotnych rozmiarów. Pojmuje pan, jakie to ma znaczenie?

— I zgaduję, że tamta strona może zrobić to samo — odparł Grant.

— Jesteśmy pewni, że może... ale chodźmy, nasz czas jest ograniczony. Proszę za mną.

Było „Proszę za mną” tutaj i „Proszę za mną” tam. Odkąd Grant obudził się tego ranka, nie pozwolono mu pozostać na jednym miejscu dłużej niż przez piętnaście minut. Nie widział tu żadnej roboty dla siebie. Czyżby starano się o to, by nie miał dość czasu na myślenie? Czym chcieli go zaskoczyć?

On i Michaels siedzieli teraz na skuterze, Michaels prowadził jak weteran.

— Jeżeli mamy to my i oni, to neutralizujemy się wzajemnie — powiedział Grant.

— Tak — odrzekł Michaels — ale nikt z nas nie jest w tym bardzo dobry. Tu tkwi pewien haczyk.

— O?

— Przez dziesięć lat pracowaliśmy, aby rozszerzyć współczynnik wielkości, żeby osiągnąć większy stopień miniaturyzacji, a także powiększania. Po prostu sprawa odwrócenia nadpolu. Niestety, jak się wydaje, w tym kierunku osiągnęliśmy już granice.

— Jakie one są?

— Nie bardzo korzystne. Interweniuje tu zasada nieoznaczoności. Rozciągłość miniaturyzacji pomnożona przez czas jej trwania, oczywiście przy użyciu odpowiednich jednostek, równa się wyrażeniu obejmującemu stałą Plancka. Jeżeli człowiek jest redukowany do połowy swych rozmiarów, można go w tym stanie utrzymać przez stulecia. Jeśli do rozmiarów myszy, może tak pozostać przez kilka dni. Natomiast jeżeli osiągnie rozmiary bakterii, tylko parę godzin. Po upływie tego czasu na nowo rośnie.

— Ale potem znów można go zmminiaturyzować.

— Dopiero po pewnym czasie. Życzy pan sobie trochę matematycznej teorii?

— Nie. Pańskie słowo w zupełności mi wystarczy.

Podjechali do stóp ruchomych schodów. Michaels z cichym pomrukiem zsiadł ze skutera. Grant przeskoczył przez boczną ściankę. Oparł się o balustradę, kiedy schody majestatycznie ruszyły.

— Do czego doszedł Benes?

— Mówiono mi, że twierdzi, jakoby potrafił ominąć zasadę nieoznaczoności. Przepuszczalnie wie, jak utrzymać miniaturyzację na czas nieokreślony.

— Mówi pan to tak, jakby pan w to nie wierzył.

Michaels wzruszył ramionami. — Jestem sceptyczny. Jeżeli on rozszerzy zarówno stopień miniaturyzacji, jak i czas jej trwania, będzie to możliwe tylko kosztem czegoś innego, ale przez całe moje życie nie umiałem sobie wyobrazić, co to jest. Może oznacza to, że nie jestem Benesem. On twierdzi, że potrafi to osiągnąć, a my nie możemy pozwolić sobie na to, żeby mu nie wierzyć. Tamta strona także nie może, więc próbowali go zabić.

Dotarli na szczyt schodów. Michaels zatrzymał się na krótko, by dokończyć swoją wypowiedź. Potem znów ruszył. Weszli na drugie ruchome schody prowadzące na kolejne piętro.

— Teraz, Grant, rozumie pan, co musimy zrobić, ratować Benesa. Dlaczego? Dla informacji, którą posiada. I możemy to zrobić tylko przez miniaturyzację.

— Dlaczego przez miniaturyzację?

— Ponieważ skrzepu w mózgu nie można dosięgnąć z zewnątrz. Mówiłem już panu. Pomniejszamy łódź podwodną, wstrzykniemy ją do tętnicy i z kapitanem Owensem przy sterach, a ze mną w roli pilota, wyruszymy w podróż do skrzepu. Tam Duval i jego asystentka, panna Peterson, przeprowadzą operację.

Grant szeroko otworzył oczy.

— A ja?

— Pan będzie z nami jako członek załogi. Powiedzmy, ogólny nadzór.

— Nie — powiedział gwałtownie Grant. — Nie zgłaszałem się na ochotnika. Nie zgadzam się.

Odwrócił się i zaczął schodzić w dół po jadących w górę ruchomych schodach. Michaelaeta pospieszył za nim. Sprawiał wrażenie rozbawionego.

— Podejmowanie ryzyka to pańskie zajęcie, prawda?

— Ryzyka, które sam wybieram. Ryzyka, do którego przywykłem. Ryzyka, na które jestem przygotowany. Niech mi pan da tyle czasu na przemyślenie miniaturyzacji, ile pan sam miał, a podejmę je.

— Mój drogi Grant. Nie proszono pana, żeby zgłosił się pan na ochotnika. O ile zrozumiałem, został pan wyznaczony do tego zadania. A ja wyjaśniłem panu jego doniosłość. Prócz tego, ja też idę, a nie jestem taki młody jak pan. Powiem panu, szczerze liczyłem na pana, że idąc z nami, doda mi pan odwagi, skoro odwaga to pański atut.

— Jeśli tak, to nie jestem odważny — mruknął Grant. Ni w pięć, ni w dziewięć, powiedział: — Chcę kawy.

Zatrzymał się i pozwolił, żeby ruchome schody znów uniosły go w górę. Nie opodał szczytu schodów były drzwi z napisem: Saiu Konferencyjna. Weszli do środka. Grant rozejrzał się po pokoju. Rzuciło mu się w oczy to, że jeden koniec stołu, który wypełniał środek pokoju, był wielofilizankowym dozownikiem kawy, a obok znajdowała się taca z sandwiczami. Natychmiast ruszył w tę stronę. Wypił pół filiżanki gorącej i czarnej kawy, ugryzł wielki kęs sandwicza. Wtedy zobaczył ją i rozpoznał.

Była to asystentka Duvala, panna Peterson. Czy nie tak się nazywała? Wyglądała nieszczęśliwie. Była bardzo piękna i stała blisko Duvala. Grant poczuł, że trudno mu będzie polubić chirurga. Dopiero potem zaczął dostrzegać resztę pokoju.

Przy jednym końcu stołu siedział jakiś pułkownik, wyglądał na zdenerwowanego. Jedną ręką powoli kręcił popielniczką, podczas gdy popiół z jego papierosa spadał na podłogę. Z naciskiem odezwał się do Duvala:

— Wyraziłem moje stanowisko całkiem jasno.

Grant poznał kapitana Owensa stojącego pod portretem prezydenta. Zapał i uśmiech, jakie widział u niego na lotnisku, zniknęły. Na policzku kapitana widniał siniak. Grant współczuł mu.

— Co to za pułkownik? — spytał cicho Grant Michaelaeta.

— Donald Reid, mój wojskowy odpowiednik.

— Widzę, że jest zły na Duvala.

— Ustawicznie. Nie jest w tym odosobniony. Niewielu lubi Duvala.

Grant już miał odpowiedzieć, że ona chyba go lubi, ale słowa te wydały mu się małosłowne. Nie powiedział nic. Boże, co za sztuka! Co ona widzi w tym pełnym namaszczenia drabie?

Reid prowadził rozmowę cichym, starannie kontrolowanym głosem.

— A prócz tego, doktorze, co ona tu robi?

— Panna Cora Peterson — powiedział Duval lodowato — jest moją asystentką. Gdzie ja jestem służbowo, ona służbowo mi towarzyszy.

— To niebezpieczna misja...

— Panna Peterson zgłosiła się na ochotnika, w pełni zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

— Wielu mężczyzn posiadających duże kwalifikacje, by pomóc, zgłosiło się również. Sytuacja byłaby znacznie

mniej skomplikowana, gdyby to jeden z nich towarzyszył panu. Przydzielę panu któregoś.

— Nie przydzielili mi pan żadnego, pułkownika. Jeśli pan to zrobi, ja nie pójdę i żadna siła nie zmusi mnie do tego. Panna Peterson jest dla mnie trzecim i czwartym ramieniem. Zna moje wymagania wystarczająco dobrze, by wykonywać swoją pracę bez instrukcji. Być w określonym miejscu, zanim ją zawołam, dostarczyć, czego potrzeba bez proszenia. Nie wezmę obcego, na którego trzeba będzie krzyczeć. Nie mogę brać odpowiedzialności za sukces, jeśli stracę jedną sekundę, ponieważ mój współpracownik i ja nie będziemy zgrani i nie podejmę się żadnego zadania, jeśli nie będę miał wolnej ręki przy ustawianiu spraw w taki sposób, jaki ma największą szansę powodzenia.

Oczy Granta znów zwróciły się ku Córce Peterson. Wyglądała na zakłopotaną. Wpatrywała się w Duvala z wyrazem, jaki Grant widział niegdyś w oczach psa rasy beagle, kiedy jego właściciel, mały chłopiec, wrócił ze szkoły. To było niezmiernie denerwujące. Reid z wściekłością podniósł się z krzesła. Dyskusję uciął Michaels: — Skoro najważniejszy etap całej operacji zależy od ręki i oka doktora Duvala, nie możemy mu nic dyktować. Proponowałbym, Don, żebyśmy ustąpili. Nie przesądzajmy z góry o niepomyślnych skutkach, dobra? Jestem skłonny wziąć to na swoją odpowiedzialność.

Grant zdał sobie sprawę, że Michaels podsuwa Reidowi pozwalające zachować twarz wyjście i że Reid, wściekając się, będzie musiał to przyjąć. Reid trzasnął dłonią w stół.

— W porządku. Proszę zaprotokołować, że byłem przeciwny.

Usiadł, wargi mu drżały.

Nieporuszony Duval również usiadł. Grant ruszył naprzód, żeby podsunąć krzesło Córce, lecz ona usiadła, zanim do niej dotarł.

— Doktorze Duval — powiedział Michaels — to jest Grant. Ten młody człowiek będzie nam towarzyszył.

— Jako ktoś dobrze umiętniony, doktorze — rzekł Grant. — To moje jedyne kwalifikacje.

Duval obrzucił go przelotnym spojrzeniem. Potwierdzeniem, że usłyszał, było minimalne skinienie głowy, skierowane mniej więcej w stronę Granta.

— I panna Peterson.

Grant błysnął uśmiechem. Nie oddała uśmiechu. Rzekła:

— Miło mi poznać.

— Mnie również — powiedział Grant, spuścił wzrok na resztkę, która pozostała z jego drugiego sandwicza. Zdał sobie sprawę, że nikt inny nie je, więc odłożył ją.

Wszedł Carter, przesłał na prawo i lewo lekkie skinienia głowy. Usiadł i powiedział:

— Przyłączy się pan do nas, kapitanie Owens? Grant? Owens z ociąganiem podszedł do stołu i zajął miejsce naprzeciw Duvala. Grant usiadł o kilka krzeseł dalej i stwierdził, że może, patrząc na Cartera, obserwować twarz Cory z profilu. Czy ta robota może być całkiem podła, jeśli ona weźmie w niej udział?

Michaels, który usiadł obok Granta, pochylił się i szepnął mu do ucha:

— To nie jest zły pomysł mieć w swoim gronie kobietę. Być może mężczyźni będą bardziej ambitni. A to by mi odpowiadało.

— To dlatego głosował pan na nią?

— Nie. Duval mówił poważnie. Nie poszedłby bez niej.

— Aż tak jest od niej uzależniony?

— Może nie. Ale jest aż tak zawzięty, by postawić na swoim, szczególnie przeciw Reidowi. Nie kochają się oni, o nie.

— Przystąpmy do rzeczy — odezwał się Carter. — Możecie w trakcie pić lub jeść, jeśli chcecie. Czy ktoś ma coś pilnego do przekazania?

Grant powiedział nagle:

— Nie zgłosiłem się na ochotnika, generale. Odmawiam przyjęcia tej pracy i proponuję, żeby znalazł pan kogoś na moje miejsce.

— Nie jest pan ochotnikiem, Grant, i pańska odmowa nie zostaje przyjęta. Panowie i panno Peterson, pan Grant został wybrany do towarzyszenia ekspedycji z rozmaitych powodów. Po pierwsze, to on przywiózł Benesa do tego kraju, radząc sobie z tym doskonale.

Wszystkie oczy zwróciły się na Granta, który wzdrygnął się, oczekując oklasków. Nic takiego nie nastąpiło. Odpreżył się.

— Jest ekspertem od łączności i doświadczonym pletwonurkiem — mówił dalej Carter. — W jego aktach zapisano, że odznacza się pomysłowością, umiejętnością przystosowania się i ma predyspozycje do podejmowania szybkich i trafnych decyzji. Z tego powodu na czas akcji dowództwo taktyczne powierzam jemu. Czy to jasne?

Najwyraźniej było jasne. Grant, wpatrując się z zakłopotaniem w czubki swoich palców, powiedział:

— Tak więc wasza robota to wasza sprawa, podczas gdy ja zajmę się nagłymi przypadkami. Przykro mi, ale chciałbym oświadczyć do akt, że nie uważam, abym posiadał odpowiednie kwalifikacje do tego zadania.

— Oświadczenie zostało przyjęte — rzekł Carter, niewzruszony — kontynuujemy. Kapitan Owens zaprojektował doświadczalną łódź podwodną do badań oceanograficznych. Nie jest ona idealnie odpowiednia do zadania, jakie mamy do wykonania, ale jest jedyną, która się nadaje. Oczywiście, Owens sam będzie dowodził swoim okrętem, którego nazwa brzmi „Proteusz”.

— Pilotem będzie doktor Michaels. Przygotował i przestudiował mapę układu krążenia Benesa, którą pokrótce rozważymy. Doktor Duval i jego asystentka zajmą się usunięciem skrzepu.

— Wszyscy wiecie, jak ważna jest ta misja. Mamy nadzieję na udaną operację i na wasz bezpieczny powrót. Istnieje ryzyko, że Benes może umrzeć podczas operacji, lecz ryzyko to zamieni się w pewność, jeśli misja nie zostanie podjęta. Istnieje też ryzyko, że okręt może zabłądzić, a wtedy należy liczyć się z tym, że i okręt i załoga przepadną. Ewentualna cena jest ogromna, lecz korzyść, jaką chcemy osiągnąć, mam na myśli nie tylko CMDF, lecz całą ludzkość, korzyść jest większa.

— Taaa, liczy się zespół — mruknął Grant.

Cora Peterson usłyszała to i rzuciła mu krótkie, przenikliwe spojrzenie spod ciemnych rzęs. Grant zaczerwienił się.

— Pokaż im mapę, Michaels — powiedział Carter.

Michaels nacisnął guzik na przyrządzie przed sobą i ścianę rozświetliła trójwymiarowa mapa układu krążenia Benesa, którą Grant widział ostatnio w gabinecie Michaelsa. Zdawała się pędzić ku nim i ogromnieć, kiedy Michaels kręcił gałką. To, co z układu krążenia pozostało na ścianie, utworzyło wyraźny zarys głowy i szyi. Naczynia krwionośne zarysowały się fluoryzującym blaskiem, a potem przecięła to wszystko sieć krzyżujących się linii. W polu widzenia ukazała się cienka, ciemna strzałka, sterowana przez fotowskazywacz w ręku Michaelsa. On sam nie podniósł się, siedział na krześle z jednym ramieniem na jego oparciu.

— Skrzep — powiedział — jest tu.

Dla oczu Granta nie był widzialny, przynajmniej dopóki nie został wskazany, lecz kiedy czarna strzałka delikatnie zaznaczyła jego granice, Grant go zobaczył: mały, zwarty guzek zatykający tętniczkę.

— Nie przedstawia sobą bezpośredniego niebezpieczeństwa dla życia, ale ta część mózgu — tu strzałka zatańczyła dookoła — cierpi na skutek ściśnięcia nerwów i może już doznała uszkodzenia.

Doktor Duval mówi, że za dwanaście godzin lub wcześniej skutki mogą być nieodwracalne. Próba operacji w zwykły sposób wymagałaby cięcia przez czaszkę tutaj albo tutaj, albo tu. W każdym z tych trzech przypadków nie uniknęłoby się rozległego uszkodzenia, a rezultaty byłyby wątpliwe. Z drugiej strony, można spróbować dotrzeć do skrzepu przez układ krwionośny. Jeśli będziemy mogli wejść do tętnicy szyjnej, o, tutaj, znajdziemy się na możliwie prostej drodze do naszego celu — przepływ strzałki wzdłuż czerwonej tętnicy przekopującej drogę przez błękit żył sprawił, że wydało się to bardzo łatwe. Michaels kontynuował:

— Jeśli „Proteusz” i jego załoga zostaną zminiaturyzowani i wstrzyknięci...

Nagle Owens powiedział głośno:

— Proszę chwilę poczekać — jego głos był szorstki i metaliczny. — Jak dalece zostaniemy zredukowani?

— Będziemy musieli być dostatecznie mali, aby uniknąć uaktywnienia sił obronnych organizmu.

Całkowita długość okrętu wyniesie trzy mikrony.

— Ile to jest w calach? — wtrącił Grant.

— Dokładnie poniżej jednej dziesięciotysięcznej cala. Okręt będzie mniej więcej rozmiarów dużej bakterii.

— No dobrze — powiedział Owens — ale jeśli dostaniemy się do tętnicy, będziemy wystawieni na działanie pełnej siły jej nurtu.

— Niespełna mila na godzinę — rzekł Carter. — Mniejsza o mile na godzinę. W każdej sekundzie będziemy się posuwać o sto tysięcy długości naszego statku. W przeliczeniu na warunki normalne będzie się to równało prędkości dwustu mil na sekundę lub coś koło tego. W naszej zminiaturyzowanej skali będziemy się poruszać tuzin razy szybciej niż kiedykolwiek poruszał się jakiś astronauta. Przynajmniej tuzin.

— Niewątpliwie — rzekł Carter — lecz cóż z tego? Każde czerwone ciało krwi w układzie krwionośnym porusza się z taką szybkością, a statek jest znacznie mocniej zbudowany niż krwinka.

— Nie, nie jest — powiedział Owens wściekle. — Czerwone ciało krwi zawiera biliony atomów, ale „Proteusz” stłoczy biliony bilionów atomów na tej samej przestrzeni, zminiaturyzowanych atomów, to pewne, lecz cóż stąd? Będziemy się składać z bezgranicznie większej liczby jednostek niż czerwone ciało i z tego powodu będziemy bardziej „flakowaci”. Ponadto czerwone ciało znajduje się w otoczeniu atomów równych wielkością tym, z których samo się składa, my zaś będziemy w środowisku złożonym z atomów, które w stosunku do naszych będą monstrialne.

— Możesz na to odpowiedzieć, Max? — spytał Carter. Michaels chrząknął.

— Nie chcę uchodzić za takiego eksperta od problemów miniaturyzacji jak kapitan Owens. Podejrzewam, że myśli on o opinii Jamesa i Schwartza, że kruchość obiektu wzrasta wraz z intensywnością miniaturyzacji.

— Właśnie — przytaknął Owens.

— Ten przyrost kruchości jest powolny, jeśli pan pamięta, a James i Schwartz musieli w toku swojej analizy poczynić niektóre upraszczające założenia, co może dowodzić, że nie jest to całkiem przekonujące. Prócz tego, kiedy zmniejszamy przedmioty, one z pewnością nie stają się mniej kruche.

— Ach, niech pan da spokój, nigdy nie zmniejszyliśmy żadnego przedmiotu więcej niż stokrotnie — rzekł Owens pogardliwie — a mówimy tu o miniaturyzacji statku o około milion razy w wymiarze liniowym. Nikt nigdy nie posunął się tak daleko, nawet w przybliżeniu tak w jednym, jak w drugim kierunku. Faktem jest, że nikt na świecie nie potrafi dokładnie wyprorokować, jak łamliwi się

staniemy lub do jakiego stopnia będziemy w stanie stawić opór łomotaniu krwiobiegu, czy nawet jak będziemy mogli odeprzeć działanie białych ciałek krwi. Czy tak nie jest, Michaels?

— No cóż, tak właśnie jest — przyznał Michaels. Carter odezwał się z rosnącym zniecierpliwieniem:

— Okazuje się, że przebieg uporządkowanego eksperymentu prowadzącego do tak drastycznej miniaturyzacji nie został jeszcze całkowicie ustalony. Nie jesteśmy w stanie przeprowadzić programu takiego eksperymentowania, więc musimy zaryzykować. Jeśli okręt nie przetrwa, no to nie przetrwa.

— To mi dodaje otuchy — mruknął Grant.

Cora Peterson pochyliła się ku niemu, szepcząc z naciskiem:

— Proszę, panie Grant, nie jest pan na boisku.

— O, zna pani moje akta?

— Ciii...

— Podejmujemy wszelkie możliwe środki ostrożności — powiedział Carter. — Benes będzie w stanie głębokiej hipotermii przez wzgląd na niego samego. Przez obniżenie temperatury jego ciała obniżymy zapotrzebowanie jego mózgu na tlen. Oznacza to, że serce będzie bić dużo wolniej, a szybkość przepływu krwi również zmaleje.

— Nawet gdyby tak było — rzekł Owens — wątpię, czy potrafimy przeżyć turbulencję...

— Kapitanie — odezwał się Michaels — jeśli będzie się pan trzymał z dala od ścian tętnicy, znajdzie się pan w rejonie przepływu laminarnego, nie warto nawet wspominać o turbulencji. Będziemy w tętnicy tylko przez parę minut, a skoro znajdziemy się w mniejszych naczyniach, nie będzie już żadnego problemu. Jedynym miejscem, w którym nie bylibyśmy w stanie uniknąć zabójczej turbulencji, byłoby samo serce, a my przepłyniemy z dala od niego. Mogę kontynuować?

— Bardzo proszę — rzekł Carter.

— Gdy już dotrzemy do skrzepu, zostanie on zniszczony promieniem lasera. Laser i jego promień, proporcjonalnie zmniejszone, jeśli użyte właściwie, a w rękach Duvala będzie tak na pewno, nie wyrządzą żadnej szkody mózgowi czy nawet samemu naczyniu krwionośnemu. Nie będzie konieczne doszczętne zniszczenie skrzepu. Wystarczy rozerwać go na części. Białe ciała krwi się nim zajmą. Oczywiście natychmiast opuścimy tę okolicę. Wracając drogą przez układ żylny, dotrzemy do podstawy szyi, gdzie wydostaniecie nas przez żyłę szyjną.

— Jakim sposobem ktokolwiek będzie wiedział, gdzie i kiedy będziemy? — zapytał Grant.

— Michaels będzie was pilotował i uważał na to, abyście byli o każdej porze we właściwym miejscu — odrzekł Carter. — Będziecie z nami w łączności radiowej...

— Nie wiadomo, czy będzie działała — wtrącił Owens. — Problemem jest dostosowanie fal radiowych do przepaści miniaturyzacyjnej, a nikt nie doświadczył, jak wielka jest ta przepaść.

— To prawda, ale musimy spróbować. W dodatku „Proteusz” ma napęd nuklearny i będziemy mogli śledzić jego radioaktywność, także poprzez przepaść. Będziecie mieli dokładnie sześćdziesiąt minut, panowie.

— Chce pan powiedzieć, że mamy wykonać całą robotę i wydostać się na zewnątrz w sześćdziesiąt minut? — zapytał Grant.

— Właśnie sześćdziesiąt. Wasze rozmiary będą przystosowane do tego. Będziecie mieli aż nadto czasu. Jeżeli zostaniecie dłużej, automatycznie zaczniecie się powiększać. Nie potrafimy dłużej utrzymać was w stanie miniaturyzacji. Gdybyśmy mieli wiedzę Benesa, moglibyśmy trzymać was tak przez czas nieokreślony, lecz gdybyśmy ją mieli...

— Ta podróż byłaby niepotrzebna — powiedział Grant ironicznie.

— Właśnie. A jeśli zaczniecie powiększać się w ciele Benesa, staniecie się dość duzi, by

zwrócić na siebie uwagę sił obronnych organizmu, a wkrótce potem zabijecie Benesa. Nie możecie do tego dopuścić.

Carter rozejrzał się dokoła.

— Jeszcze jakieś uwagi? Nie. W takim razie zaczniemy przygotowania. Chcielibyśmy wprowadzić was do organizmu Benesa tak szybko, jak tylko to możliwe.

ROZDZIAŁ 5

ŁÓDŹ PODWODNA

W sali szpitalnej roilo się jak w mrowisku. Personel poruszał się szybko, właściwie półbiegiem. Tylko postać na stole operacyjnym była nieruchoma. Okrywał ją ciężki płaszcz termiczny wyposażony w liczne spirale napełnione krążącym chłodziwem. A pod tym wszystkim nagie ciało oziębione do punktu, w którym procesy życiowe były bardzo spowolnione. Ogolona głowa Benesa była oznaczona jak żeglarska mapa ponumerowanymi liniami szerokości i długości. Na jego pogrążonej we śnie twarzy widniał wyraz smutku. Na ścianie za nim znajdowała się reprodukcja układu krążenia, powiększona do tego stopnia, że klatka piersiowa, szyja i głowa pokrywały ścianę od końca do końca i od podłogi do sufitu. Wyglądało to jak las, w którym wielkie naczynia krwionośne były tak grube, jak męskie ramię, a drobne, skręcone kapilary wypełniały wszystkie przestrzenie między nimi.

W wieży kontrolnej, królującej nad salą operacyjną, czuwali Carter i Reid. Stąd widzieli rzędy stanowisk monitorowych. Przy każdym z nich siedział technik w mundurze z inicjałami CMDF. Carter podszedł do okna, a Reid rzekł cicho do mikrofonu:

— Przenieść „Proteusza” do sali miniaturyzacji.

Istniał zwyczaj, by wydawać takie rozkazy cichym głosem. Na sali też było cicho. Gorączkowo dokonywano ostatnich regulacji i poprawek przy płaszczu termicznym. Każdy technik skupił się nad swoim monitorem znając doniosłość zadania. Pielęgniarki krążyły wokół Benesa jak wielkie ćmy. Każdy biorący udział w tym zadaniu zdawał sobie sprawę, że od jego pracy, od całego zespołu zależy powodzenie. Nikt nie chciał zawalić. Zbliżał się moment odliczania.

Reid nacisnął guzik.

— Serce!

Sektor serca został pokazany szczegółowo na ekranie telewizyjnym umiejscowionym akurat pod Reidem. Przeważały tu zapisy EKG. Bicie serca rozbrzmiewało głuchym, podwójnym łomotem. Biło nienaturalnie wolno.

— Czy wszystko w porządku, Henry?

— Tak. Doskonale. Utrzymuje się miarowość trzydzieści dwa na minutę. Żadnych nieprawidłowości akustycznych czy elektronicznych. Żeby cała reszta tak działała.

— Dobrze. — Reid wyłączył go. Czyż może być lepsza wiadomość dla kardiologa niż ta, że serce jest w porządku?

Włączył sektor płucny. Świat na ekranie stał się światem wskaźników oddychania.

— W porządku, Jack?

— W porządku, doktorze Reid. Sprowadziłem liczbę oddechów do sześciu na minutę. Nie potrafię uzyskać mniej.

— Nie proszę cię o to. Tak trzymaj.

Następna była hipotermia. Ten sektor był większy niż reszta. Musiał zająć się całym ciałem. Tutaj najważniejszy był termometr. Odczyty temperatury na kończynach, na różnych punktach tułowia z delikatnych czujników, mierzących temperaturę na różnych głębokościach pod skórą. Ciągłe pełzające zapisy temperatury, a każdy wąż nosił swoją etykietkę: Krążeniowy, Oddechowy, Sercowy, Nerkowy, Jelitowy i tak dalej.

— Jakież problemy, Sawyer? — spytał Reid.

— Nie, sir. Ogólna przeciętna wynosi 28°C, czyli 82°F.

— W porządku. Dziękuję.

— Tak, sir.

Reid miał wrażenie szczypania hipotermii w swoich własnych narządach. Szesnaście stopni Fahrenheita poniżej normy to szesnaście istotnych stopni, zwalniających metabolizm do około jednej trzeciej normy, obniżających do jednej trzeciej zapotrzebowanie na tlen, zwalniających rytm serca, szybkość przepływu krwi, tempo życia, napięcie w zablokowanym skrzepem mózgu, stwarzających dogodniejsze warunki dla okrętu, który wkrótce miał wpłynąć w dżunglę ludzkiego wnętrza.

Carter cofnął się w stronę Reida.

— Wszystko w porządku, Don?

— O tyle o ile, jeśli wziąć pod uwagę niewielką ilość czasu jaką dysponowaliśmy, to myślę, że tak. Trochę improwizowaliśmy.

— Dlaczego!

Reid zaczerwienił się.

— O co chodzi, generale?

— Żadna improwizacja nie była potrzebna. Wiem, że położyliście już fundament pod biologiczne eksperymenty z miniaturyzacją. Czy specjalnie planowaliście zbadanie ludzkiego układu krążenia?

— Nie, specjalnie nie. Ale to się rozumie samo przez się, że mój zespół pracował nad takimi problemami. Wchodziło to w zakres naszych badań.

— Don... — Carter zawahał się i kontynuował z naciskiem: — Jeśli się nie powiedzie, Don, dla sali trofeów w Kongresie będzie potrzebna czyjaś głowa, a moja będzie najodpowiedniejsza. Jeśli się uda, ty i twoi ludzie wyjdziecie w glorii chwały. Nie próbuj jednak posuwać się za daleko.

— Wojsko nadal będzie miało pierwszeństwo głosu, co? Czy chcesz mi powiedzieć, że mam nie włączyć im w drogę?

— Byłoby to rozsądne. Jeszcze jedno. Czy jest coś nie w porządku z tą dziewczyną, Córą Peterson?

— Nic. Czemu?

— Twój głos był dość krzykliwy. Słyszałem cię, zanim jeszcze wszedłem do sali konferencyjnej. Znasz jakiś powód, dla którego ona nie powinna być na pokładzie?

— Jest kobietą. Może nie wytrzymać trudów wyprawy. Oprócz tego...

— Tak?

— Jeśli chcesz znać prawdę — Duval przybrał swoją zwykłą pozę „ja rozkazuję i prorokuję” — sprzeciwiłem się automatycznie. Jak dalece ty ufasz Duvalowi?

— Co to znaczy „ufasz”?

— Jaki jest prawdziwy powód, dla którego wysyłasz Granta z tą misją? Kogo ma mieć na oku?

Carter powiedział cichym, matowym głosem: — Nie mówiłem mu, żeby kogokolwiek miał na oku. Załoga pojawiła się już u wylotu korytarza sterylizacyjnego.

Grant wyczuwał mdły zapach medykamentów i był wdzięczny za możliwość szybkiego ogolenia się. Mundur z odznaczeniem CMDF także nie był zły. Jednocześnie, z paskiem, stanowił osobliwą krzyżówkę uniformu naukowca z panterką. Ten, który dla niego wyszukano, uwierał nieznacznie pod pachami, ale miał go nosić tylko przez godzinę.

Jeden za drugim, on i reszta załogi, przechodzili korytarzem w przyćmionym świetle, bogatym w ultrafiolet. Mieli ciemne gogle zabezpieczające przed promieniowaniem. Cora Peterson szła tuż przed Granem. Po cichu ubolewał nad ciemnością soczewek i sposobem, w jaki zamazywały interesujący go obraz. Chcąc nawiązać rozmowę, odezwał się:

— Czy przejście tędy naprawdę wystarczy, aby nas wysterylizować, panno Peterson?

Odwróciła na moment głowę i odrzekła:

— Myślę, że nie musi się pan martwić o swoją męskość. Grant skrzywił się. Sam się o to prosił.

— Pani nie docenia mojej naiwności, panno Peterson — powiedział — i niesprawiedliwie przeszywa mnie pani ostrzem swej ironii.

— Nie miałam zamiaru pana obrazić.

Drzwi na końcu korytarza otworzyły się automatycznie i Grant, tak samo automatycznie, zmniejszył odstęp między sobą a Corą i wyciągnął do niej rękę. Uchyliła się następując na pięty Duwalowi.

— Nie obraziłem się — rzekł Grant — ale chodziło mi o to, czy jesteśmy naprawdę sterylni. Mikrobiologicznie, w najlepszym razie sterylne są tylko nasze powierzchnie. Wewnątrz roimy się od zarazków.

— Jeśli o to chodzi — powiedziała Cora — Benes także nie jest sterylny. Mikrobiologicznie, oczywiście. Ale każdy zarazek, jaki zabijamy, to jeden mniej, jaki wprowadzimy do naszego organizmu. Nasze zarazki zostaną oczywiście, zminiaturyzowane razem z nami i nie wiemy, jak takie pomniejszone drobnoustroje będą oddziaływać na ludzką istotę, gdy zostaną uwolnione w jej krwiobiegu. Z drugiej strony, po upływie godziny, wszelkie zminiaturyzowane zarazki w jego krwiobiegu rozrosną się do swoich normalnych rozmiarów i ten rozrost, o ile nam wiadomo, może być szkodliwy. Im mniej Benes będzie podlegał nieznanym czynnikom, tym lepiej — potrząsnęła głową. — Tak wielu rzeczy nie wiemy. To nie jest właściwy sposób eksperymentowania.

— Ale nie mamy wyboru, prawda, panno Peterson? A nawiasem mówiąc, mogę nazywać panią Corą przez czas trwania tej misji?

— Nie robi mi to różnicy.

Weszli do rozległego, okrągłego, oszklonego pomieszczenia. Podłoga składała się z sześciokątnych płyt szerokich na jakieś trzy stopy, wyboistych dzięki ciasno stłoczonym, półokrągłym kopułom i wykonanych w całości z jakiegoś mlecznobiałego, szklistego materiału. Na środku znajdowała się pojedyncza płyta podobna do reszty z jednym wyjątkiem — miała kolor głębokiej czerwieni. Dużą część pomieszczenia wypełniał biały okręt podwodny w kształcie cygara, długi na jakieś pięćdziesiąt stóp. przeszklony dziób miał ułatwiać obserwację głębin morskich. Zamiast kiosku była szklana przezroczysta kopuła. Stał na podnośniku hydraulicznym. Tak nim manewrowano, aby znalazł się w centrum pomieszczenia. Michaels przysunął się blisko Granta.

— „Proteusz” — powiedział. — Nasz dom mniej więcej przez następną godzinę.

— To ogromna sala — rzekł Grant, rozglądając się dookoła.

— To sala miniaturyzacji. Używa się jej do pomniejszania dział artyleryjskich i małych bomb atomowych. Może służyć do trzymania zdemiaturyzowanych owadów, wie pan, mrówek rozdętych

do rozmiarów lokomotywy dla łatwiejszego studiowania. Takie bioeksperymenty nie były jeszcze autoryzowane, chociaż poczyniliśmy cichaczem jedną czy dwie próby w tej dziedzinie. Patrz pan, naprowadzają „Proteusza” na Moduł Zero. To ten czerwony. Potem wejdziemy do środka. Denerwuje się pan, Grant?

— I to jak! A pan?

Michaels skinął głową ze smutkiem.

— Bardzo!

„Proteusz” był zainstalowany na rusztowaniu, a hydrauliczne podnośniki, które wmanewrowały go na środek zostały odciągnięte. Trap z jednej strony prowadził do wejścia. Okręt błyszczał sterylną bielą, od tępego dziobu do rufy i pionowej płetwy umieszczonej na niej.

— Wejdę pierwszy — powiedział Owens. — Kiedy dam znak, wejdzie reszta.

Wspiął się po trapie.

— To jego okręt — mruknął Grant. — Czemu nie? — a do Michaelsa powiedział: — Wydaje się bardziej zdenerwowany niż my.

— To w jego stylu. Wydaje się zdenerwowany przez cały czas. A jeśli jest zdenerwowany, to ma do tego powód. Ma żonę i dwie nieletnie córki. Duval i jego asystentka są samotni.

— Ja też — powiedział Grant. — A pan?

— Rozwiedziony. Bezdzienny.

Wyraźnie zobaczyli Owensa w kopule na szczycie. Zdawał się pochłonięty przedmiotami, które miał bezpośrednio przed sobą. Skinął zapraszająco do wejścia. Michaels odmachnął i wspiął się na trap. Duval podążył za nim. Grant ruchem ręki pokazał Córce, żeby poszła przed nim.

Wszyscy byli na swoich miejscach, kiedy Grant, schylając głowę, dał nurka przez mały pokoiik, który stanowił właz. W górze, na samotnym podwyższonym fotelu, przy sterach siedział Owens. W dolnym pomieszczeniu były cztery fotele. Dwa z tyłu były zajęte przez Corę i Duvala. Cora siedziała z prawej strony drabinki prowadzącej w górę do kopuły, Duval z lewej. W dziobie statku znajdowały się inne dwa siedzenia złączone razem. Michaels siedział po lewej. Grant usiadł obok niego.

Po obu stronach znajdowały się stoły robocze i zestaw czegoś, co wyglądało jak stery pomocnicze, pod stołami szafki. Na tyłach były dwa pokoiki, jeden pracownia, drugi magazyn.

We wnętrzu było jeszcze ciemno. Michaels powiedział:

— Wyznamy panu pracę, Grant. Normalnie mielibyśmy na pańskim miejscu radiooperatora. To znaczy, kogoś z naszych. Skoro ma pan w łączności doświadczenie, będzie pan obsługiwał radio. To żaden problem, mam nadzieję.

— Słabe oświetlenie. Niczego prawie nie widzę...

— Owens — zawołał Michaels ku górze — co z prądem?

— Zaraz. Sprawdzam tu parę rzeczy.

— Nie sądzę, aby było w tym coś nadzwyczajnego — rzekł Michaels.

— Nie przewiduję żadnych problemów.

— Dobrze! Proszę się odprężyć wobec tego. Jeszcze kilka minut, zanim będzie można przystąpić do miniaturyzacji. Inni są zajęci i jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, będę mówił, dobrze?

— Proszę. Niech pan mówi.

Michaels poprawił się w fotelu.

— Wszyscy mamy swoje specyficzne reakcje na zdenerwowanie. Niektórzy palą papierosy. Nawiasem mówiąc, palenie na pokładzie jest zabronione...

— Nie palę.

— Niektórzy piją, inni obgryzają paznokcie. Ja muszę mówić, oczywiście pod warunkiem, że

mam słuchacza i mogę wydusić słowa. Właśnie teraz niewiele brakuje do zaniemówienia. Pytał pan o Owensa. Czy pan się nim niepokoi?

— A powinienem?

— Jestem pewien, że Carter się tego po panu spodziewa. Podejrzliwy człowiek, ten Carter. Skłonności paranoidalne. Sądzę, że Carter rozmyślał nad faktem, że Owens to człowiek, który podczas wypadku był w samochodzie z Benesem.

— Ta myśl nawet mnie przysłała do głowy — powiedział Grant. — Ale co to znaczy? Jeśli zakłada pan, że Owens mógł zaaranżować ten incydent, to wewnątrz samochodu dla niego samego byłoby niebezpieczne.

— Nie sugeruję niczego — odrzekł Michaels, energicznie potrząsając głową. — Próbuję zrozumieć Cartera. Przypuśćmy, że Owens byłby tajnym agentem wroga, skaptowanym na ich stronę podczas jednej ze swoich zamorskich wycieczek na konferencje naukowe...

— Jakież to dramatyczne — powiedział Grant sucho. — Czy jeszcze ktoś z pokładu bywa na takich konferencjach?

Michaels pomyślał przez chwilę.

— Praktycznie wszyscy. Nawet ta dziewczyna była na krótkim spotkaniu w zeszłym roku, kiedy to Duval zaprezentował swoją pracę naukową. Przypuśćmy, że to Owens został skaptowany. Powiedzmy, że wyznaczono mu zadanie dopilnować, żeby Benes został zabity. Mogło być konieczne, aby ryzykował własnym życiem. Kierowca samochodu, który spowodował kolizję, wiedział, że jedzie na śmierć, tych pięciu ludzi przy karabinach też wiedziało, że umrą. Nie wydaje się, aby ci ludzie cenili życie.

— Owens może być teraz gotów raczej umrzeć, niż pozwolić, aby nam się udało? Czy dlatego jest zdenerwowany?

— O, nie. To, co pan teraz sugeruje, jest całkiem niewiarygodne. Potrafię sobie wyobrazić, dla dobra tej dyskusji, że Owens mógłby mieć ochotę oddać życie za jakąś ideę, ale nie to, że chciałby poświęcić prestiż swego okrętu. Nie dopuści, żeby ta wyprawa nie powiodła się.

— Wobec tego myśli pan, że możemy go wyeliminować i oszczędzić sobie szukania dziury w całym?

Michaels zaśmiał się cicho, a jego okrągła twarz poweselała.

— Oczywiście, lecz założę się, że Carter sprawdził każdego z nas. Pan również musi to zrobić.

— Na przykład Duvala?

— Czemu nie? Każdy może pracować dla tamtej strony. Być może nie dla pieniędzy. Jestem pewien, że nikt tutaj nie jest do kupienia, ale pracuje dla idei. Miniaturyzacja, na przykład, jest przede wszystkim bronią wojenną. Wielu ludzi u nas jest stanowczo przeciwnych zastosowaniu jej w wojsku. Kilka miesięcy temu wysłali do prezydenta petycję. Domagano się w niej zakończenia wyścigu miniaturyzacji i ustalenia z innymi narodami wspólnego programu badań nad zastosowaniem miniaturyzacji do pokojowych celów w dziedzinie nauk biologicznych, a szczególnie medycyny.

— Kto włączył się do tego ruchu?

— Bardzo wielu. Jednym z najbardziej krzykliwych przywódców był Duval. Prawdę mówiąc, ja także podpisałem to oświadczenie. Zapewniam pana, że ci, którzy podpisali, byli szczerzy. Ja też. Można argumentować, że pomysł Benesa dotyczący nieograniczonego czasu trwania miniaturyzacji, jeśli da się zastosować, ogromnie zwiększy groźbę wojny. Jeżeli tak, to przypuszczam, że Duval czy ja sam, gorąco byśmy pragnęli ujrzeć Benesa martwym, zanim będzie mógł mówić. Dla mnie byłby to jednak niewystarczający argument. W każdym razie nie posunąłbym się do takiej skrajności. Co się tyczy Duvala, jego wielkim problemem jest konfliktowa osobowość. Wielu jest takich, którzy

podejrzewają go o wszystko. Michaels zakręcił się na swoim siedzeniu i dodał:

— A ta dziewczyna? Ona również podpisała?

— Nie, to oświadczenie dotyczyło tylko starszych rangą naukowców. Ale dlaczego ona jest tutaj?

— Ponieważ Duval tego żądał. Byłem przy tym.

— Tak, ale dlaczego ona ulega jego żądaniom? Jest młoda i ładna. On jest od niej o dwadzieścia lat starszy i nie interesuje się nią jako kobietą. Nie interesuje go żadna ludzka istota. Czy bierze, udział w tym zadaniu tylko dla Duvala, czy z jakiegoś innego, rozsądniejszego powodu?

— Pan jest zazdrosny, doktorze Michaels? — spytał Grant.

Michaels wyglądał na zaskoczonego. Uśmiechnął się z wolna.

— Wie pan, nigdy naprawdę o tym nie pomyślałem. Chyba jestem. Nie jestem starszy od Duvala i jeśli ona rzeczywiście gustuje w starszych panach, z pewnością byłoby sympatyczniej, gdyby wybrała mnie. Biorąc pod uwagę taką możliwość, trzeba by dziwić się jej motywom.

Uśmiech Michaelsa zgasł, a on sam znów stał się poważny.

— Poza tym, bezpieczeństwo okrętu zależy nie tylko od nas, ale i od tych na zewnątrz. Pułkownik Reid popierał tę petycję jak każdy z nas, lecz jako oficer wojskowy nie mógł się angażować w polityczną działalność. Jego nazwiska brakowało w petycji, nie brakowało zaś jego głosu. On i Carter pokłócili się o to. Przedtem byli dobrymi przyjaciółmi.

— Szkoda — powiedział Grant.

— A Carter i ta jego paranoja. Stresująca praca może spowodować odchyły u najzdrowszego z ludzi. Zastanawiam się, czy można być pewnym, że Carter nie zwariował.

— Zwariował? Michaels rozłożył ramiona.

— Nie, oczywiście, że nie. Mówiłem panu. To jest rozmowa terapeutyczna. Chciałby pan, żebym siedział tu i pocił się lub cicho popiskiwał?

— Nie, chyba nie — odrzekł Grant. — Proszę mówić dalej. Dopóki pana słucham, nie mam czasu bać się. Wydaje mi się, że wymienił pan wszystkich?

— Niezupełnie. Umyślnie zostawiłem na koniec najmniej podejrzanego osobnika. Faktycznie moglibyśmy powiedzieć, że z reguły osobnik, który wydaje się najmniej podejrzany, musi być winny. Nie sądzi pan?

— Oczywiście — odrzekł Grant. — A ten najmniej podejrzany osobnik to kto? A może to chwila, kiedy rozlega się strzał, a pan skręcony pada na podłogę, właśnie wtedy, kiedy już, już miał pan wymienić jego nazwisko.

— Zdaje się, że nikt do mnie nie mierzy — powiedział Michaels. — Myślę, że zdążę. Najmniej podejrzany jest, oczywiście, pan Grant. Kto może być mniej podejrzany niż zaufany agent mający za zadanie czuwać, aby okręt bezpiecznie wykonał swoją misję? Czy można panu ufać, Grant?

— Nie jestem pewien. Ma pan tylko moje słowo, o ile jest ono coś warte.

— Właśnie. Bywał pan po tamtej stronie. Bywał pan tam częściej i w bardziej tajemniczych okolicznościach niż ktokolwiek z nas. Przypuśćmy, że w ten czy inny sposób został pan przekupiony.

— To możliwe — powiedział Grant beznamiętnie — ale Benesa przywiozłem tutaj bezpiecznie.

— Zrobił pan to wiedząc, że zajmą się nim na następnym etapie, a pan pozostanie czysty i gotów do dalszej służby, jak to właśnie ma miejsce.

— Pan to mówi poważnie? — spytał Grant. Michaels potrząsnął głową.

— Nie, oczywiście, że nie. Przepraszam, sądzę, że zaczynam robić się zaczepny — uszczypnął się w nos i powiedział: — Chciałbym, żeby już zaczęli miniaturyzację. Wtedy miałbym mniej czasu na myślenie.

Grant poczuł się zakłopotany. Teraz, kiedy spadła zasłonka przekomarzań, na twarzy Michaela widniał lęk.

Zawołał ku górze:

— Jak tam, kapitanie?

— Wszystko gra, wszystko gra — dobiegł szorstki, metaliczny głos Owensa.

Zapaliły się światła. Duval wyciągnął kilka szuflad po swojej stronie i zaczął przeglądać mapy. Cora z uwagą sprawdzała laser.

— Mogę wejść na górę, Owens? — spytał Grant.

— Może pan wsadzić tu głowę, jeśli pan chce — odpowiedział Owens. — Na więcej nie ma miejsca.

Grant odezwał się półszepem:

— Niech się pan nie męczy, doktorze Michaels. Nie będzie mnie przez parę minut, może pan podenerwować się bez świadków, jeśli ma pan ochotę.

Głos Michaela był suchy, a słowa zdawały się z trudem przedostawać przez zaciśnięte gardło.

— Jest pan taktownym człowiekiem, Grant. Gdybym się przespał w naturalny sposób...

Grant podniósł się i ruszył w kierunku drabinki. Uśmiechnął się szeroko do Cory, która flegmatycznie zeszła mu z drogi. Szybko wspiał się, spojrzął w górę, i powiedział:

— Skąd pan będzie wiedział, dokąd płynąć?

— Mam tu mapy Michaela — odrzekł Owens.

Pstryknął przełącznikiem i na jednym z ekranów przed nim ukazała się mapa układu krążenia, ta którą Grant widział przedtem kilkakrotnie. Owens dotknął innego przełącznika i niektóre części mapy rozjarzyły się mieniącym, żółtopomarańczowym blaskiem.

— Nasza planowana trasa — powiedział. — Michaels będzie mnie prowadzić, jeżeli zajdzie potrzeba, a ponieważ mamy napęd atomowy, Carter i reszta będą mogli precyzyjnie nas śledzić. Pomogą nam utrzymać kierunek, jeśli zadba pan o łączność.

— Ma pan skomplikowany zespół sterów.

— Są bardzo skomplikowane — powiedział Owens z widoczną dumą. — Do wszystkiego przyciski. Aparatura ta zajmuje tak mało miejsca, jak tylko to możliwe. Wie pan, ten okręt będzie używany do prac na dużych głębokościach.

Grant wrócił na dół i znów Cora usunęła mu się z drogi. W głębokim skupieniu pracowała przy swoim laserze, używając prawie zegarmistrzowskich przyrządów.

— Wygląda to skomplikowanie — powiedział Grant.

— Rubinowy laser, jeśli wie pan, co to takiego — odrzekła krótko.

— Wiem, że wysyła wąski promień zwartego, monochromatycznego światła, ale nie mam zielonego pojęcia, jak to działa.

— Proponuję, aby wrócił pan na swoje miejsce i pozwolił mi pracować.

— Tak jest, księżniczko. Jeśli ma pani jakieś futbolówki do zasznurowania, proszę mnie powiadomić.

Córa odłożyła mały śrubokręt i powiedziała:

— Panie Grant?

— Tak, pani?

— Czy zamierza pan uczynić nasze całe przedsięwzięcie odrażającym przez pańskie wyglupy?

— Nie zamierzam, ale... dobrze. Jak mam z panią rozmawiać?

— Jak z kolegą z załogi,

— Jest pani także młodą kobietą.

— Wiem o tym, panie Grant, lecz co to ma do rzeczy? Nie musi mi pan tego przypominać na każdym kroku.

Wiem kim jestem. To męczące i niepotrzebne. Gdy wykonamy nasze zadanie, zastanowię się jak pana traktować. A teraz proszę traktować mnie jako pełnoprawnego członka załogi, a nie jak kobietę. Dobrze?

— W porządku. Randka później.

— Panie Grant?

— Tak?

— Proszę nie mieć kompleksów z powodu gry w futbol. Ja naprawdę nie dbam o to.

Grant przełknął i powiedział:

— Coś mi mówi, że mogę mieć szansę, ale...

Nie zwracała już na niego uwagi. Powróciła do lasera. Grant uważnie obserwował najdrobniejszy ruch jej pewnych palców dostrajających laser.

— Ach, gdyby tylko nie była pani taka zasadnicza — westchnął.

Na szczęście nie usłyszała go lub udawała, że nie słyszy. Bez uprzedzenia położyła rękę na jego rękę. Grant zadrżał lekko pod dotknięciem jej ciepłych palców.

— Przepraszam! — powiedziała i przesunęła jego rękę na bok, po czym puściła ją. Prawie natychmiast nacisnęła kontakt lasera i smuga czerwonego światła, cienka jak włos, uderzyła w metalowy krążek, na którym przed chwilą była jego ręka. Od razu pojawiła się malusieńka dziurka i rozszedł się nikły zapach topionego metalu. Gdyby ręka Granta pozostała na miejscu, ta mała dziurka widniałaby w jego kciuku.

— Mogła mnie pani ostrzec! — rzekł Grant.

— Nie ma pan żadnego powodu, żeby tutaj stać, prawda? — odparła Cora. Podniosła laser, ignorując pomoc Granta i skierowała się w stronę magazynu.

— Tak, księżniczko — powiedział Grant pokornie. — W przyszłości, będąc obok pani, zwrócę baczną uwagę na to, gdzie położyć rękę.

Cora obejrzała się jak gdyby zaskoczona, a raczej niepewna. Potem uśmiechnęła się.

— Ostrożnie. Może pani dostać zmarszczek — rzekł Grant.

Jej uśmiech od razu znikł.

— Obiecał pan — powiedziała lodowato i weszła do magazynu.

Z góry dobiegł go głos Owensa:

— Grant! Proszę sprawdzić radio!

— Tak jest! — zawołał Grant. — Jeszcze się zobaczymy, Coro. Później!

Wsunął się na swoje siedzenie i po raz pierwszy spojrzął na radio.

— Zdaje się, że to urządzenie pracuje alfabetem Morse'a.

Michaels podniósł wzrok, był już opanowany.

— Tak. Transmisja głosu poprzez przepaść miniaturyzacji jest technicznie trudna. Przypuszczam, że potrafi pan operować kluczem.

— Oczywiście.

Wystukał krótki meldunek. Ogólny głośnik w sali miniaturyzacji zagrzemiał z natężeniem dźwięku łatwo słyszalnym wewnątrz „Proteusza”:

— Wiadomość otrzymano. Prosimy potwierdzić. Wiadomość brzmi: PANNA PETERSON UŚMIECHNĘŁA SIĘ,

Cora wracająca akurat na swoje miejsce spojrziała obrażona i powiedziała:

— Wielka szkoda.

Grant pochylił się nad radiem i wystukał: POPRAWNIE!

Tym razem odpowiedź przyszła kodem. Grant słuchał, po czym wykrzyknął:

— Wiadomość otrzymana z zewnątrz: PRZYGOTOWAĆ SIĘ DO MINIATURYZACJI.

ROZDZIAŁ 6

MINIATURYZACJA

Grant nie wiedział jak się zachować, pozostał na miejscu. Michaels podniósł się gwałtownie, rozejrzał dokoła, jakby sprawdzał, czy wszystko jest w porządku. Duval odłożył na bok mapy, zaczął szukać zapięcia pasów bezpieczeństwa.

— Mogę w czymś pomóc, doktorze? — spytała Cora.

Podniósł wzrok.

— Co? Ach, nie. Chodzi tylko o wyprostowanie sprzączki. Ot, i już.

— Doktorze...

— Tak? — znów podniósł wzrok i nagle zaniepokoił się brzmieniem jej głosu. — Czy coś nie w porządku z laserem, panno Peterson?

— Och, nie. Po prostu jest mi przykro, że byłam powodem nieporozumienia między panem a doktorem Reidem.

— To nic. Proszę o tym nie myśleć.

— Dziękuję, że pozwolił mi pan wziąć udział w tej akcji.

— To dla mnie naprawdę ważne, aby była pani ze mną — rzekł poważnie Duval. — Na nikim innym nie mógłbym polegać tak, jak na pani.

Cora podeszła do Granta, który manipulował teraz przy swoich pasach.

— Wie pan, jak to zapiąć?

— To trochę bardziej skomplikowane niż zwykłe pasy przy siedzeniu w samolocie.

— Właśnie. O, tutaj zaczepił pan nieprawidłowo. Pozwoli pan... — nachyliła się nad nim. Grant przyłapał się na tym, że wpatruje się z bliska w jej policzek i wdycha dyskretny i delikatny zapach perfum. Opanował się.

— Przepraszam — cicho zaczęła Cora — jeśli byłam dla pana surowa, ale moje położenie tutaj jest trudne.

— Uważam, że w tej chwili jest zachwycające... nie, proszę mi wybaczyć. Wymknęło mi się.

— Moja pozycja w CDMF — powiedziała Cora — jest taka sama jak pozycja wielu mężczyzn, ale na każdym kroku wytykają mi moją pleć. Albo okazują mi zbyt wiele względów, albo zbyt wielką protekcjonalność, a ja nie chcę ani jednego, ani drugiego. Nie przy pracy w każdym razie. To mnie przyprawia o frustrację.

Grant miał oczywistą odpowiedź, ale zachował ją dla siebie. Nie dziwił się jej kolegom, że nie potrafili przejść obok niej obojętnie.

— Bez względu na pani pleć — powiedział — jest pani tutaj najbardziej opanowaną osobą, pomijając doktora Duvala, a on wygląda jakby nie wiedział gdzie jest.

— Niech go pan tak nisko nie ocenia, panie Grant. On wie, że jest tutaj, zapewniam pana. Jeżeli jest spokojny, to dlatego, że zdaje sobie sprawę z ważności tej misji.

— Z powodu sekretu Benesa?

— Nie tylko. Po raz pierwszy miniaturyzacja ma być wykorzystana na taką skalę i dlatego, że wykorzystuje się ją w celu ratowania życia.

— Czy bezpieczne jest użycie lasera? — zapytał Grant. — Po tym, czego o mało nie zrobił z moim palcem?

— W rękach doktora Duvala ten promień zniszczy skrzep bez naruszenia choćby jednej molekuly w otaczającej go tkance.

— Ma pani wysokie mniemanie o jego zręczności.

— Taką opinię ma o nim cały świat i ja nie bez powodu ją podzielałam. Odkąd uzyskałam stopień naukowy, jestem jego asystentką.

— Podejrzewam, że on nie okazuje pani ani zbyt wiele protekcjonalności, ani zbyt wielu względów tylko dlatego, że jest pani kobietą.

— Ma pan rację. Nie okazuje.

Wróciła na swoje miejsce i jednym płynnym ruchem zapięła pasy.

— Doktorze Michaels, czekamy — zawołał Owens.

Michaels, który przedtem opuścił swoje siedzenie i powoli krążył po kabinie, zdawał się przez chwilę roztargniony i niepewny. Potem, spoglądając na osoby siedzące w fotelach, powiedział:

— Ach, tak! — usiadł i zapiął pasy.

Owens zszedł ze swojej kopuły, szybko sprawdził każde zapięcie, ponownie wspiął się na górę i nałożył swoje v pasy.

— Okay, panie Grant. Proszę zameldować, że jesteśmy gotowi.

Grant złożył meldunek. Prawie natychmiast odezwał się głośnik:

UWAGA, „PROTEUSZ”. UWAGA, „PROTEUSZ”. TO JEST OSTATNIA WIADOMOŚĆ OTWARTYM TEKSTEM, JAKĄ OTRZYMACIE DO CZASU ZAKOŃCZENIA MISJI. MACIE SZEŚĆDZIESIĄT MINUT. GDY MINIATURYZACJA BĘDZIE ZAKOŃCZONA, ZEGAR KONTROLNY NA STATKU DA ODCZYT SZEŚĆDZIESIĄT. PRZEZ CAŁY CZAS MACIE ZWRACAĆ UWAGĘ NA TEN ODCZYT, KTÓRY Z KAŻDĄ MINUTĄ BĘDZIE MALAŁ O JEDEN. NIE UFAJCIE, POWTARZAM, NIE UFAJCIE WASZEMU SUBIEKTYWNEMU POCZUCIU MIJANIA CZASU. MUSICIE WYDOSTAĆ SIĘ Z CIAŁA BENESA, ZANIM ODCZYT OSIĄGNIJE ZERO. JEŚLI TEGO NIE ZROBICIE, ZABIJECIE BENESA, NIEZALEŻNIE OD SUKCESU OPERACJI. POWODZENIA!

Głos umilkł. Grant nie umiał znaleźć niczego bardziej oryginalnego, by nie upaść na duchu, niż:

— O, to, to!

Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że powiedział to na głos. Michaels obok niego rzekł:

— Tak jest — i uśmiechnął się niepewnie.

W wieży obserwacyjnej czekał Carter. Przyłapał się na tym, że chciałby być raczej na „Proteuszu” niż tu. To będzie trudna godzina. Łatwiej byłoby mu gdyby osobiście kontrolował wydarzenia wewnątrz okrętu.

Wzdrygnął się na odgłos nagłego, ostrego stukania wiadomości radiowej, który dotarł do niego przez otwarte połączenie. Adiutant przy odbiorniku powiedział cicho:

— „Proteusz” melduje, że są przygotowani.

— Miniaturyzator! — zawołał Carter.

Właściwy przełącznik, oznaczony MIN, na właściwej tablicy rozdzielczej został dotknięty właściwym palcem właściwego technika.

To jest jak balet, pomyślał Carter, wszyscy są na miejscu i każdy zna ruchy, jakie ma wykonać. Ale zakończenie...

Dotknięcie określonego przełącznika spowodowało, że ściana przy końcu sali miniaturyzacji rozsunęła się i odsłoniła, kawałek po kawałku, potężną tarczę z sześciokątnymi jak plastry miodu otworami, zawieszoną na szynie biegnącej wzdłuż sufitu. Tarcza przesunęła się nad „Proteusza”, poruszając się cicho na strumieniu powietrznym, który utrzymywał jej zawieszenie w odległości jednej dziesiątej cala pod szyną.

Dla tych, którzy znajdowali się we wnętrzu „Proteusza”, tarcza w geometryczne wzory była wyraźnie widoczna. Zbliżała się jak ospowaty potwór. Czoło i łysina Michaelsa były zroszone potem.

— To jest miniaturyzator — powiedział.

Grant otworzył usta, ale Michaels dodał spieszenie:

— Niech mnie pan nie pyta, jak on działa. Owens wie, ja nie.

Grant odruchowo spojrzał w górę i do tyłu, w kierunku Owensa, który zdawał się cały napinać i sztywnieć. Jedna z jego rąk była wyraźnie widoczna. Ścisnęła mocno drążek, który, jak Grant się domyślił, był jednym z ważniejszych elementów sterów statku. Owens ścisnął go, jakby coś materialne i silne dodawało mu otuchy. A może dotknięcie jakiejś części okrętu, który sam zaprojektował, było kojące? On, bardziej niż ktokolwiek, musiał znać siłę — lub słabość — tego okrętu, który miał zachować wokół nich mikroskopijną odrobinę normalności.

Grant odwrócił wzrok i jego spojrzenie natknęło się na Duvala, którego wąskie wargi były rozciągnięte w bladym uśmiechu.

— Wygląda pan na zaniepokojonego, panie Grant. Czy nie na tym polega pańska profesja, by znajdując się w niebezpiecznych sytuacjach, nie tracić zimnej krwi? Cholera! Od iluż to dziesięcioleci naród jest karmiony bajkami o tajnych agentach?

— Nie, doktorze — odparł Grant spokojnie. — W mojej profesji znajdować się w niebezpiecznej sytuacji i nie być zaniepokojonym to tyle, co wkrótce zostać nieboszczykiem. My mamy tylko inteligentnie działać, bez względu na stan naszych uczuć. Pan nie odczuwa niepokoju?

— Nie, odczuwam ciekawość. Czuję dreszcz emocji. Jestem ponad miarę zaciekawiony i podekscytowany, a nie niespokojny.

— Jakie jest według pańskiej opinii ryzyko śmierci?

— Małe, mam nadzieję. Ja w każdym razie, mam pociechę w religii. Wypowiadałem się. Dla mnie śmierć jest tylko stanem przejściowym.

Grant nie znalazł na to sensownej riposty i zamilkł. Dla niego śmierć była czystą, pustą bramą w jedną tylko stronę. Musiał przyznać, że nie wierzył w życie po tamtej stronie. Zaczął go dręczyć niepokój. Uświadomił sobie, że jego własne czoło jest mokre, może tak mokre jak czoło Michaelsa, i że Cora patrzy na niego jakby ze współczującą pogardą. Powiedział impulsywnie:

— A pani wypowiadała się, panno Peterson?

— Jakie grzechy ma pan na myśli, panie Grant? — odrzekła zimno.

Nie wiedział. Osunął się w swym fotelu i spojrzał w górę, na miniaturyzator, który był teraz dokładnie nad nimi.

— Co się czuje, kiedy jest się miniaturyzowanym, doktorze Michaels?

— Przypuszczam, że nic. Jest to jakaś forma ruchu, kurczenie się skierowane do wewnątrz, a jeśli odbywa się w równomiernym tempie, nie ma przy tym większych sensacji niż przy zjeżdżaniu ruchomymi schodami ze stałą prędkością. — To jest teoria. — Grant wciąż miał wzrok utkwiony w miniaturyzatorze. — Jakie są prawdziwe doznania?

— Nie wiem. Nigdy tego nie doświadczyłem. Zwierzęta doświadczalne nigdy nie okazują zdenerwowania podczas miniaturyzacji. Zachowują się normalnie i reagują normalnie jak to osobiście zauważyłem.

— Zwierzęta? — Grant spojrzał na Michaelsa ze zdziwieniem. — Zwierzęta? Czy jakikolwiek człowiek był kiedyś miniaturyzowany?

— Obawiam się — rzekł Michaels — że mamy zaszczyt być pierwsi.

— To wzruszające. Jaka jest dolna granica, do której miniaturyzuje się żywe stworzenia?

— Pięćdziesiąt — odrzekł krótko Michaels.

— Co?

— Pięćdziesiąt. Mam na myśli to, że redukujemy o pięćdziesiąt. Liniowe wymiary wynoszą jedną pięćdziesiątą normalnych.

— Tak, jakby zredukować mnie do wysokości około półtora cala?

— Tak, właśnie.

— Ależ my znacznie przekroczyliśmy tę granicę!

— Owszem. Do blisko miliona, jak sądzę. Owens może podać panu dokładną liczbę.

— Mniejsza o dokładną liczbę. Sedno w tym, że jest to o wiele większa miniaturyzacja niż te, których próbowano kiedykolwiek przedtem.

— — Słusznie. Mówiłem już o tym wcześniej. Czy pan nie słuchał?

— Widocznie nie — powiedział Grant ponuro. — Niektórych rzeczy nie przyswaja się od razu. Proszę mi powiedzieć czy myśli pan, że damy radę udźwignąć te wszystkie zaszczyty, którymi jesteśmy zasypywani na tej pionierskiej drodze?

— Panie Grant — rzekł Michaels z lekkim uśmiechem — obawiam się, że musimy. Jesteśmy teraz miniaturyzowani, dokładnie teraz, i to się rzuca w oczy. Pan tego nie czuje?

— Dobry Boże — wymamrotał Grant i znów spojrział w górę.

Dno miniaturyzatora jarzyło się bezbarwnym światłem, które płonęło nie oślepiając. Zdawało się być odbierane nie oczami, lecz nerwami, tak że kiedy Grant zamknął oczy, wszystkie obiekty zniknęły, a światło widniało nadal jako niesprecyzowane, pozbawione szczególnych cech promieniowania.

Michaels musiał zauważyć, że Grant zamyka oczy, gdyż powiedział:

— To nie jest światło. To nie jest żaden rodzaj promieniowania elektromagnetycznego. To forma energii, która nie jest częścią naszego normalnego świata. Oddziałuje ona na zakończenia nerwowe, a nasz mózg interpretuje to jako światło, ponieważ nie zna innego sposobu interpretacji tego zjawiska.

— Czy to jest niebezpieczne?

— O ile wiadomo, nie. Ale muszę przyznać, że dotąd niczego nie wystawiono na tak intensywne działanie tej energii.

— Znów pionierstwo — mruknął Grant.

— Wspaniale! — wykrzyknął Duval. — Jak światło tworzenia!

Sześciokątne płyty pod statkiem jarzyły się w odpowiedzi, „Proteusz” sam świecił światłem zewnętrznym i wewnętrznym. Fotel, w którym siedział Grant, pozostał solidny i chłodny. Nawet powietrze wokół rozświetliło się. Oddychał zimną iluminacją. Postacie współpasażerów i jego własne ręce jarzyły się lodowato, świecąca ręka Duvala iskrzącym ruchem nakreśliła znak krzyża, a jego promieniujące wargi poruszyły się.

— Teraz się pan boi, doktorze Duval? — spytał Grant.

— Człowiek modli się nie tylko ze strachu — cicho odrzekł Duval — ale też z wdzięczności za przywilej oglądania wielkich cudów Bożych.

Grant uznał się w duchu za pobitego. Nie czuł się dobrze.

— Spójrzcie na ściany! — krzyknął Owens.

Ściany odpływały we wszystkich kierunkach z widoczną prędkością, a sufit przesunął się w górę. Wszystkie końce wielkiej sali osłaniała gęsta, narastająca ciemność, tym gęściejsza, że

widziana poprzez świecące powietrze. Miniaturyzator był teraz przeogromnym przedmiotem o słabo widocznych zarysach. W każdym nacięciu „plastra miodu” widniał okruch niezemskiego światła — syntetyczny obraz wielu błyszczących gwiazd na czarnym niebie.

Grant zauważył, że ekscytujący widok pozbawia go zdenerwowania. Spojrzał pospiesznie na innych. Wszyscy patrzyli w górę, zahipnotyzowani przez światło, przez te ogromne odległości, które powstawały nie wiadomo skąd, przez salę, która powiększyła się do rozmiarów wszechświata i wszechświat, który przekroczył już granice poznania. Bez ostrzeżenia światło przygasło do przyćmionej czerwieni. Zabrzmiał staccato sygnał radiowy, wybuchając ostrym, budzącym echo dzwonieniem. Grant aż podskoczył.

— Belinski u Rockefellera stwierdził, że subiektywne wrażenia zmysłowe muszą zmieniać się wraz z miniaturyzacją — powiedział Michaels. — Powszechnie go zlekceważono, miał jednak rację, co było słycać.

— Ale pański głos nie zmienił się — rzekł Grant.

— To dlatego, że my obaj jesteśmy w równym stopniu zminiaturyzowani. Ja mówię o wrażeniach, które muszą przejść przez przepaść, miniaturyzacji. O wrażeniach z zewnątrz.

Grant przetłumaczył i odczytał wiadomość, która nadeszła:

MINIATURYZACJA WSTRZYMANA. CZY WSZYSTKO W PORZĄDKU? ODPOWIEDŹ NATYCHMIAST!

— Czy wszyscy czują się dobrze? — zapytał Grant ironicznie. Nie było odpowiedzi, więc rzekł: — Milczenie oznacza tak — i wystukał: WSZYSTKO DOBRZE.

Carter oblizwał suche wargi. Z bolesnym skupieniem obserwował, jak miniaturyzator rozjarza się. Wiedział, że każdy w sali na dole, aż do najmniej ważnego technika, robi to samo.

Nigdy nie miniaturyzowano żywych istot ludzkich. Nigdy nie miniaturyzowano czegoś tak wielkiego jak „Proteusz”. Niczego, człowieka czy zwierzęcia, żywego czy martwego, dużego czy małego, nie miniaturyzowano dotąd do takich rozmiarów. Odpowiedzialność spoczywała na nim — cała odpowiedzialność w tym trwającym koszmarze.

— On znika — dobiegł triumfalny szept technika przy przycisku miniaturyzacyjnym.

To powiedzenie poszło na sieć łączności, kiedy Carter obserwował, jak „Proteusz” się kurczy. Z początku działo się to powoli, tak że można to było stwierdzić tylko na podstawie zmiany stopnia, w jakim statek pokrywał sobą sześciokątne płyty tworzące podłogę. Te, które były częściowo odsłonięte, poza skrajem statku, pełzały odsuwając się od niego i w końcu zaczęły ukazywać się płyty, będące uprzednio zupełnie zakryte. Wynurzyły się wszystkie sześciokąty wokół „Proteusza” i tempo miniaturyzacji rosło dopóty, dopóki okręt nie zaczął się kurczyć jak płatek śniegu na ciepłej powierzchni.

Carter już sto razy obserwował miniaturyzację, lecz nigdy nie wywarło to na nim takiego wrażenia, jakiego doświadczał teraz. Wyglądało jakby statek zapadał się w głąb długiej, nieskończenie długiej jamy, spadając w absolutnej ciszy i malejąc coraz bardziej. Dystans rósł w mile, dziesiątki mil, setki. Teraz okręt był białym żukiem spoczywającym na centralnym sześciokącie bezpośrednio pod miniaturyzatorem — na czerwonym sześciokącie pośród masy białych, na Module Zero. „Proteusz” nadal opadał, nadal się kurczył. Carter z wysiłkiem podniósł rękę. Blask miniaturyzatora przygasł do przyćmionej czerwieni. Proces miniaturyzacji zatrzymał się.

— Dowiedzieć się, jak się czują, zanim będziemy kontynuować.

Nie było wykluczone, że nie żyją lub, co byłoby równie złe, że są niezdolni do skutecznego wypełnienia swoich zadań. W takim wypadku byłiby zgubieni i dobrze byłoby wiedzieć to teraz.

Technik–radiowiec powiedział:

— Mamy odpowiedź: WSZYSTKO DOBRZE.

Carter pomyślał: Jeśli są niezdolni do przeprowadzenia operacji, mogą nie zdawać sobie z tego sprawy. Ale jak to sprawdzić? Trzeba udawać, że wszystko w porządku, skoro załoga „Proteusza” twierdzi, że tak jest.

— Podnieść statek — rozkazał Carter.

ROZDZIAŁ 7

ZANURZENIE

Moduł Zero zaczął powoli dźwigać się z podłogi. Gładka, sześciokątna kolumna z czerwonym wierzchem i białymi bokami unosiła na sobie szerokiego na cal „Proteusza”. Gdy wierzchołek znalazł się o cztery stopy nad podłogą, kolumna znieruchomiła.

— Gotów do fazy dwa, sir — rozległ się głos jednego z techników.

Carter rzucił krótkie spojrzenie na Reida, który skinął głową.

— Faza dwa — powiedział Carter.

Kaseton rozsunął się na oścież i urządzenie manipulujące (gigantyczny Waldo, nazwany tak przez dawnych fachowców od atomów na cześć postaci z fantastyczno–naukowej opowieści z lat czterdziestych) wsuwało się w ciszy poruszane strumieniem powietrza. Było wysokie na czternaście stóp i składało się z krążków na trójnogu. Krążki sterowały pionowym wysięgnikiem zwisającym ku dołowi z poziomego ramienia. Sam wysięgnik posiadał występy im niżej, tym krótsze i mniejsze. Były to trzy występy, a najniższy, długi na dwa cale, był zaopatrzony w stalowe druty ćwierćcalowej grubości, tak powyginane, by stykały się ze sobą, zazębiając się na przemian.

Na podstawie urządzenia widniały insygnia: CMDF, a poniżej napis: MIN. STEROWANIE PRECYZYJNE.

Wraz z urządzeniem sterującym weszło trzech techników. Czekala na nich z niecierpliwością pielęgniarka w uniformie. Brązowe włosy pod pielęgniarskim czepkiem wyglądały na pospiesznie przyczesane. W tym dniu co innego było ważniejsze od fryzury.

Dwaj technicy skierowali wysięgnik Walda wprost nad zmniejszonego „Proteusza”. Dla doskonałego dostrojenia trzy cienkie jak włos promienie światła sięgnęły od wysięgnika do powierzchni Modułu Zero. Odległość każdego promienia od środka Modułu została przeniesiona na natężenie światła na małym, okrągłym ekranie, podzielonym na trzy segmenty stykające się w jego centrum. Natężenia światła, najwyraźniej nierówne, zmieniały się subtelnie, kiedy trzeci technik wprawnie kręcił gałką. W ciągu kilku sekund wyrównał natężenie trzech segmentów w takim stopniu, że zatarły się granice między nimi. Wtedy technik przekręcił gałkę i unieruchomił Waldo we właściwej pozycji. Wyznaczające środek linie świetlne błyskawicznie zniknęły i szerszy promień światła oświetlił „Proteusza” przez bezpośrednie odbicie.

Przeprowadzono kolejną regulację i wysięgnik opuścił się ku „Proteuszowi”. Zniżał się powoli i delikatnie. Technik wstrzymywał oddech. Prawdopodobnie manipulował już bardziej zminiaturyzowanymi obiektami niż czynił to ktokolwiek w tym kraju, możliwe, że i na świecie, ale to tutaj było wydarzeniem bez precedensu. To, co miał podnieść, posiadało normalnie masę wielokrotnie większą niż obiekty, z jakimi miał dotąd do czynienia i zawierało pięć żywych istot ludzkich. Nawet niewielkie, ledwo dostrzegalne drgnienie mogło spowodować ich śmierć.

Zęby widełek u dołu urządzenia rozwarły się i z wolna zsunęły nad „Proteusza”. Technik zatrzymał je i spróbował upewnić się wzrokiem, że to, co mówią instrumenty, jest prawdą. Widełki były precyzyjnie wypośrodkowane. Zamykały się powoli, bardzo powoli, aż zetknęły się poniżej okrętu i utworzyły ściśle spojona, precyzyjnie dopasowaną kołyskę. Wówczas Moduł Zero opadł i pozostawił „Proteusza” zawieszzonego w kleszczach kołyski. Moduł Zero nie zatrzymał się na poziomie podłogi, lecz zagłębił się niżej. Pod zawieszonym okrętem przez parę chwil nie było nic prócz otworu. Potem z otchłani, którą zostawił po sobie Moduł Zero, zaczęły podnosić się w górę pionowe szklane ścianki. Kiedy ścianki jasne i cylindryczne wynurzyły się na półtorej stopy, ukazał

się menisk klarownego płynu. Kiedy znów na poziomie podłogi wyłonił się Moduł Zero, spoczywał na nim cylinder, na stopę szeroki i na cztery stopy wysoki, w dwóch trzecich wypełniony płynem. U podstawy cylindra, na korkowej opasce, tłoczone litery głosiły: Roztwór soli.

Wysięgnik Walda, który nie drgnął podczas tej zamiany, wisiał teraz nad roztworem. Okręt był zawieszony w górnej części cylindra, o stopę nad poziomem płynu. Teraz wysięgnik opadał coraz wolniej. Zatrzymał się, gdy „Proteusz” znalazł się niemal na poziomie roztworu, a potem zaczął poruszać się z prędkością zmniejszoną w skali jeden do dziesięciu tysięcy. Przekładnie pod kontrolą technika poruszały się szybko, podczas gdy okręt obniżał się w tempie niewidocznym dla oka.

Zetknięcie! „Proteusz” obniżał się coraz bardziej, aż zanurzył się do połowy. Technik zatrzymał go przez moment, a potem wolno rozłączył kleszcze i upewniając się, że poszczególne druty nie zahaczą o okręt, wywindował je z roztworu. Z przytłumionym: Juhuuu! szybko uniósł wysięgnik i poluzował Waldo.

— Okay, zabierzmy to stąd — powiedział do kolegów po obu stronach, a potem zameldował oficjalnym tonem: — Statek w ampułce, sir!

— Dobrze! Sprawdzić, co z załogą! — powiedział Carter.

Przenoszenie z Modułu do ampułki było bardzo delikatne z punktu widzenia normalnego świata, ale nie dla tych, którzy znajdowali się wewnątrz „Proteusza”. Grant nadał przez radio: WSZYSTKO DOBRZE, a potem przewyciężając nadchodzące mdłości, gdy Moduł Zero zaczął się podnosić, powodując nagły przechył, powiedział:

— Co teraz? Czy ktoś wie? Dalsza miniaturyzacja?

— Przed następną fazą miniaturyzacji będziemy musieli się zanurzyć — odpowiedział Owens.

— Zanurzyć, w co?

Grant nie otrzymał odpowiedzi na pytanie. Wyjrzał na zewnątrz, w ciemny wszechświat sali miniaturyzacyjnej i pierwszy raz zobaczył olbrzymy. Byli to ludzie posuwający się ku nim, ludzie jak wieże w przyćmionym zewnętrznym świetle, ludzie ku górze i ku dołowi skróceni perspektywnie, jak gdyby oglądani w gigantycznych, zniekształcających zwierciadłach. Sprzączka od pasa była metalowym kwadratem o boku długości jednej stopy. But mógłby być wagonem kolejowym. Głowa, w górze, zdawała się przeogromnym nosem otaczającym bliźniacze tunele nozdrzy. Olbrzymy poruszały się z dziwną ospałością.

— Poczucie czasu — mruknął Michaels. Jednym okiem spoglądał w górę, a drugim na zegarek.

— Co? — zapytał Grant.

— Jeszcze jedna sugestia Belinskiego: poczucie czasu zmienia się wraz z miniaturyzacją. Normalny czas zdaje się wydłużać i rozciągać. Wydaje się, że pięć minut trwa minut dziesięć. Ten efekt staje się silniejszy wraz ze wzrostem stopnia miniaturyzacji, ale jaka jest dokładnie ta zależność, nie potrafię powiedzieć. Belinski potrzebuje danych eksperymentalnych. Teraz możemy mu je dostarczyć — wyciągnął ku Grantowi swój zegarek. — Widzi pan?

Grant spojrział, potem popatrzył na swój. Sekundnik zdawał się pełzać powoli po tarczy. Przyłożył zegarek do ucha. Usłyszał tylko słabe furczenie jego malusieńkiego werku, który wydawał tony niższe niż zwykle.

— To dobre — powiedział Michaels. — Mamy godzinę, ale nam będzie się wydawać, że trwa ona kilka. Dobry numer, co?

— Chce pan powiedzieć, że będziemy poruszać się szybciej?

— Według nas samych będziemy poruszać się normalnie, lecz obserwatorowi na zewnątrz będzie się zdawało, że poruszamy się jak na przyśpieszonym filmie. Co, oczywiście, byłoby dobre, uwzględniając, że czas mamy ograniczony.

— Ale...

Michaels potrząsnął głową.

— Proszę! Nie potrafię wyjaśnić tego lepiej. Myślę, że rozumiem biofizykę Belinskiego, ale jego matematyka przekracza moje pojmowanie. Być może Owens potrafi panu powiedzieć.

— Zapytam go potem — rzekł Grant. — Jeśli będzie jakieś „potem”.

Nagle okręt znalazł się w świetle — zwykłym, białym świetle. Oczy Granta złowiły jakieś poruszenie i spojrział w górę. Coś opadało. Gigantyczna para kleszczy przesuwiała się w dół po obu stronach statku.

— Niech wszyscy sprawdzą pasy! — krzyknął Owens. Grant nie przejął się tym. Poczul szarpnięcie i okręcił się na fotelu tak daleko, na ile pozwalały pasy.

— Sprawdzałam, czy jest pan dobrze przypięty — powiedziała Cora.

— Klamry trzymają — odparł Grant — ale dziękuję.

— Bardzo proszę. — Po czym, zwracając się na prawo, rzekła troskliwie: — Doktorze Duval,

pańskie pasy.

— W porządku. A pani pasy są w porządku?

Cora uprzednio rozluźniła swoje pasy, by móc dosięgnąć Granta. Teraz zacisnęła je. Ledwo zdążyła. Kleszcze przesunęły się poniżej poziomu wzroku i teraz szły razem jak gigantyczne, miażdżące szczęki. Grant zeszywniał.

Szczęki zatrzymały się, znów poruszyły i zetknęły ze sobą. „Proteusz” drgnął, zatrzęsł się. Wszystko na okręcie zostało gwałtownie ciśnięte w prawo, potem mniej gwałtownie w lewo. Zgrzytliwy, odbijający się echem głos szczęk wypełnił statek.

Nastąpiła cisza. Mieli wyraźne poczucie zawieszenia nad próżnią. Statek kołysał się delikatnie i drżał nieznacznie. Grant spojrzał w dół. Zobaczył rozległą, czerwoną powierzchnię, opadającą, coraz bardziej mętniejącą, ciemniejącą i znikającą. Nie miał sposobu dowiedzieć się, jaka jest odległość od podłogi w skali odpowiadającej ich obecnym rozmiarom, ale wrażenie było takie, jakiego doznał kiedyś, gdy wychylił się z okna na dwudziestym piętrze.

Coś tak małego jak okręt w tej chwili spadając z tej wysokości, nie powinno doznać większej szkody. Opór powietrza zwolniłby ich spадanie do bezpiecznej prędkości, jeśli zależałoby to jedynie od ich niewielkich rozmiarów. Grant pamiętał, argument wysunięty przez Owensa podczas odprawy. W tym momencie składał się z tylu atomów co człowiek normalnej wielkości, a nie z tych niewielu, z jakich składałby się naprawdę obiekt wielkości równej jego obecnym wymiarom. Był też odpowiednio bardziej kruchy. Okręt również. Upadek z tej wysokości roztrzaskałby go i zabił załogę.

Spojrzał na wiszące rusztowanie trzymające statek. Nie przestawał myśleć, jak wygląda ono w oczach normalnego człowieka. Dla niego były to zakrzywione stalowe słupy o średnicy dziesięciu stóp, starannie zazębione w solidną, metalową kołyskę. Przez chwilę poczuł się bezpieczny.

— Zbliża się! — zawołał Owens podnieconym głosem.

Grant szybko rozejrzał się na wszystkie strony, zanim się zorientował, co się zbliża. Światło migotało, odbijając się od gładkiej, przezroczystej powierzchni szklanej obręczy, dostatecznie wielkiej, by objąć dom. Podnosiła się równo i szybko, a daleko pod nimi — bezpośrednio pod nimi — światło tworzyło nieoczekiwany, opalizujący i migotliwy refleks na roztworze.

„Proteusz” był zawieszony nad jeziorem. Szklane ściany cylindra wznosiły się teraz ze wszystkich stron, a powierzchnia jeziora robiła wrażenie, że znajduje się nie więcej niż pięćdziesiąt stóp poniżej. Grant oparł się plecami o fotel. Bez trudu odgadł, co teraz nastąpi. Przygotował się, nie poczuł żadnych mdłości, kiedy jego siedzenie zdawało się zapadać. Wrażenie to było bardzo podobne do tego, jakiego doświadczył kiedyś w trakcie wodowania na oceanie przy włączonych silnikach. Samolot, który dokonywał tego manewru, został wydobyty, ale „Proteusz”, okręt podwodny, przeniesiony drogą powietrzną, nie miał zostać wyciągnięty. Grant napiął mięśnie, po czym spróbował je rozluźnić. Uderzyli o coś i wskutek wstrząsu zęby Granta zgrzytnęły tak, że omal nie stracił ich. Spodziewał się, że zobaczy pył wodny, ścianę wysoko bryzgającej wody. W zamian ujrzał ogromne, grube wybrzuszenie, gładko zaokrąglone, oddalające się szybko. Potem, kiedy opadanie trwało nadal, pojawiły się kolejne wybrzuszenia.

Kleszcze kołyski rozłączyły się. Okręt zatrzęsł się i wreszcie zatrzymał, dryfując i okręcając powoli, jakby pozbawiony sterowności.

Grant wykonał długi wydech. Tak, byli na powierzchni jeziora, ale powierzchnia ta nie przypominała żadnej z tych, jakie dotąd widywał.

— Spodziewał się pan fal, panie Grant? — odezwał się Michaels.

— Rzeczywiście.

— Muszę wyznać, że ja też. Umysł ludzki, Grant, to zabawna rzecz. Zawsze spodziewa się, że

zobaczy to, co już widział. Jesteśmy zminiaturyzowani i wsadzeni do małego zbiornika z roztworem soli. Wydaje się nam, że to jezioro, więc oczekujemy fal, piany i kto wie, czego jeszcze. Choć przypomina to jezioro, jest zaledwie małym zbiornikiem, a powierzchnia marszczy się tylko lekko, nie wytwarzając fal. Obojętnie jak się te zmarszczki powiększy, nigdy nie będą wyglądały jak fale!

— To interesujące — powiedział Grant.

Grube wały płynu, z których w zwykłej skali tworzyłyby się drobniutkie zmarszczki, nadal dążyły od okrętu ku odległej ścianie. Odbiwszy się od niej, wracały i powodowały zakłócenia, które rozbiły wały wodne na oddzielne góry. „Proteusz” podnosił się i opadał w szalonym rytmie.

— Interesujące? — rzekła Cora z oburzeniem. — To wszystko, co potrafi pan powiedzieć? To jest po prostu wspaniałe!

— Dzieło Boże — dodał Duval. — Jest majestatyczne w każdej skali.

— W porządku — powiedział Grant. — Kupuję to. Wspaniałe i majestatyczne. Zgoda. Tylko przyprawia o mdłości.

— Och, panie Grant! — obruszyła się Cora. — Jak pan coś powie...

— Przepraszam — powiedział Grant.

Odezwało się radio i Grant zameldował: WSZYSTKO W PORZĄDKU — powstrzymał odruch, by nadać: WSZYSCY MAJĄ CHOROBE MORSKĄ.

Nawet Cora wyglądała tak, jakby jej było niedobrze. Być może nie powinien sugerować myśli o mdłościach.

— Będziemy musieli ręcznie pokierować zanurzeniem — powiedział Owens. — Grant, niech pan się wyslizgnie ze swoich pasów i otworzy zawory „jeden” i „dwa”.

Grant chwiejnie stanął na nogach zachwycony poczuciem nawet tej ograniczonej swobody chodzenia i podszedł do zaworu motylkowego na przepierzeniu oznaczonego: Jeden.

— Ja włączę drugi — powiedział Duval.

Ich oczy spotkały się na chwilę i Duval, zakłopotany obecnością drugiej osoby, uśmiechnął się niepewnie. Grant odwzajemnił uśmiech i pomyślał z oburzeniem: właściwie jak ona może darzyć sentymentem kogoś tak roztargnionego.

Z chwilą otwarcia zaworów otaczający ich płyn zaczął napływać do odpowiednich komór okrętu. Na zewnątrz jego lustro podnosiło się wyżej, coraz wyżej. Grant wspiął się po drabince do górnej kopuły i zapytał:

— Jak to wygląda, kapitanie Owens? Owens potrząsnął głową.

— Trudno powiedzieć. Odczyty na tarczach instrumentów nie mają znaczenia. Zostały przeznaczone do pracy w prawdziwym oceanie, gdzie jest inne pole widzenia. Do cholery, nigdy nie dostosowywałem „Proteusza” do tego.

— Moja matka także nigdy nie przystosowywała mnie do tego — powiedział Grant.

Byli już zanurzeni. Duval zamknął obydwie zawory, a Grant wrócił na swoje miejsce. Zapiął pasy niemal z poczuciem luksusu. Gdy tylko znaleźli się pod powierzchnią, kapryśne wznoszenie się i opadanie drobnych wybrzuszeń ustało. Nastąpił błogosławiony bezruch.

Carter próbował otworzyć zaciśnięte pięści. Jak dotąd, poszło nieźle. WSZYSTKO W PORZĄDKU — zabrzmiało z wnętrza łodzi, która była teraz małą kapsułką w roztworze soli.

— Faza trzy — powiedział.

Miniaturyzator, którego blask był przyćmiony przez całą drugą fazę, rozgorzał białym światłem ze środkowych sekcji „plastra miodu”. Carter patrzył z przejęciem. Trudno powiedzieć, czy to co widział, było obiektywnie realne czy był to wytwór wyobraźni. Nie, naprawdę okręt znów zmniejszał się. Długi na cal żuczek redukował swoje wymiary i czyniła to przypuszczalnie ciecz w jego bezpośrednim sąsiedztwie. Zogniskowanie promienia miniaturyzacyjnego było ścisłe i dokładne. Carter wypuścił wstrzymywany oddech. Każde stadium zawierało pewien rodzaj niebezpieczeństwa. Wyobraził sobie, co mogłoby się zdarzyć, gdyby promień był odrobinę mniej dokładny, gdyby połowa „Proteusza” zmminiaturyzowała się gwałtownie, podczas gdy druga, pochwycona przez brzeg promienia, zmminiaturyzowałaby się powoli albo wcale. Ale tak się nie stało. Na szczęście.

„Proteusz” był teraz malejącą kropką, coraz mniejszą, prawie na granicy widoczności. Miniaturyzator natężył blask. Niewykonalne było zogniskowanie promienia na czymś zbyt małym, by to zobaczyć. Dobrze, bardzo dobrze, pomyślał Carter.

Cylinder z płynem kurczył się coraz szybciej, aż wreszcie stał się już tylko ampulką wysoką na dwa cale i grubą na pół cala zawierającą w zmminiaturyzowanym płynie superzmminiaturyzowanego „Proteusza”, nie większego od dużej bakterii. Miniaturyzator znów przygasł.

— Wywołajcie ich — powiedział Carter drżącym głosem. — Niech się odezwą.

Stał napięty i czekał. Cekał całą wieczność. Wreszcie upragniona wiadomość nadeszła: WSZYSTKO W PORZĄDKU.

Czterech mężczyzn i kobieta, którzy kilkanaście minut temu stali przed nim pełni życia normalnego wzrostu, byli teraz maleńkimi drobinkami materii wewnątrz okrętu wielkości bakterii — nadal byli żywi.

— Zabierzcie miniaturyzator, natychmiast.

Ostatni, przyćmiony błysk miniaturyzatora mignął króciutko, gdy go zabierano. Pusta, okrągła tarcza nad głową Cartera rozbłysła cyframi: 60.

Carter kiwnął głową do Reida:

— Kolej na ciebie, Don. Od tej chwili mamy sześćdziesiąt minut.

ROZDZIAŁ 8

WNIKNIĘCIE

Po zanurzeniu światło miniaturyzatora zabłysło ponownie, a cały płyn wokół statku zmienił się w słabo migoczące, mętne mleko. Nie nastąpiło nic takiego, co dałoby się zaobserwować z wnętrza „Proteusza”. Nie można było stwierdzić, czy okręt nadal się kurczy.

Na okręcie panowało milczenie. Zdawało się trwać wiecznie. Światło miniaturyzatora zniknęło.

— Czy wszyscy czują się dobrze?! — zawołał Owens.

— Ja czuję się świetnie — odpowiedział Duval. Cora skinęła głową. Grant podniósł rękę uspokajającym gestem. Michaels nieznacznie wzruszył ramionami i rzekł:

— Nic mi nie jest.

— Dobrze! Sądzę, że jesteśmy w pełni zminiaturyzowani — powiedział Owens.

Pstryknął przełącznikiem, którego jeszcze dotąd nie używał. Przez pełen napięcia moment czekał, aż ożyje tarcza zegara. Ożyła ciemnymi, ostro zarysowanymi cyframi: 60. Podobna tarcza, umieszczona niżej na okręcie była widoczna dla pozostałych czworga.

Radio zaterkotało zgrzytliwie i Grant odpowiedział: WSZYSTKO OKAY. Przez moment wydawało się, że osiągnęli punkt kulminacyjny.

— Na zewnątrz mówią, że jesteśmy w pełni zminiaturyzowani — rzekł Grant.

— Dokonaliśmy tego — rzekł Owens, wzdychając z ulgą. — Przekroczyliśmy granicę, której nikt nie przekroczył przed nami.

Grant pomyślał: Miniaturyzacja zakończona, ale misja nie. Ona się dopiero zaczyna. Sześćdziesiąt. Sześćdziesiąt minut. Głośno powiedział:

— Kapitanie Owens, dlaczego okręt wibruje? Czy coś nie w porządku?

— Czuję to — rzekł Michaels. — To jest nierówna wibracja.

— Ja też to czuję — powiedziała Cora.

Owens zszedł na dół, wycierając czoło wielką chustką.

— Nic nie możemy na to poradzić. To ruchy Browna. Michaels podniósł ręce z okrzykiem:

— O, Boże! — wyrażającym bezradne zrozumienie.

— Czyje ruchy? — zapytał Grant.

— Browna. Robert Brown to osiemnastowieczny, szkocki botanik, który pierwszy je zaobserwował. Widzi pan, jesteśmy ze wszystkich stron bombardowani przez cząsteczki cieczy. Gdybyśmy byli normalnej wielkości, te cząsteczki byłyby w porównaniu z nami tak maleńkie, że ich uderzenia nie miałyby żadnego wpływu. Ale fakt, że jesteśmy tak bardzo zminiaturyzowani przynosi mniej więcej takie efekty, jakie nastąpiłyby, gdybyśmy pozostali niezmiennymi, a wszystko, co nas otacza, zostało ogromnie powiększone.

— Jak ta ciecz dookoła?

— : Właśnie. Nie jesteśmy w złym położeniu. Ciecz wokół nas została częściowo zminiaturyzowana wraz z nami. Ale kiedy dostaniemy się do krwiobiegu, każda cząsteczka wody w przeliczeniu na naszą obecną skalę, będzie ważyła miligram lub coś koło tego. Pojedynczo te cząsteczki będą zbyt małe, aby mieć na nas jakiś wpływ, lecz tysiące ich będą uderzały w nas jednocześnie ze wszystkich stron, a te uderzenia nie będą rozłożone równomiernie. W każdej chwili z prawej strony może uderzać kilkaset więcej niż z lewej, a połączona siła tych kilkaset nadwyżki zepchnie nas na lewo. W następnej chwili możemy zostać zepchnięci w dół i tak dalej. Wibracja, którą odczuwamy, jest rezultatem takich przypadkowych uderzeń cząsteczek. Później może być

jeszcze gorzej.

— Świetnie — mruknął Grant — Mdłości, oto, co mnie czeka.

— W najgorszym razie będzie to trwało tylko godzinę — powiedziała Cora ze złością. —

Chciałabym, żeby pan się zachowywał dorośle.

Z widocznym zdenerwowaniem Michaels zapytał:

— Czy okręt może znieść takie bombardowanie, Owens?

— Myślę, że tak — odrzekł Owens. — Przeprowadziłem obliczenia w tym względzie. Na podstawie tego, co czuję teraz, sędzę, że nie pomyliłem się wiele. Można będzie to wytrzymać.

— Nawet jeśli okręt zostanie zbombardowany i zmiążdżony — powiedziała Cora. — Musi wytrzymać pod bombardowaniem przez pewien czas. Jeśli nie będzie komplikacji, możemy dostać się do skrzepu i rozbić go w ciągu piętnastu minut lub szybciej, a potem to naprawdę wszystko jedno.

Michaels uderzył pięścią w poręcz swego fotela.

— Panno Peterson, opowiada pani nonsensy. Jak pani przypuszcza, co by się stało, gdyby udało nam się osiągnąć skrzep, zniszczyć go, przywrócić Benesa do zdrowia, a „Proteusz” roztrzaskałby się w kawałki bezpośrednio potem? Nie chodzi mi o naszą śmierć, którą w imię wyższego celu, jestem gotów ponieść. Ale to oznaczałoby również śmierć Benesa.

— Rozumiemy — wtrącił Duval zgaszonym głosem.

— Najwidoczniej pańska asystentka nie rozumie. Jeśli ten okręt rozbije się we wnętrzu, panno Peterson, to po upływie naszych sześćdziesięciu, nie, już pięćdziesięciu dziewięciu minut, każdy poszczególny fragment, choćby najmniejszy, powiększy się do normalnych rozmiarów. Nawet gdyby okręt rozłożyć na atomy, każdy atom się powiększy i nie będzie możliwości usunięcia go. — Michaels zrobił głęboki wdech, co zabrzmiało jak parsknięcie, i mówił dalej: — Łatwo będzie usunąć nas z ciała Benesa, jeżeli będziemy cali. Gdyby statek był w kawałkach, nie sposób byłoby wypłukać wszystkich fragmentów z organizmu Benesa. Obojętnie, czego by się nie zrobiło. Pozostałoby ich dosyć, by zabić profesora w czasie deminiaturyzacji. Rozumie pani?

Cora skuliła się.

— Nie pomyślałam o tym...

— Więc niech pani pomyśli — powiedział Michaels. — I pan także, Owens. Teraz chciałbym się dowiedzieć, czy „Proteusz” wytrzyma ruchy Browna? Nie chcę powiedzieć: aż osiągniemy skrzep. Chcę powiedzieć: aż dotrzemy do niego, skończymy z nim i wrócimy! Niech się pan zastanowi, co pan mówi, Owens. Jeżeli sądzi pan, że okręt może nie przetrwać, musimy przerwać akcję.

— Niech pan przestanie tragizować, doktorze Michaels, i da kapitanowi Owensowi szansę wypowiedzenia się — interweniował Grant.

— Nie wydałem żadnej rozstrzygającej opinii — rzekł Owens — dopóki nie poczułem ruchów Browna, których teraz doświadczamy. Uważam, że okręt jest w stanie wytrzymać te uderzenia przez pełną godzinę.

— Pytanie brzmi: czy powinniśmy podjąć ryzyko, opierając się tylko na odczuciach kapitana Owensa?

— Niezupełnie — powiedział Grant. — Pytanie brzmi: czy ja zaakceptuję podaną przez kapitana ocenę sytuacji? Proszę pamiętać, co powiedział Carter. To ja podejmuję decyzje taktyczne. Akceptuję stanowisko Owensa po prostu dlatego, że nie mamy nikogo o większym autorytecie i nikogo kto lepiej zna ten okręt niż on.

— A więc — rzekł Michaels — jaka jest pańska decyzja?

— Przyjmuję ocenę Owensa. Kontynuujemy misję.

— Zgadzam się z panem, Grant — powiedział Duval. Michaels, lekko zaczerwieniony, skinął głową.

— W porządku, Grant. Poruszyłem sprawę, która wydawała mi się istotna. — Zajął swoje miejsce.

— To była sprawa najistotniejsza i cieszę się, że ją pan poruszył — rzekł Grant. Usiadł pod oknem. Cora przyłączyła się do niego po chwili i powiedziała cicho:

— Nie boi się pan, Grant?

Grant uśmiechnął się niewesoło.

— To dlatego, że jestem dobrym aktorem, Coro. Gdyby ktoś inny brał odpowiedzialność za decyzję, wygłosiłbym znakomitą przemowę, opowiadając się za rezygnacją z misji. Wie pani, miewam tchórzliwe odczucia, ale staram się nie podejmować tchórzliwych decyzji.

Cora przyglądała mu się przez chwilę.

— Mam wrażenie, panie Grant, że czasami ciężko pan pracuje nad tym, by wydawać się gorszym niż jest pan naprawdę.

— No, nie wiem. Mam talent...

W tej chwili „Proteusz” szarpnął ostro, zataczając łuk najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

Boże, pomyślał Grant, ależ nami rzuca! Schwycił łokieć Cory i siłą popchnął ją w kierunku fotela. Sam z trudem zajął swoje miejsce. Owens chwiał się i potykał, usiłując wspiać się po drabince. Krzyczał:

— Do diabła, mogli nas ostrzec!

Grant zapiął pasy. Zauważył, że na zegarze kontrolnym widnieje 59. Długa minuta, pomyślał. Michaels mówił, że poczucie czasu powolnieje wraz z miniaturyzacją i miał rację. Będzie więcej czasu na zastanawianie się, na działanie i panikę. „Proteusz” poruszał się coraz gwałtowniej. Czy okręt rozpadnie się, zanim zacznie się misja?

Reid zajął miejsce Cartera przy oknie. Ampułka z jej kilkoma mililitrami częściowo zminiaturyzowanej cieczy, w której zanurzony był zminiaturyzowany i niewidzialny „Proteusz” błyszczała na Module Zero jak rzadki klejnot. Przynajmniej Reidowi przyszła na myśl ta metafora. Obliczenia były precyzyjne. Technika miniaturyzacji można było otrzymać wymiary, które w pełni odpowiadały obliczeniom. Ale obliczenia zostały opracowane w ciągu kilku godzin, pełnych pośpiechu, za pośrednictwem systemu programowania komputerowego, który nie został sprawdzony. Dla pewności, jeśli wymiary były odrobinę niedokładne, można by je skorygować. Potrzebny na to czas musiałby zostać wliczony w sześćdziesiąt minut — a za piętnaście sekund miało ich być już tylko pięćdziesiąt dziewięć.

— Faza cztery — powiedział.

Waldo przesunął się nad ampułkę, z kleszczami nastawionymi na poziomy uchwyt. Ponownie ześrodkowano mechanizm, ponownie opuścił się wysięgnik i kleszcze połączyły się. Ampułka była trzymana z delikatnością, z jaką łapa lwicy przytrzymuje niesforne lwiątko. Teraz przyszła kolej na pielęgniarzkę. Energicznie postąpiła naprzód, wyjęła z kieszeni małą kasetkę i otworzyła ją. Wydostała mały, szklany pręcik. Trzymała go ostrożnie za płaską główkę osadzoną na lekko zwężonej szyjce. Umieściła pręcik pionowo nad ampułką i pozwoliła, by niewielka jego część wsunęła się do ampułki na cal, aż do chwili, gdy napór powietrza unieruchomił zanurzony przedmiot. Zakręciła nim delikatnie i powiedziała:

— Tłok nurkowy pasuje.

Widząc to z góry, Reid uśmiechnął się z ulgą, Carter skinął głową na znak aprobaty. Pielęgniarka czekała, a Waldo podnosił powoli swój wysięgnik. Równy, gładko wznosiła się ampułka z tłokiem. Zatrzymała się na trzy cale nad Modułem Zero. Tak delikatnie jak to było możliwe, pielęgniarcka odłączyła korkową podstawkę od dna ampułki, odsłaniając małą złączkę umieszczoną w centrum płaskiej dolnej powierzchni. Drobnutki otworek w środku złączki był zamaskowany cienką warstwą plastiku, która nie oparłaby się nawet niedużemu naciskowi, lecz nie dopuszczała do przeciekania, dopóki pozostawała nienaruszona.

Poruszając się szybko, pielęgniarcka wyjęła z kasetki nierdzewną stalową igłę i zainstalowała ją na złączce.

— Igła pasuje — powiedziała.

To, co było ampułką, stało się teraz strzykawką. Drugi zestaw kleszczy wychylił się z Walda i został dostrojony do główki tłoka i umocowany na właściwym miejscu. Waldo, niosąc strzykawkę w swoich dwóch parach kleszczy, przesunął się gładko w kierunku wielkich, podwójnych drzwi, które otworzyły się, gdy się do nich zbliżył.

Żaden człowiek nie mógłby gołym okiem wykryć jakiegokolwiek poruszenia płynu stabilnie transportowanego przez maszynę, poruszającą się w sposób niesamowicie równy. Carter i Reid zdawali sobie sprawę, że nawet mikroskopijne poruszenie załoga „Proteusza” odczuje jak sztorm. Kiedy machina wkroczyła do sali operacyjnej i zatrzymała się przy stole, Carter skwitował ten fakt rozkazem:

— Skontaktować się z „Proteuszem”! Odpowiedź brzmiała: WSZYSTKO OKAY, ALE TROCHE TRZĘSŁO. Carter uśmiechnął się.

Benes leżał na stole operacyjnym. Był głównym ośrodkiem zainteresowania na sali. Płaszcz termiczny okrywał go aż do obojczyków. Cienkie, gumowe rurki prowadziły od płaszcza do centralnego agregatu termicznego pod stołem operacyjnym. Poza ogoloną, pokratkowaną głową

Benesa, widoczna była grupa czułych detektorów mających reagować na obecność promieniowania radioaktywnego.

Zespół chirurgów w maskach i ich asystentów kręcił się wokół Benesa. Z wielkim namaszczeniem utkwili wzrok w zbliżającej się machinie. Na jednej ze ścian widoczny był zegar kontrolny i w tejże chwili 59 zmieniło się w 58. Waldo zatrzymał się przy stole. Dwa z czujników podjęły pracę, jakby nagle obdarzone życiem. Sygnał zdalnego sterowania wydany przez technika ustawił je po obu stronach strzykawki. Jeden w bliskim sąsiedztwie ampułki, drugi — igły. Mały ekran na biurku technika ożył zielonkawo. Świetlny punkcik pojawił się na nim, zbladł, został wzmocniony, znów zbladł i tak dalej.

— Radioaktywność „Proteusza” na odbiorze — powiedział technik.

Carter klasnął w dłonie i odczuł satysfakcję. Jeszcze jedna przeszkoda z tych, którym nie śmiał spojrzeć w oczy, pokonana. Nie była to radioaktywność, która miała być rejestrowana, lecz radioaktywne cząstki, które same w sobie zostały zminiaturyzowane i które, z powodu swych drobnych, infraatomowych rozmiarów, mogły przejść przez zwykły czujnik, nie oddziałując nań. Te cząsteczki miały przejść najpierw przez deminiaturyzator, s niezbędne zestawienie razem deminiaturyzatora i czujnika zostało jedynie zaimprovizowane podczas nerwowych godzin tego ranka.

Waldo, trzymający tłok strzykawki, pchał go teraz ku dołowi z równomiernie wzrastającym naciskiem. Krucha, plastikowa bariera między ampułką a igłą pękła i po chwili na czubku igły pojawił się maleńki bąbelek. Spadł do małego pojemnika umieszczonego poniżej, drugi bąbelek i trzeci poszły w jego ślady. Tłok opadł podobnie jak poziom wody wewnątrz ampułki. Świetlny punkcik na ekranie przed oczami technika zmienił położenie.

— „Proteusz” w igle! — zawołał technik. Tłok znieruchomiał. Carter spojrzał na Reida.

— W porządku? Reid skinął głową.

— Możemy wprowadzać.

Dwa zestawy kleszczy nachyliły strzykawkę pod ostrym kątem i Waldo znów zaczął się posuwać, tym razem w kierunku miejsca na szyi Benesa, które pielęgniarka właśnie przetarła spirytusem. Na szyi zaznaczone było małe kółko, wewnątrz tego kółka jeszcze mniejszy krzyżyk. Czubek igły zbliżał się ku środkowi tego krzyżyka. Czujniki podążały za nim. Chwila wahania, gdy czubek igły dotknął szyi. Nakłuł i wszedł na przepisaną głębokość, tłok poruszył się lekko, a technik przy czujnikach zawołał:

— „Proteusz” wstrzyknięty!

Waldo wycofał się pospiesznie. Chmara czujników podjęła swą pracę, sadowiąc się nad głową i szyją Benesa.

— Śledzenie! — zawołał technik od czujników i pstryknął przełącznikiem.

Rozbłysło pół tuzina ekranów, każdy ze świetlnym punkcikiem w odmiennym położeniu. Informacje z tych ekranów zasilaly komputer, który kontrolował olbrzymią mapę układu krążenia Benesa. Na tej mapie jasna kropka pojawiła się w tętnicy szyjnej. Do tej tętnicy został wstrzyknięty „Proteusz”.

Carter chciał się pomodlić, ale nie wiedział jak. Na mapie dystans między pozycją świetlnej kropki a pozycją krwawego skrzepu w mózgu wydawał się minimalny. Patrzył, jak zegar kontrolny przedstawia się na 57, a potem nastąpił wyraźny i szybki ruch świetlnej kropki wzdłuż tętnicy, w kierunku głowy, ku skrzepowi. Zamknął na chwilę oczy i pomyślał: Proszę. Jeśli cokolwiek istnieje gdzieś nad światem, proszę.

Grant zawołał, z trudem łapiąc oddech:

— Przenoszą nas w kierunku Benesa! Oni mówią, że wprowadzą nas do igły, a potem do jego szyi. A ja im powiedziałem, że trochę nami trzęsie. Ha, ha, trochę!

— Dobrze — powiedział Owens. Mocował się ze sterami, próbując dostosować się do kołysania i zneutralizować jego efekty. Nie bardzo mu się to udawało.

— Słuchajcie — powiedział Grant — dlaczego... dlaczego mamy zostać... wtłoczeni... do igły?

— Będziemy tam bardziej ściśnięci. Wtedy przesuwanie igły nie podziała na nas tak silnie. Inna rzecz, że... hm, chcemy wpompować w Benesa tak mało zminiaturyzowanej cieczy, jak to możliwe.

— O Boże — rzekła Cora.

Jej włosy opadły w nieładzie. Daremnie starała się odgarnąć je do tyłu, omal się nie przewróciła. Grant spróbował ją złapać, ale Duval już trzymał ją mocno za ramię. Nierówne huśtanie ustało tak nagle, jak się zaczęło.

— Jesteśmy w igle — powiedział Owens z ulgą. Włączył zewnętrzne światła okrętu.

Grant spojrział przed siebie. Niewiele widział. Roztwór soli przed dziobem zdawał się iskrzyć jak chmara robaczek świętojańskich. Daleko w górze i daleko w dole widniała odległa krzywizna czegoś, co świeciło dużo jaśniej. Ścianki igły? Nagle poczuł niepokój. Odwrócił się do Michaela.

— Doktorze...

Oczy Michaela były zamknięte. Otworzyły się z ociąganiem, a głowa zwróciła się w kierunku głosu.

— Tak, panie Grant?

— Co pan widzi?

Michael popatrzył przed siebie, nieznacznie rozłożył ręce i odpowiedział:

— Iskierki.

— Dostrzega pan coś wyraźnie, czy wszystko wydaje się tańczyć dookoła?

— Tak. Rzeczywiście tańczy.

— Czy to znaczy, że miniaturyzacja zaatakowała nasze oczy?

— Nie, nie, panie Grant — Michael westchnął ze znużeniem. — Jeśli martwi się pan, że pan ślepnie, proszę o tym zapomnieć. Niech pan rozejrzy się wokół siebie, tu, w „Proteuszu”. Niech pan spojrzy na mnie. Czy coś tutaj wygląda nie tak?

— Nie.

— Bardzo dobrze. Widzi pan zminiaturyzowane fale świetlne za pomocą zminiaturyzowanej siatkówki oka. Wszystko w porządku. Kiedy te zminiaturyzowane fale świetlne wydostają się na zewnątrz, gdzie świat jest niezminiaturyzowany, niełatwo im się odbić. W rzeczywistości, zamiast się odbijać, przenikają. My widzimy tylko sporadyczne odbicia. Dlatego wszystko na zewnątrz wydaje się mrugać do nas.

— Rozumiem. Dziękuję, doktorze — powiedział Grant.

Michael westchnął.

— Ufam, że wkrótce wprawię się w chodzeniu po kołyszącym się pokładzie. To mrugające światło i ruchy Browna pripraviają mnie o ból głowy.

— O, już płyniemy — krzyknął nagle Owens. Sunęli naprzód. Czuli to. Odległe, zakrzywiające się ścianki igły robiły wrażenie bardziej masywnych, kiedy cętkowane refleksy zminiaturyzowanego światła rozmazywały się i stapiały razem. To było podobne do jazdy kolejką w lunaparku po

pochylni.

Przed nimi, nieco w górze, masywność zdawała się kończyć małym, migoczącym kółeczkiem. Kółeczko powiększało się powoli, potem szybciej, aż ukazała się niewiarygodna otchłań — i wszystko stało się migotaniem.

— Jesteśmy w tętnicy szyjnej — powiedział Owens. Zegar kontrolny wskazywał 56.

ROZDZIAŁ 9

TĘTNICA

Duval z triumfem rozejrzał się dokoła.

— Wyobraźcie to sobie — powiedział. — Wewnątrz ludzkiego ciała, w tętnicy! Owens! Wyłącz pan te wewnętrzne światła, człowieku! Niechaj ujrzemy dzieło Boże.

Wewnętrzne światła zostały zgaszone. Z zewnątrz napłynęła jakaś upiorna poświata, cętkowane odbicie zminiaturyzowanego światła z dziobu i z rufy okrętu. Owens pozwolił, by nurt tętniący rytmem serca porwał z sobą „Proteusza”, wprowadzając go w stan pozornego bezruchu względem prądu krwi. Powiedział:

— Myślę, że możecie odpiąć pasy.

Duval od razu uwolnił się. Cora natychmiast zrobiła to samo. Rzucili się do okna z zachłanną ciekawością. Michaels podniósł się spokojnie, rzucił okiem na tamtych dwoje. Podszedł do swojej mapy, studiując ją dokładnie.

— Znakomita precyzja — stwierdził zwięźle.

— Myśli pan, że możemy nie trafić do tętnicy? — spytał Grant.

Przez chwilę Michaels spoglądał na Granta nieobecny wzrokiem, po czym rzekł:

— Hmm... nie! To mało prawdopodobne. Ale może się zdarzyć, że znajdziemy się poza właściwym punktem i wtedy nie będziemy zdolni walczyć z prądem. Trzeba by stracić czas i nakreślać kolejną, gorszą trasę. A tak okręt jest właśnie tam, gdzie być powinien. — Jego głos zadrżał.

— Zdaje się, że jak dotąd wszystko idzie dobrze — powiedział Grant pocieszająco.

— Tak — pauza, a potem dodał pośpiesznie: — Od tego miejsca łączymy wygodę bezwładności, bystrość nurtu i kierunek trasy. Powinniśmy dotrzeć do celu z minimalnym opóźnieniem.

— To dobrze — Grant skinął głową i odwrócił się do okna. Zatonął w zdumieniu nad tymi wszystkimi cudami.

Ściana robiła wrażenie oddalonej o pół mili i jarzyła się bursztynowym blaskiem, to iskrzącym się, to przygasającym, bowiem zasłaniały ją różne, nie znane Grantowi obiekty pływające. To, co mieli przed sobą było rozległym, egzotycznym akwariem. Dziwne stwory zapełniały pole widzenia. Wielkie, gumowe opony, których środki były spłaszczone, ale nie dziurawe, były najliczniejsze. Każda miała średnicę równą prawie dwukrotnej długości okrętu, każda była pomarańczowosłomkowego koloru. A wszystkie skrzyły się i błyszczały migocące jakby wysadzone okruchami diamentów.

— Ten kolor nie jest całkiem prawdziwy — powiedział Duval. — Praca przeprowadzona przez Johnsona i Antonianiego wykazuje, że naprawdę istnieje taka możliwość. Niestety, jeszcze nie stosuje się tej techniki w praktyce, a nawet gdyby tak było, nie zdołalibyśmy zaadaptować okrętu do tego celu w ciągu jednej nocy.

— Przypuszczam, że nie — powiedział Duval.

— Nawet jeśli nie jest to wierne odbicie — rzekła Cora tonem nabożnego podziwu — z pewnością posiada swoje piękno. One są jak miękkie, zgniecione balony, z których każdy schwytał w pułapkę milion gwiazd.

— W rzeczywistości są to czerwone ciała krwi — powiedział Michaels do Granta. — Czerwone w masie, lecz pojedynczo słomkowe. Te, które pan widzi, świeżo przybyły z serca, niosąc

ładunek tlenu do głowy i do mózgu.

Grant wciąż przyglądał się ze zdumieniem. Oprócz czerwonych ciałek były tam mniejsze obiekty — na przykład spłaszczone, podobne do talerzy twory. Było ich wiele. Te obiekty w kształcie płytek — pomyślał Grant — budzą wspomnienia z kursów w college'u. To trombocyty. Jeden z trombocytów łagodnie przysunął się do statku i przywarł do niego tak ściśle, że Grant omal nie uległ impulsowi, by sięgnąć i schwytać go. Trombocyt rozpląszczył się powoli, przez chwilę pozostał w kontakcie ze statkiem, po czym oddalił się, zostawiając przylegające do okna cząstki samego siebie — rozmaz, który z wolna został splukany.

— Nie rozbił się — powiedział Grant.

— Nie — odrzekł Michaels. — Gdyby się rozbił, mógłby wokół siebie utworzyć skrzep. Niewystarczający by wyrządzić jakąś szkodę, mam nadzieję. Gdybyśmy byli więksi, moglibyśmy wpaść w kłopoty. Niech pan spojrzy na to!

Grant, patrzył w kierunku, w którym wskazywał palec Michaelsa. Zobaczył małe, pałeczkowate twory popychające odłamki i szczątki i, przede wszystkim, czerwone ciała, czerwone ciała, czerwone ciała... Ogarnął wzrokiem to, na co wskazywał Michaels. Było ogromne, mętne i pulsujące. Było ziarniste, a w jego mlecznej mętności migало coś czarnego, błyskając okruchami czerni tak intensywnej, jakby jarzyła się własnym, oślepiającym nie-swiatłem. Wewnątrz tej masy był ciemniejszy obszar, przyćmiony przez otaczającą go mleczną mętność i zachowujący stały i nie mrugający kształt. Zarysów całości nie można było wyraźnie określić. Mleczna zatoka nagle wydłużyła się w kierunku ściany tętnicy i cała masa zdawała się tam napływać. Potem zlała się w jedno, zamazała, przysłonięta przez bliższe obiekty zabłąkane w wirze.

— Co to, u diabła, było?

— Białe ciało krwi, oczywiście. Nie jest ich wiele, przynajmniej w porównaniu z czerwonymi ciałkami. Przypada około sześciuset pięćdziesięciu czerwonych na każde białe. Białe ciała są znacznie większe i poruszają się niezależnie. Niektóre z nich mogą nawet wydostać się z naczyń krwionośnych. Widziane w tej skali wzbudzają strach.

— One oczyszczają organizm, prawda?

— Tak. My mamy rozmiary bakterii, ale posiadamy metalową obudowę, a nie ścianę komórkową zbudowaną z mukopolisacharydów. Ufam, że białe ciała potrafią poznać tę różnicę i nie zareagują na nas, dopóki nie wyrządzamy żadnej szkody otaczającym nas tkankom.

Grant spróbował nie zwracać specjalnej uwagi na pojedyncze obiekty, starał się obserwować panoramę jako całość. Cofnął się o krok i zmrużył oczy. To był taniec! Każdy obiekt drgał na swoim miejscu. Im był mniejszy, tym bardziej wyraziste było drganie. Przypominało to ogromny niezdiscyplinowany balet, w którym choreograf oszalał, a tancerze wpadli w matnię obłąkańczych płaśów. Grant zamknął oczy.

— Czujecie? Mam na myśli ruchy Browna.

— Tak, czuję — odpowiedział Owens. — Nie jest tak źle, jak myślałem. Krew jest lepka, o wiele bardziej lepka niż roztwór soli, w którym przedtem byliśmy. Ta wysoka lepkość amortyzuje ruchy.

Grant czuł kołysanie okrętu pod stopami, odbywało się to jakoś rozmiękle, nie tak naprawdę ostro jak wówczas, gdy byli w strzykawce. Zawartość protein w płynnej frakcji krwi, „białka osocza” — ten termin przyplłynął do Granta z przeszłości — amortyzowała okręt. Nie jest źle. Poweselał. Może jeszcze wszystko będzie dobrze.

— Proponuję, abyście wszyscy wrócili na swoje miejsca — rzekł Owens. — Wkrótce będziemy zbliżać się do odgałęzienia tętnicy i będę musiał przechylić statek na jedną stronę.

Usiedli w fotelach pochłonięci obserwacją otoczenia.

— Myślę, że to skandal dawać nam na to tylko parę minut — powiedziała Cora. — Doktorze Duval, a co to takiego?

Przesuwała się grupa bardzo drobnutkich struktur szczepionych razem i tworzących zbitą, spiralną rurkę. Podążało za nią jeszcze kilka, a każda rozciągała się i kurczyła na przemian.

— Ach — powiedział Duval — tego nie poznaję.

— Może to jakiś wirus — zasugerowała Cora.

— Myślę, że trochę za duże na wirus i niepodobne do żadnego z tych, jakie widywałem. Owens, czy mamy wyposażenie do pobierania próbek?

— Możemy wyjść ze statku, gdy będziemy musieli, doktorze — odrzekł Owens — ale nie mamy prawa zatrzymywać się dla próbek.

— Posłuchajcie, możemy nie mieć ponownie takiej szansy — Duval podniósł się rozdrażniony. — Zabierzmy na okręt kawałek tego. Panno Peterson, pani...

— Ten statek ma misję do spełnienia, doktorze — przerwał Owens.

— Nic nie szkodzi... — zaczął Duval, lecz zaraz urwał, poczuwszy na ramieniu silny uścisk Granta.

— Jeśli pan pozwoli, doktorze — powiedział Grant — nie dyskutujemy już o tym. Mamy zadanie do wykonania i nie będziemy się zatrzymywać, żeby cokolwiek zbierać, ani zbaczać z drogi, ani nawet zwalniać. Przyjmuję, że pan to rozumie.

W mrugającym świetle, odbitym od światła tętnicy na zewnątrz, było widać, jak Duval przybiera nachmurzony wyraz twarzy.

— Och, dobrze — powiedział niegrzecznie. — Tak czy owak, one już się oddaliły.

— Gdy wypełnimy tę misję, doktorze Duval — rzekła Cora — rozwiną się metody miniaturyzacji na nieokreślone przedziały czasu. Wtedy możemy wziąć udział w prawdziwych badaniach.

— Tak. Sądzę, że ma pani rację.

— Ściana tętnicy po prawej — odezwał się Owens.

„Proteusz” zatoczył długi, szeroki łuk. Ściana zdawała się oddalona o około sto stóp. Nieco karbowany, bursztynowy obszar warstwy śródbłonkowej, która tworzyła wewnętrzną wyściółkę tętnicy, był wyraźnie widoczny.

— Ha! — rzekł Duval. — Cóż za sposób na opanowanie arteriosklerozy! Można policzyć tarczki.

— Można by je także zedrzyć, prawda? — spytał Grant.

— Oczywiście. W przyszłości można będzie wysłać okręt przez zatkany układ tętniczy, rozpulchniając i odlepiając sklerotyczne warstwy, rozdrabniając je, rozwiercając i poszerzając kanały. Swoją drogą, ładnie by kosztowało takie leczenie.

— Ostatecznie, może dałoby się to zautomatyzować — powiedział Grant. — Mogłyby to być małe roboty do użytku domowego, które wpuszczałoby się do organizmu, żeby uprzątnęły to paskudztwo, lub może każdemu człowiekowi we wczesnej młodości można by wstrzyknąć raz na zawsze zapas takich oczyszczaczy naczyń krwionośnych... mój Boże, spójrzcie, jak się to daleko ciągnie!

Znajdowali się teraz bliżej ściany tętnicy, okręt poruszał się wolniej na skutek istniejącej tu turbulencji. Patrząc przed siebie, widzieli, że ściana ciągnie się na przestrzeni niezliczonych mil, po czym zakręca w prawo.

Michaels powiedział:

— Układ krążenia, licząc wszystkie jego naczynia łącznie z tymi najmniejszymi, jest długi na sto tysięcy mil, gdyby go rozciągnąć w jedną, długą linię.

— Nieźle — rzekł Grant.

— Sto tysięcy mil w skali niezminiaturyzowanej. W naszej obecnej skali jest to... — przerwał, by policzyć — ponad trzy tryliony mil długości, pół roku świetlnego. Przemierzenie każdego z naczyń krwionośnych Benesa w naszych obecnych wymiarach byłoby równoznaczne z wycieczką do jakiejś gwiazdy.

Rozejrzał się dookoła nieprzytomnym wzrokiem. Ani to, że byli bezpieczni, ani piękno tego co ich otaczało, nie wpływało na niego dodatnie.

Grant usiłował być wesoły.

— Przynajmniej ruchy okrętu nie są ostre — powiedział.

— Nie — przyznał Michaels. — Nie wypadłem zbyt dobrze, kiedy dyskutowaliśmy o ruchach Browna.

— Duval też się nie popisał w sprawie próbek. Sądzę, że żadne z nas nie zachowuje się naprawdę naturalnie.

Michaels przełknął.

— To było typowe dla Duvala, chcieć zatrzymać statek dla próbek.

Potrząsnął głową i skierował się do mapy na wygiętym pulpicie przy jednej ze ścian. Mapa ta, z poruszającym się po niej świetlnym punkcikiem, była duplikatem znacznie większej wersji w wieży kontrolnej i mniejszej wersji w kopulastej kabinie Owensa.

Michaels zapytał:

— Jaką mamy prędkość, Owens?

— Piętnaście węzłów w naszej skali. Oczywiście, w naszej skali — powiedział Owens z rozdrażnieniem. Wydostał ze schowka suwak logarytmiczny i szybko coś obliczył. — W przeciągu dwóch minut znajdziemy się przy odgałęzieniu. Kiedy będzie pan skręcał, niech się pan trzyma na taki dystans od ściany, jak obecnie. To nas bezpiecznie wprowadzi w sam środek odgałęzienia. Później może pan już gładko wejść w sieć kapilar. Czy to jasne?

— Wszystko jasne!

Grant czekał, wyglądając przez okno. Przez chwilę uchwycił cień profilu Cory i patrzył nań, lecz widok w oknie wziął górę. Dwie minuty? Ile to będzie? Dwie minuty w zminiaturyzowanym poczuciu czasu? Czy dwie minuty według ich zegara kontrolnego? Wykręcił głowę, by na niego spojrzeć. Zegar pokazywał 56, a kiedy Grant patrzył, cyfry znikły, po czym bardzo powoli pojawiło się blade 55 i pociemniało. Nastąpiło nagłe szarpnięcie i Grant omal nie wyleciał ze swego fotela.

— Owens! — wrzasnął. — Co się stało?

— Czy uderzyliśmy o coś? — spytał Duval.

Z wielkim trudem Grant przebył drogę ku drabinie i wspiął się na górę.

— Coś nie w porządku? — zapytał.

— Nie wiem — twarz Owensa była skrzywiona z wysiłku. — Statek nie słucha sterów.

Z dołu dobiegł pełen napięcia głos Michaelsa:

— Kapitanie Owens, niech pan skoryguje kurs. Zbliżamy się do ściany.

— — Ja... wiem o tym — wydyszał Owens. — Dostaliśmy się w jakiś wir, chyba poprzeczny.

— Niech pan dalej próbuje — powiedział Grant. — Niech pan dołoży wszelkich starań.

Ześliznął się w dół i oparł plecami o drabinkę. Próbując utrzymać równowagę na kołyszącym się okręcie powiedział:

— Dlaczego miałyby tu być poprzeczny prąd? Czy nie posuwamy się z nurtem tętnicy?

— Tak — rzekł Michaels z naciskiem, a jego twarz była woskowo blada. — Nie może tu być nic takiego, co by spychało nas na bok. — Wskazał na ścianę tętnicy, zbliżającą się w zawrotnym tempie. — Musi być coś nie w porządku ze sterami. Jeśli uderzymy w ścianę i uszkodzimy ją, wokół nas może utworzyć się skrzep i unieruchomić nas lub mogą zareagować białe ciała.

— To niemożliwe w układzie zamkniętym — powiedział Duval. — Prawa hydrodynamiki...

— W układzie zamkniętym? — Brwi Michaelsa podskoczyły w górę. Z wysiłkiem, zataczając się, podszedł do swoich map, po czym jęknął: — To się na nic nie zda. Potrzebuję obrazu w większej skali niż ta. Skąd go wziąć? Na miłość boską, Owens, niech się pan trzyma z dala od ściany!

— Do cholery, człowieku — odwrzasnął Owens — próbuj! Powiadam wam, tu jest prąd, którego nie potrafisz zwalczyć!

— Wobec tego — krzyknął Grant — niech pan skieruje dziób we właściwym kierunku i stara się trzymać kurs równoległy do ściany!

Byli blisko ściany, widzieli każdy jej szczegół. Pasemka tkanki łącznej, które służyły jako główna podpora, wyglądały jak wsporniki, prawie jak łuki gotyckie — żółtawe i połyskujące cienką warstwą czegoś, co robiło wrażenie substancji tłuszczowej. Włókna tkanki łącznej naprężyły się i wyginały na boki, jak gdyby cała struktura się rozciągała, trwały tak przez moment, potem znów przysuwały się do siebie. Powierzchnia między wspornikami marszczyła się, gdy były blisko jeden obok drugiego. Grant nie potrzebował pytać, wiedział, że patrzy na miarowe pulsowanie ściany tętnicy w rytm uderzeń serca. Okręt szamotał się coraz bardziej. Ściana była coraz bliżej. Z bliska wyglądała chropowato. Włókna tkanki łącznej miejscami poluzowane, jak gdyby stawiały opór rozszalałemu potokowi, zaczynały — wypaczać się pod jego naporem. Kołysały się niczym przesła gigantycznego mostu, podchodząc pod przeszkloną przednią ścianę i skrząc się żółto w skaczącym świetle dziobowych reflektorów. Zbliżyli się do kolejnego włókna, Cora piskliwie krzyknęła z przerażenia, a Michaels wrzasnął:

— Niech pan spojrzy na zewnątrz, Owens!

— Uszkodzenie tętnicy — wymamrotał Duval. Prąd okrążył szerokim łukiem żywą skarpe i poniósł okręt z sobą. Okręt przechylił się, przyprawiając o mdłości swoich pasażerów. Przechylił był tak duży, że wszyscy zwalili się na lewą ścianę statku. Grant, amortyzując lewym ramieniem bolesne zderzenie, złapał Corę lewą ręką i zdołał ochronić ją przed upadkiem. Nagle zobaczył to skrzące się światło. Wrzasnął:

— Wir! Wszyscy na swoje miejsca! Zapiąć pasy! Cząsteczki uformowane z czerwonych ciałek trwały przez chwilę w pozornym bezruchu. Zostały schwyte przez ten sam wirujący nurt. Duval i Michaels potykając się, dobrnęli do swoich foteli i zapięli pasy. Owens krzyknął:

— Jakiś cholerny otwór przed nami! Grant przynaglił Corę:

— No, dalej! Wciągnij się na fotel!

— Staram się — wydyszała.

Rozpaczliwie usiłował utrzymać się na nogach. Okrętem rzucało ostro, Grant wepchnął ją na fotel i sięgnął po pasy. Było już za późno. „Proteusz” został porwany przez wir i kręcił się w kółko jak bączek. Grantowi udało się złapać słup na pokładzie, usiłował pomóc Corze, która została zrzucona na podłogę. Jej palce zagięły się na poręczy fotela i naprężyły. Grant wiedział, że palce nie utrzymają jej i desperacko wyciągnął do niej rękę. Ręka okazała się o dobrą stopę za krótka. Kiedy próbował dosięgnąć Cory, jego własne ramię zaczęło ześlizgiwać się ze słupa. Duval szamotał się w swym fotelu, ale siła odśrodkowa przygwoździła go do miejsca.

— Niech się pani trzyma, panno Peterson. Spróbuję pani pomóc.

Z wysiłkiem dosięgnął swych pasów. Michaels przyglądał się im bezradnie. Owens,

unieruchomiony w swej kopule, nie mógł im pomóc. Cora usiłowała się podnieść.

— Nie mogę...

Grant rozluźnił chwyt. Przetoczył się po podłodze. Zahaczył nogą o podstawę fotela, uderzył się tak mocno, że noga zdrętwiała. Udało mu się złapać Corę w talii właśnie w chwili, gdy jej palce puściły fotel. „Proteusz” kręcił się teraz szybciej, zdawało się, że coś go wciąga w dół. Grant nie był w stanie dłużej utrzymać tej pozycji. Jego noga wysunęła się spod fotela i stracił oparcie.

Ramię potłuczone i obolałe w rezultacie wcześniejszego uderzenia o ścianę, wyprężyło się z bólu. Cora złapała się kurczowo jego barku i desperacko trzymała. Grantowi udało się wymruczeć:

— Czy ktoś... wie już... co się dzieje?

Duval, daremnie szamoczący się w pasach, powiedział:

— To przetoka tętniczo-żylna.

Grant z wysiłkiem uniósł głowę i spojrzął w okno. Uszkodzona ściana tętnicy kończyła się wprost przed dziobem. Żółte iskrzenie nie ustało. Widoczna stała się poczerniała, postrzępiona wyrwa. Nie był w stanie określić jej rozmiarów mając ograniczony zasięg wzroku. Czerwone ciała i inne obiekty, znikwały w jej wnętrzu. Nawet sporadyczne grupki białych ciałek były gwałtownie wsysane przez tę dziurę.

— Tylko parę sekund — wydyszał Grant. — Tylko parę... Coro.

Mówił do siebie, do swego bolącego, stłuczonego ramienia. Ogromna wibracja sprawiła, że nie wiedzieli, co się dzieje. Wyrwa zassała okręt. Przepłynęli przez nią i kołysanie „Proteusza” ustało. Grant zwolnił uścisk i leżał, ciężko dysząc. Cora powoli zdołała podwinąć nogi pod siebie i wstać. Duval odzyskał swobodę ruchów.

— Panie Grant, jak się pan czuje? — uklękła obok. Cora także uklękła i delikatnie dotykając ramienia Granta, zbadała je. Grant skrzywił się z bólu.

— Proszę nie dotykać!

— Złamane? — spytał Duval.

— Nie potrafię powiedzieć — ostrożnie i powoli spróbował zgiąć ramię, po czym prawą dłonią uchwycił lewy biceps i mocno ścisnął. — Chyba nie. Ale upłyną tygodnie, zanim przestanie boleć.

Michaels także się podniósł. Na jego twarzy malowała się ulga.

— Dokonaliśmy tego! Dokonaliśmy tego! Jesteśmy cali. Jak się czujesz, Owens?

— W porządku — odpowiedział Owens. — Na tablicy rozdzielczej nie ma żadnego czerwonego światełka. „Proteusz” wziął na siebie więcej niż było mu przeznaczone i wytrzymał to. W jego głosie brzmiała duma z siebie i ze swego okrętu.

Cora bezradnie pochylona nad Grantem powiedziała wstrząśnięta:

— Pan krwawi!

— Ja? Gdzie?

— Z boku. Widać krew na mundurze.

— Ach, to. Miałem mały kłopot po tamtej stronie. Po prostu przesunął się bandaż. Słowo honoru, to nic. Tylko krew.

Cora spojrzała z niepokojem, rozpięła zamek błyskawiczny jego munduru.

— Niech pan usiądzie — powiedziała. — Proszę spróbować usiąść.

Wsunęła ramię pod jego barki i z wysiłkiem uniosła go do pozycji siedzącej, z jego ramion ściągnęła bardzo delikatnie mundur.

— Zaopiekuję się panem — rzekła — i... dziękuję panu. To idiotyczne, ale dziękuję panu.

— No, cóż — powiedział Grant — niech pani pewnego razu zrobi dla mnie to samo, dobrze?

Czy pomoże mi pani dostać się do mego fotela?

Wstał z wysiłkiem. Cora podtrzymywała go z jednej strony, Michaels z drugiej. Duval, rzuciwszy na nich jedno spojrzenie, pokuśtykał do okna.

— Co się stało? — spytał Grant.

— Tętniczo-żył..., no dobra, przedstawmy to w ten sposób: zaistniało anormalne połączenie między tętnicą a niewielką żyłą. To się czasami zdarza, zazwyczaj w rezultacie fizycznego urazu. Przypuszczam, że przytrafiło się to Benesowi w czasie, gdy został ranny w samochodzie. Jest to rodzaj niewydolności. W tym przypadku nie jest to rzecz poważna. To mikroskopijny, drobnusieńki wir — odrzekł Michaels.

— Drobnusieńki wir. Też coś!

— Oczywiście przy naszej zminiaturyzowanej skali wir ten wydaje się gigantyczny.

— Czy nie był zaznaczony na pańskiej mapie, Michaels? — spytał Grant.

— Powinien być zaznaczony. Prawdopodobnie odszukałbym go na mapie, tu na okręcie, gdybym mógł ją odpowiednio powiększyć. Kłopot w tym, że moje analizy wstępne musiały być zrobione w trzy godziny i przegapiłem to. Nie ma dla mnie usprawiedliwienia.

— W porządku, to oznacza po prostu nieco straconego czasu — powiedział Grant. — Proszę nakreślić alternatywną trasę i niech Owens włączy silniki. Jak z czasem, Owens? — Zadając to pytanie, spojrzał automatycznie na zegar kontrolny. Odczytał: 52.

— Pięćdziesiąt dwie minuty — rzekł Owens.

— Masa czasu — powiedział Grant.

Michaels gapił się na Granta z uniesionymi brwiami.

— Nie ma czasu, Grant — powiedział. — Nie wie pan, co się stało? Jesteśmy skończeni. Nie udało nam się. Nie mamy szansy dostać się do skrzepu, nie rozumie pan? Musimy poprosić, aby usunięto nas z ciała.

Cora rzekła przerażona:

— Wiele dni upłynie, zanim będzie można znów zminiaturyzować statek. Benes umrze.

— Nic nie można zrobić. Płyniemy do żyły szyjnej. Nie możemy wracać przez przetokę, tym razem nam się nie uda pokonać prądu, nawet kiedy serce będzie w fazie rozkurczowej, między jednym uderzeniem a drugim. Jedyna trasa, ta, którą podążamy z nurtem żylnym, prowadzi przez serce. A to dla nas samobójstwo.

— Jest pan pewien? — zapytał drętwą Grant. Owens rzekł łamiącym się, głuchym głosem: — On ma rację, Grant. Misja się nie udała.

ROZDZIAŁ 10

SERCE

W wieży kontrolnej rozpętało się piekło. Punkt świetlny oznaczający położenie statku na ekranie ogólnym bardzo nieznacznie zmienił pozycję, ale w odniesieniu do określonych współrzędnych zmiana ta była krytyczna. Carter i Reid odwrócili się na dźwięk sygnału z monitora.

— Sir — twarz na ekranie była wstrząśnięta — „Proteusz” wypadł z kursu. Złapali punkt świetlny w ćwiartce 23, poziom B.

Reid rzucił się do okna, zajrzał przez nie do pokoju map. Oczywiście z tej odległości nic nie było widać, z wyjątkiem głów pochylonych nad mapami w ogromnym skupieniu. Carter poczerwieniał.

— Do cholery, nie pieprzcie mi tu o ćwiartkach! Gdzie oni są?

— W żyłę szyjnej, sir. Zdążają do żyły głównej górnej.

— W żyłę! — Przez chwilę własne żyły Cartera zatrważająco nabrzmiały. — Co, u diabła, oni robią w żyłę? Reid! — ryknął.

Reid podszedł do niego.

— Tak, słyszałem.

— W jaki sposób dostali się do żyły?

— Rozkazałem ludziom przy mapie, żeby spróbowali zlokalizować przetokę tętniczo-żylną. Występują one rzadko i niełatwo je znaleźć.

— A co...

— Bezpośrednie połączenie między tętniczką a żyłą. Krew przesącza się z tętnicy do żyły i...

— Nie wiedzieli, że to tam jest?

— Najwidoczniej nie. I, Carter...

— Co?

— To mogło być dość gwałtowne. Mogli tego nie przeżyć.

Carter odwrócił się ku rzędowi ekranów telewizyjnych. Nacisnął odpowiedni guzik.

— Są jakieś wiadomości z „Proteusza”?

— Nie, sir — nadeszła szybka odpowiedź.

— Połącz się z nimi, człowieku! Wydobądź z nich cokolwiek! I przekaz to bezpośrednio do mnie!

Nastąpiło denerwujące czekanie. Carter wstrzymał oddech. Wiadomość nadeszła.

— Meldunek z „Proteusza”, sir.

— Dzięki Bogu za tak wiele — mruknął Carter. — Przekazać.

— Przeszli przez przetokę tętniczo-żylną, sir. Nie mogą zawrócić i nie mogą płynąć dalej. Proszą o wydostanie się na zewnątrz.

Carter obiema pięściami walnął w biurko.

— Nie! Do pioruna, nie!

Reid powiedział:

— Oni mają rację, generale.

Carter podniósł wzrok na zegar kontrolny. 51.

— Mają pięćdziesiąt jeden minut i zostaną tam przez pięćdziesiąt jeden minut. — Powiedział drżącym głosem. — Kiedy zegar pokaże zero, wydostaniemy ich. Ani minuty wcześniej, chyba że misja będzie wypełniona.

— To jest beznadziejne, do cholery! Bóg wie, w jakim stopniu nadwerężony jest ich okręt. Zabijemy pięcioro ludzi.

— Być może. Jest to ryzyko, którego podjęli się świadomie. Na zawsze będzie zapisane w aktach, że nie poddaliśmy się, dopóki pozostało najmniejsze matematyczne prawdopodobieństwo sukcesu.

Oczy Reida były zimne, a jego wąsy zjeżyły się.

— Generale, myślisz o swoich aktach. Jeżeli oni umrą, zeznam, że zatrzymałeś ich tam, mimo że sytuacja była beznadziejna.

— To ryzyko również podejmę — powiedział Carter. — A teraz powiedz mi, jesteś przecież szefem sekcji medycznej, dlaczego oni nie mogą się ruszyć?

— Nie mogą wracać przez przetokę pod prąd. Jest to fizycznie niemożliwe, bez względu na to, ile wydasz rozkazów. Armia nie ma władzy nad gradacją ciśnienia krwi.

— Dlaczego nie mogą znaleźć innej trasy?

— Wszystkie trasy z ich obecnej pozycji prowadzą do skrzepu przez serce. Turbulencja w przejściu przez serce natychmiast rozniosłaby ich w drzazgi. Takiego ryzyka podjąć nie możemy.

— My...

— My nie możemy, Carter. Nie przez wzgląd na życie tych ludzi, chociaż to powód wystarczający. Jeśli okręt zostanie roztrzaskany, nigdy nie wydostaniemy go, a jego fragmenty zdeminaturyzują się i zabiją Benesa. Jeśli teraz wydostaniemy ich, możemy spróbować zoperować Benesa od zewnątrz.

— To beznadziejne.

— Nie tak beznadziejne, jak nasze obecne położenie. Przez chwilę Carter rozważał to, co usłyszał.

— Pułkowniku Reid proszę o szczerą odpowiedź — powiedział cicho. — Na jak długo możemy zatrzymać serce Benesa, nie zabijając go?

Reid wytrzeszczył oczy.

— Nie na długo...

— Wiem o tym. Pytam o ściśle określony czas.

— No cóż, przy stanie śpiączki i hipotermicznym oziębieniu, uwzględniając nadwerężoną kondycję jego mózgu, powiedziałbym, że nie dłużej niż sześćdziesiąt sekund. Według czasu zewnętrznego.

Carter zapytał:

— „Proteusz” może przebrnąć przez serce w czasie krótszym niż sześćdziesiąt sekund, prawda?

— Nie wiem.

— W takim razie będą musieli spróbować. Skoro wyeliminowaliśmy to, co niemożliwe, to choćby cała reszta była ryzykowna, spróbujemy. Jakie problemy napotkamy przy zatrzymaniu serca?

— Żadnych. Można to zrobić nagim szpikulcem, gdyby zacytować Hamleta. Sztuką będzie ponownie wprawić je w ruch.

— To, mój drogi pułkowniku, będzie twój problem i twoja odpowiedzialność — spojrzął na zegar kontrolny, który pokazywał 50. — Tracimy czas. Zaczynamy. Wprowadź do akcji swoich speców od serca, a ja wydam instrukcje ludziom na „Proteuszu”.

We wnętrzu „Proteusza” paliły się światła. Michaels, Duval i Cora skupili się wokół Granta.

— I to by było tyle — powiedział Grant. — Gdy będziemy się zbliżać do serca, oni zatrzymają je przez elektrowstrząs. Uruchomią je ponownie, kiedy się z niego wynurzymy.

— Uruchomią je ponownie! — wybuchnął Michaels. — Czy oni zwariowali? Benes nie wytrzyma tego.

— Podejrzewam — rzekł Grant — że oni uważają to za jedyną szansę na powodzenie misji.

— Jeśli to jest ta jedyna szansa, to misja się nie uda.

— Miałem już doświadczenia z operacjami na otwartym sercu, Michaels — powiedział Duval. — To jest wykonalne. Serce jest bardziej wytrzymałe niż sądzimy. Owens, ile czasu nam zajmie przeprawa przez serce?

Owens wyrzwał ze swojej kopyły.

— Właśnie to obliczałem, Duval. Jeśli nie będzie żadnej zwłoki, możemy dokonać tego w czasie od pięćdziesięciu pięciu do pięćdziesięciu siedmiu sekund.

Duval wzruszył ramionami.

— Mielibyśmy trzy sekundy w rezerwie.

— W takim razie ruszajmy — powiedział Grant.

— Dryfujemy z prądem w kierunku serca — odezwał się Owens. — Przełączę silniki na pełną moc. Swoją drogą, muszę je sprawdzić. Pracują nierówno.

Przytłumiony warkot nabrał napięcia, a wrażenie posuwania się zniwelowało nikłe, nierówne drżenie ruchów Browna.

— Zgasić światła — powiedział Owens — i lepiej odpocznijcie, gdy ja będę prowadził okręt.

Przy zgaszonych światłach wszyscy podeszli do okna, nawet Michaels. Wygląd świata wokół nich zmienił się zupełnie. Wciąż była to krew. Wciąż zawierała wszystkie te drobiny i kawałki, wszystkie fragmenty i agregaty molekularne, trombocyty i czerwone ciała, ale różnica..., różnica...

Była to główna żyła górna, najważniejsza żyła idąca od głowy i szyi. Zapas tlenu we krwi został zużyty. Czerwone ciała nie miały już tlenu, zawierały samą hemoglobinę, nie oksyhemoglobinę — ten jasnoczerwony związek hemoglobiny z tlenem. Hemoglobina miała kolor niebieskawopurpurowy i w błyszczącym refleksie zminiaturyzowanych fal świetlnych okrętu każde ciało rzucało błękitne i zielone refleksy często przeplatane purpurą. Wszystko inne nabierało zabarwienia od tych nie utlenionych ciałek. W mroku obok nich przesuwały się trombocyty. Dwukrotnie okręt minął, na szczęście w dużej odległości, nieruchawe, ociążałe cielsko białego ciała krwi zabarwione teraz kremowo z odcieniem zielonkawym.

Grant spojrzął na profil Cory. Nieco uniesiony wyglądał tajemniczo w błękitnym półmroku. Ona jest jak lodowa góra biegunowej krainy oświetlonej błękitno-zieloną zorzą, pomyślał Grant w stylu Don Kichota.

Duval mruknął:

— Przepiękne! — ale to nie na Corę patrzył w tej chwili.

— Jest pan gotów, Owens? — spytał Michaels. — Będę pana pilotował przez serce.

Podszedł do swoich map i zapalił małe, górne światło, które natychmiast przyćmiło ciemny błękit, jaki nappełniał „Proteusza” taką tajemniczością.

— Owens! — zawołał. — Mapa serca A, dwa. Zbliżenie, prawy przedsiónek. Ma pan to?

— Tak, mam.

— Czy już jesteśmy przy sercu? — spytał Grant.

— Posłuchajcie sami — rzekł Michaels z rozdrażnieniem. — Nie patrzcie. Słuchajcie!

Wewnątrz „Proteusza” zapadła martwa cisza. Słyszeli jakby odległy huk artylerii. Wywoływało to tylko rytmiczną wibrację pokładu — powolną i miarową, ale coraz głośniejszą. Stłumiony, głuchy odgłos, zaraz po nim bardziej stłumiony, pauza, potem powtórka, głośniejsz, wciąż głośniejsz.

— Serce! — powiedziała Cora. — Tak, to serce.

— Właśnie — rzekł Michaels. — W bardzo zwolnionym rytmie.

— Nie słyszymy go wiernie — powiedział Duval z niezadowoleniem. — Fale dźwiękowe są zbyt rozległe, aby oddziaływać na nasze ucho. Powodują wtórne wibracje okrętu, ale to nie to samo. Przy należytej eksploracji organizmu...

— Kiedyś w przyszłości, doktorze — rzekł Michaels.

— To brzmi jak armata — powiedział Grant.

— Tak, prowadzi się tu prawdziwy ogień zaporowy; dwa biliony uderzeń serca w siedemdziesiąt lat — rzeki Michaels. — A nawet więcej.

— A każde uderzenie — dodał Duval — odgradza nas od wieczności, każde daje nam czas, abyśmy się pojednali z...

— Te uderzenia — przerwał Michaels — poślą nas prosto do wieczności i nie dadzą nam czasu na nic. Jest pan gotowy, Owens?

— Jestem. Jestem przy sterach i mam przed sobą mapy. Jak mam znaleźć drogę?

— Nie możemy zabłądzić. Jesteśmy w głównej żyłce górnej, w punkcie, gdzie łączy się ona z dolną. Znalazł pan?

— Tak

— W porządku. Za parę sekund będziemy wchodzić do prawego przedsionka. Lepiej, żeby oni już to serce zatrzymali. Grant, proszę podać im naszą pozycję.

Grant był zafascynowany widokiem, jaki się przed nim roztaczał. Główna żyła to największa żyła w ciele zbierająca w końcowym odcinku całą krew z organizmu, z wyjątkiem płuc. Gdy utworzyła się droga do przedsionka, znaleźli się w rozległej odbijającej dźwięk komnacie, której ściany ginęły gdzieś poza zasięgiem wzroku. Zdawało się, że „Proteusz” znajduje się we wnętrzu ciemnego, bezmiernego oceanu. Serce biło teraz wolno, z przerażającym łoskotem, a przy każdym miarowym, głuchym odgłosie okręt zdawał się podnosić i dygotać. Michaels zawołał jeszcze raz:

— Grant!

Grant podszedł do nadajnika.

— Przed nami zastawka trójdzielna! — zawołał Owens. Patrzyli przed siebie. Dostrzegli ją w wielkiej odległości, przy końcu długiego korytarza. Trzy skrzące się, czerwone płaty rozdzielające się i falujące, odsłaniały otwór. Otwór rozszerzał się. Wierzchołki zastawki rozkładały się jak wachlarz. Za tym otworem znajdowała się prawa komora, jedna z dwóch głównych części serca. Strumień krwi ruszył do otworu wciągany potężnym ssaniem. Uniósł „Proteusza”. Otwór zbliżał się i powiększał w straszliwym tempie. Nurt był gładki, okręt płynął z nieznacznym tylko drzeniem. Dobiegł ich grzmiący huk komór — głównych, umięśnionych jam serca — kiedy zwały się w skurczu. Kłapy trójdzielnej zastawki cofnęły się w kierunku okrętu, zamykając się z wolna i stykając ze sobą z wilgotnym młśnięciem. Przednia ściana zamknęła się, tworząc długą, pionową bruzdę, która w górze rozdzielala się na dwie odnogi. Po tamtej stronie zamkniętej zastawki leżała prawa komora serca. Podczas skurczu komory krew nie mogła wydostać się przez przedsionek, była włączana do tętnicy płucnej.

Grant, przekrzykując odbijający się echem huk, zawołał:

— Jeszcze tylko jedno uderzenie i zatrzymają serce.

— Lepiej, żeby tak było, inaczej będzie to także dla nas ostatnie uderzenie — powiedział Michaels. — Niech pan rusza pełnym gazem, Owens, gdy tylko zastawka się otworzy. Na jego twarzy widniała silna determinacja i ani śladu strachu.

Czujniki radioaktywności, które działały przedtem wokół głowy i szyi Benesa, znalazły się teraz nad jego klatką piersiową, nad tą jej częścią, z której odsunięto płaszcz termiczny. Mapy układu krążenia rozwinięte na ścianie pokazywały serce, a właściwie tylko jego część — prawy przedsionek, świetlny punkt oznaczający pozycję „Proteusza”, gładko przesunął się w dół głównej żyły do słabo umięśnionego przedsionka, który rozszerzył się, gdy okręt do niego wpłynął, a potem skurczył.

Jednym skokiem „Proteusz” przebył prawie całą długość przedsionka w kierunku zastawki trójdzielnej, która zamknęła się właśnie w chwili, gdy znalazł się przy jej skraju. Na analizatorze oscyloskopowym każde uderzenie serca było przetworzone w załamującą się wiązkę elektronów, którą skrupulatnie obserwowano. Aparat do elektrowstrząsów stał przygotowany. Elektrody zwisały nad piersią Benesa. Ostatnie uderzenie serca. Wiązka elektronów na oscyloskopie zaczęła przesuwać się ku górze. Lewa komora rozkurczała się dla kolejnego napływu krwi, a kiedy zupełnie się rozluźni, otworzy się zastawka trójdzielna.

— Teraz! — krzyknął technik przy rejestratorze serca.

Dwie elektrody umieszczono na klatce piersiowej, igła na jednej z tarcz rejestratora natychmiast odchyliła się na czerwone pole i natarczywie zadzwieczał brzęczyk. Uciszono go jednym pstryknięciem. Zapis oscyloskopu spłaszczył się. Na wieżę kontrolną dotarł meldunek.

— Bicie serca ustało.

Carter kurczowo ścisnął w rękę stoper i tykające sekundy zaczęły umykać z nieznośną prędkością.

Pięć par oczu spoglądało przed siebie na zastawkę trójdzielną. Ręka Owensa była gotowa do włączenia przyspieszenia. Komora rozkurczała się, a zastawka półksiężycowata, gdzieś tam u końca tętnicy płucnej, musiała zamykać się ze zgrzytem. Krew nie mogła wrócić do komory z tętnicy, zastawka stwarzała tę pewność. Odgłos jej zamykania nappełnił powietrze nieznośną wibracją. Komora nadal się rozkurczała, krew miała popłynąć z kolejnego kierunku, z prawego przedsionka. Zastawka trójdzielna zaczęła otwierać się wachlarzowato. Potężna, pofałdowana szczelina zaczęła się rozszerzać, aby utworzyć korytarz, a właściwie rozległy otwór.

— Teraz! — wrzasnął Michaels. — Teraz! Teraz! Jego słowa zagłuszyło uderzenie serca i stłumił ryk silników. „Proteusz” wystrzelił do przodu przez otwór do komory. Za parę sekund komora skurczy się. We wścieklej turbulencji, jaka wtedy nastąpi, okręt zostanie zmiażdżony jak pudełko zapalek, a oni wszyscy zginą. W trzy kwadransy później umarłby Benes.

Grant wstrzymał oddech. Uderzenie rozkurczowe zadudniło, ucichło, a zaraz potem zapadła martwa cisza.

— Pozwólcie mi zobaczyć! — krzyknął Duval. Wszedł na drabinkę. Jego głowa pojawiła się we wnętrzu kopuły. Było to jedyne miejsce na okręcie, z którego miał widok na to, co pozostawili za sobą. — Serce stanęło! — krzyknął. — Chodźcie i zobaczcie. Cora zajęła jego miejsce, a potem Grant Zastawka trójdzielna zwisała półotwarta. Na jej wewnętrznej powierzchni widoczne były włókna tkanki łącznej wiążące ją z wewnętrzną powierzchnią komory. Włókna te odciągały klapy zastawki, gdy komora rozkurczała się i przytrzymywały je mocno, gdy skurcz ścisnął ją ponownie. Chroniły klapy przed całkowitym wypchnięciem i otwarciem w drugą stronę.

— To cudowne — powiedział Duval. — Byłoby wspaniale zobaczyć jak zastawka się zamyka.

— Gdyby ujrział pan teraz ten widok, doktorze, byłby to dla pana widok ostatni — rzekł Michaels. — Maksymalna szybkość, Owens i niech się pan trzyma lewej strony, w kierunku półksiężycowatej zastawki. Mamy trzydzieści sekund na wydostanie się z pułapki.

Jeśli to była śmiertelna pułapka, a co do tego nie było żadnych wątpliwości, była to piękna pułapka. Ściany były podparte potężnymi włóknami, rozdzielającymi się na odnogi, mocno przyczepione do innych ścian. Wyglądało to jak gigantyczny las sękatych, bezlistnych drzew wijących się i rozszczepionych w zawiły deseń, który umacniał i utrzymywał w sprężystości ten najwspanialszy mięsień ludzkiego ciała. Serce jest podwójną pompą, która pracuje od chwili znacznie poprzedzającej urodzenie aż do momentu śmierci. Robi to w nieprzerwanym rytmie, z niestrudzoną siłą, w każdych warunkach. Ludzkie serce to najwspanialsze serce w królestwie zwierzęcym. Serce żadnego innego ssaka nie uderza więcej niż około biliona razy, zanim nadejdzie śmierć. Istota ludzka po bilionie uderzeń serca dochodzi zaledwie do lat średnich. Mężczyźni i kobiety żyją dostatecznie długo, by serce uderzyło grubo ponad trzy biliony razy.

— Mamy tylko dziesięć sekund na przepłynięcie, doktorze Michaels — odezwał się Owens. — Nie widzę jeszcze zastawki.

— Trzymaj pan kurs, do cholery! Lepiej, żeby zastawka była otwarta.

— Tam jest. Czy to to? — powiedział z napięciem Grant Michaels poniósł wzrok znad swoich map.

— Tak, to ona. Jest częściowo otwarta, dla nas wystarczy. Gdy zatrzymali serce, uderzenie skurczowe było w punkcie startu. Teraz niech wszyscy zapną pasy. Przeciśniemy się przez ten otwór. Uderzenie serca będziemy mieli akurat za plecami i kiedy nastąpi...

— Jeśli nastąpi — rzekł Owens cicho.

— Kiedy nastąpi — powtórzył Michaels — będzie straszliwy napływ krwi. Musimy oddalić się tak daleko, jak to możliwe.

Owens włączył silniki. „Proteusz” skoczył gwałtownie naprzód, do niewielkiego półksiężycowatego otworu w centrum sierpowatej szczeliny.

W sali operacyjnej trwała pełna napięcia cisza. Zespół chirurgów pochylony nad Benesem, był nieruchomy tak jak on. Zimne ciało Benesa i zatrzymane serce spowodowały, że każdy na tej sali czuł aurę śmierci. Jedyne czujniki wskazywały, że Benes żyje.

W pokoju kontrolnym Reid powiedział:

— Są bezpieczni. Przeszli przez trójdzielną i podążają po wygiętym torze do zastawki półksiężycowatej. Posuwają się rozważnie i pewnie.

— Tak — rzeki Carter, patrząc nerwowo na swój stoper. Pozostały dwadzieścia cztery sekundy.

— Są już prawie na miejscu.

— Piętnaście sekund — powiedział Carter. Technicy przy aparacie do elektrowstrząsów ukradkiem przesunęli się na swoje miejsca.

— Celują prosto w półksiężycowatą zastawkę.

— Sześć sekund. Pięć. Cztery...

— Przechodzą.

Kiedy to powiedział, zadźwięczał ostrzegawczy brzęczyk złowieszczy jak śmierć.

— Wznowić akcję serca — odezwał się jeden z głośników.

Naciśnięto czerwony guzik. Wszedł do akcji rozrusznik i dopływ prądu zaznaczył swoje pojawienie się na monitorze w formie pulsującej, świetlnej amplitudy. Oscyloskop rejestrujący bicie serca pozostał obojętny. Zwiększono wibrację rozrusznika. Wszystkie oczy patrzyły w napięciu.

— Musi ruszyć — powiedział Carter i wstrzymał oddech.

„Proteusz” wszedł w otwór, który wyglądał jak wargi wygięte w szerokim uśmiechu. Otarł się o twardą błonę powyżej i poniżej, zatrzymał się przez moment. Słychać było wzrastający ryk silnika. Okręt usiłował uwolnić się z lepkiego objęcia, po czym gwałtownym ruchem przedostał się przez otwór.

— Wydostaliśmy się z komory — powiedział Michaels, ocierając pot z czoła. — Weszliśmy do tętnicy płucnej. Dalej na pełnym gazie, Owens. Serce powinno zacząć bić za trzy sekundy.

Owens obejrzał się za siebie. On jeden mógł to zrobić, inni byli bezradni w swych fotelach. Mogli jedynie patrzeć. Półksiężycowata zastawka oddalała się, wciąż zamknięta, z włóknami naprężającymi się w punktach stycznych z wypustkami napiętej tkanki. Ze wzrostem odległości zastawka robiła się coraz mniejsza. Nadal była zamknięta. — Uderzenie serca nie nadchodzi — powiedział Owens. — Nie... zaraz, zaraz! Oto jest.

Dwie kłapy zastawki rozluźniały się, włókniste podpory cofnęły, a ich napięte korzenie zmarszczyły się i zwiotczały. Otwór rozwarł się, potok krwi runął i dopędził ich z gigantycznym, bu-bu-bum-m skurczu serca.

Nadbiegająca fala krwi porwała za sobą „Proteusza”, unosząc na złamanie karku.

ROZDZIAŁ 11

KAPILARA

Pierwsze uderzenie serca przerwało martwą ciszę w wieży kontrolnej. Carter wznosił obie ręce w powietrze i potrząsał nimi triumfalnie.

— Zrobili to, do pioruna! Przeszli!

Reid pokiwał głową.

— Tym razem wygrałeś, generale. Ja nie miałbym tak mocnych nerwów, żeby rozkazać im przejść przez serce.

Białka oczu Cartera nabiegły krwią.

— Ja nie miałem silnych nerwów, żeby im tego nie rozkazać. Jeśli potrafią się oprzeć prądowi w tętnicy... — jego głos zabrzmiał w głośniku: — Proszę połączyć się z „Proteuszem”, gdy tylko zmniejszą prędkość.

— Są znów w układzie tętniczym. — Powiedział Reid. — Wiesz, że nie płyną w stronę mózgu. Wstrzyknięcie wprowadziło ich do jednej z głównych tętnic wiodących z lewej komory do mózgu. Tętnica płucna prowadzi z prawej komory do płuc.

— To oznacza opóźnienie. Wiem o tym — rzekł Carter. — Jeszcze wciąż mamy czas.

Wskazał na zegar kontrolny, który pokazywał 48.

— W porządku, ale lepiej przełączmy punkt maksymalnej koncentracji na centrum oddechowe.

Dokonał zmiany i na ekranie monitora ukazało się wnętrze pnia oddechowego.

— Jakie jest tempo oddychania? — zapytał Reid.

— Wraca do sześciu na minutę, pułkowniku. Nie sądziłem, że dokonamy tego przez sekundę.

— My też nie — usłyszeli. — Utrzymuj się w tym rytmie. Będziesz musiał zająć się okrętem. Zaraz znajdzie się w twoim sektorze.

— Wiadomość z „Proteusza” — rozległ się inny głos. — WSZYSTKO W PORZĄDKU... hm, sir? Jest tu jeszcze coś, czy mam przeczytać?

Carter nachmurzył się.

— Oczywiście że tak.

— Tak, sir. Brzmi: CHCIAŁBYM, ŻEBYŚCIE BYLI TU, A JA TAM.

— Dobrze, powiedz Grantowi, że raczej wolałbym sto razy, żeby on... nie, nic mu nie mów. Zapomnij o tym — rzekł Carter.

Ustało uderzenie serca, prędkość fali zmniejszyła się. „Proteusz” sunął z nurtem, gładko, dostatecznie gładko, by dały się odczuć łagodne, nierówne ruchy Browna. Grant z radością powitał to wrażenie. Występowało tylko w chwilach spokoju, a chwile spokoju to było to, czego usilnie pragnął.

Wszyscy uwolnili się z pasów. Grant przy oknie stwierdził, że widok jest właściwie taki sam jak w żyle szyjnej.

Dominowały te same błękitno–zielono–fioletowe ciałka. Odległe ściany były może bardziej karbowane poziomymi bruzdami. Minęli jakiś otwór.

— To nie ten — powiedział Michaels przy konsolecie, pochylony nad mapami. — Może pan tam na górze śledzić moje mapy, Owens?

— Tak, doktorze.

— W porządku. Proszę uwzględnić zakręty, tak jak je zaznaczam, a potem w prawo. Czy to jasne?

Grant obserwował mniejsze odnogi pojawiające się w coraz krótszych odstępach, odchodzące na prawo i lewo, powyżej i poniżej. Kanał, wzdłuż którego płynęli, stawał się coraz węższy, ściany wyraźniej widoczne i coraz bliższe.

— Nie chciałbym zabłądzić w tym labiryncie — powiedział Grant w zamyśleniu.

— .Nie można tu zabłądzić — rzeki Duval. — Wszystkie drogi w tej części ciała prowadzą do płuc.

Głos Michaelsa stawał się coraz bardziej monotony:

— Teraz w górę i na prawo, Owens. Prosto naprzód, a potem... hmm, czwarta w lewo.

— Mam nadzieję, że nie spotkamy więcej przetok tętniczo–żylnych, Michaels — powiedział Grant.

Michaels zareagował niecierpliwym wzruszeniem ramion, zbyt zaabsorbowany, by cokolwiek powiedzieć.

— Niepodobna — rzekł Duval. — Natknąć się przypadkiem na aż dwie przetoki to zbyt wielkie ryzyko. Zbliżamy się do kapilar.

Prędkość strumienia krwi i „Proteusza” zmaląła.

— Naczynie krwionośne zwęża się, doktorze Michaels — powiedział Owens.

— Prawidłowo. Kapilary są najdrobniejszymi naczyniami i mają prawdziwie mikroskopijne rozmiary. Płyn dalej, Owens.

W snopie światła dziobowych można było zobaczyć ściany, które po ściśnięciu się do wewnątrz straciły bruzdy i fałdy. Stały się gładkie. Ich żółta barwa przybladła do odcienia kremowego, aż w końcu stały się bezbarwne. Miały teraz wyraźnie mozaikowy deseń podzielony na zakrzywiające się wielokąty, z których każdy był nieznacznie zgrubiały w środku.

— Jakie śliczne — powiedziała Cora. — Można zobaczyć poszczególne komórki ściany kapilary. Proszę spojrzeć, Grant. — Po czym, jakby przypominając sobie, spytała: — Jak pański bok?

— W porządku. Naprawdę doskonale. Nałożyła pani bardzo skuteczny opatrunek, Coro. Mam nadzieję, że nadal jesteśmy w przyjacielskich stosunkach. Mogę nazywać cię po prostu Corą?

— Przypuszczam, że mój sprzeciw zostałby uznany za niewdzięczność?

— I byłby nieskuteczny.

— Jak twoje ramię?

Grant pomacał je ostrożnie.

— Boli jak diabli.

— Tak mi przykro.

— Niech ci nie będzie przykro. Właśnie, kiedy przyjdzie na to czas, niech ci będzie bardzo, bardzo przyjemnie.

Wargi Cory zacisnęły się odrobinę i Grant powiedział spieszenie:

— Przepraszam, to tylko ten mój nieszczęsny, niefrasobliwy sposób bycia. A jak ty się czujesz?

— Właściwie dobrze. Mój bok jest trochę sztywny, ale nie jest źle. Nie jestem obrażona. Ale słuchaj, Grant.

— Kiedy mówisz, Coro, słucham z przyjemnością.

— Wiesz, że bandaże nie są najświeższym osiągnięciem medycyny. Zrobiłeś coś, żeby nie dopuścić do infekcji?

— Nalałem trochę jodiny.

— To dobrze. Czy pójdziesz do lekarza, kiedy się stąd wydostaniemy?

— Z Duvałem?

— Wiesz, o co mi chodzi.

— W porządku. Zrobi się — powiedział Grant. Odwrócił się ku mozaice komórek. „Proteusz” cal za calem włókł się teraz przez kapilarę. W świetle dziobowych reflektorów można było poprzez komórki dostrzec jakieś zamazane kształty.

— Ściana wydaje się przezroczysta — rzekł Grant.

— Nie ma w tym nic zaskakującego — powiedział Duval. — Te ściany mają mniej niż jedną dziesięciotysięczną cala grubości. Są porowate. Życie zależy od materiału przechodzącego przez te ściany i przez równie cienkie ścianki otaczające pęcherzyki.

— Jakie pęcherzyki?

Przez chwilę daremnie spoglądał na Duvala. Chirurg zdawał się bardziej interesować tym, na co patrzył niż pytaniem Granta. Cora pospieszyła z wyjaśnieniem.

— Powietrze — powiedziała — wchodzi do płuc przez tracheę, wiesz, przez tchawicę. Ta rozdziela się właśnie tak, jak naczynia krwionośne, na coraz mniejsze rurki, aż ostatecznie docierają one do mikroskopijnych komóreczek głęboko w płucach, gdzie znajduje się powietrze, które tam wchodzi, oddzielone od wnętrza ciała tylko cienką błoną, tak cienką jak ścianki kapilar. Te komórki to pęcherzyki. W płucach jest ich około sześciuset milionów.

— Skomplikowany mechanizm.

— Wspaniały mechanizm. Tlen przesącza się przez błonę pęcherzyków, a także przez błonę kapilar. Dostaje się do krwi i zanim zdoła się wycofać, wyłapują go czerwone ciała. W tym czasie zbędny dwutlenek węgla wysącza się w przeciwnym kierunku: z krwi do płuc. Doktor Duval czeka, aby zobaczyć, jak to się odbywa. Dlatego ci nie odpowiedział.

— Nie potrzeba żadnych usprawiedliwień. Wiem, co to jest być zaabsorbowanym jedną rzeczą — uśmiechnął się szeroko. — Obawiam się, że doktora Duvala absorbuje co innego niż mnie.

Cora spojrzała z niezadowoleniem, krzyk Owensa nie pozwolił jej odpowiedzieć.

— Na wprost nas! — zawołał. — Patrzcie, co się dzieje!

Wszystkie oczy zwróciły się we wskazanym kierunku. Błękitno-zielone ciało posuwało się przed nimi tak, jakby podskakiwało na wyboistej drodze, powoli ocierając się krawędziami o ściany kapilary. Fala bladego słomkowego koloru ukazała się przy jego brzegach, a potem przesunęła się do wnętrza. Zniknęło całe ciemniejsze zabarwienie. Inne błękitno-zielone ciało, torujące sobie drogę obok nich, w podobny sposób zmieniło kolor, światła dziobowe napotykały tylko słomkową barwę, a

w oddali kolor ten pogłębił się do pomarańczowoczerwonego.

— Widzisz — powiedziała Cora, podekscytowana — kiedy one zbierają tlen, hemoglobina przekształca się w oksyhemoglobinę, a krew staje się jasnoczerwona. Teraz wszystko to zawróci do lewej komory serca i wzbogacona, utleniona krew będzie pompowana do każdego zakątka ciała.

— Chcesz powiedzieć, że musimy zawrócić i znów przejść przez serce? — spytał Grant z nagłym niepokojem.

— Och, nie — odrzekła Cora. — Teraz, gdy jesteśmy w układzie naczyń włosowatych, będziemy w stanie popłynąć na przełaj. — Ale nie robiła wrażenia zbyt pewnej tego, co powiedziała.

— Patrzcie na ten cud — odezwał się Duval. — Patrzcie na ten cud dany nam przez Boga.

— To po prostu wymiana gazów — rzekł oziębłe Michaels. — Mechaniczny proces wypracowany przez ślepe siły ewolucji na przestrzeni trzech bilionów lat.

Duval odwrócił się gwałtownie.

— Utrzymuje pan, że to jest przypadkowe, że ten cudowny mechanizm, doprowadzony do perfekcji pod tyłoma względami nie został wyprodukowany przez nic innego, jak właśnie przez zaistniałe tu i ówdzie kolizje atomów?

— Tak, właśnie to chcę powiedzieć — oznajmił Michaels.

W tej chwili obaj, stojąc twarzą w twarz w wojowniczym rozdrażnieniu, żywo spojrzeli w górę, skąd rozległ się nagły, ochryply dźwięk brzęczyka.

— Co, u diabła... — rzekł Owens. — Desperacko pstrykną! przełącznikiem, ale igła na jednym z jego zegarów opadała gwałtownie ku czerwonej, poziomej linii. Wyłączył brzęczyk i zawołał: — Grant!

— Co jest?

— Coś nie w porządku. Niech pan sprawdzi manual, dokładnie nad tym.

Grant szybko poszedł w kierunku, jaki wskazywał palec Owensa, a Cora za nim. Powiedział:

— Igła jest w czerwonej strefie niebezpieczeństwa pod czymś, co jest oznaczone jako lewy zbiornik. Najwidoczniej lewy zbiornik traci ciśnienie.

Owens jęknął i spojrzął za siebie.

— I to jak. Wypuszczamy bąbelki powietrza do krwi. Grant, proszę niech pan wejdzie tu szybko. — Rozpiął pasy.

Grant wgramolił się po drabince, ustępując Owensowi, który ześlizgiwał się w dół. Cora zdołała dostrzec bąbelki przez mały bulaj na rufie. Powiedziała:

— Pęcherzyki powietrza w krwiobiegu mogą okazać się zgubne...

— Nie tego rodzaju — rzekł Duval popędliwie. — W naszej zminiaturyzowanej skali wytwarzamy pęcherzyki, które są zbyt drobne, aby wyrządzić jakąś szkodę.

— Mniejsza o zagrożenie dla Benesa — powiedział Michaels ponuro. — My potrzebujemy powietrza.

Owens zawołał do Granta, który teraz siedział przy sterach:

— Zostaw pan wszystko dokładnie tak jak jest teraz, wypatruj tylko jakichś czerwonych sygnałów świetlnych gdziekolwiek na tablicy! — Przechodząc obok Michaela, powiedział: — Musi tam być zamrożony zawór. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Poszedł do tyłu i szybkim szarpnięciem otworzył kaseton, używając małego przyrządu, który wy dostał z kieszeni munduru. Objawił się w przerażającej zawłości labirynt drutów i wyłączników obwodowych. Wprawne palce Owensa prędko zagłębiły się w to, badając i eliminując z łatwością i szybkością, które mogły cechować tylko konstruktora okrętu. Zwolnił przełącznik, otworzył go i

pozwoił, by zamknął się z trzaskiem. Przeszedł do przodu, żeby skontrolować stery pomocnicze znajdujące się pod szklaną taflą na dziobie statku.

— : Musiało ulec uszkodzeniu coś na zewnątrz, kiedy przeciskaliśmy się do tętnicy płucnej albo kiedy uderzył w nas potok krwi tętniczej.

— Czy zawór nadaje się do użytku? — spytał Michaels.

— Tak. Sądzę, że obluzował się trochę. Był niewyrównany, coś zmusiło go do otwarcia się, być może jeden z ruchów Browna, i został w tej pozycji. Teraz go wyrównałem i nie sprawi dalszych kłopotów, tylko...

— Tylko co? — spytał Grant.

— Boję się, że to już koniec wszystkiego. Nie mamy dość powietrza, żeby dopłynąć do skrzepu. Gdyby to była klasyczna łódź podwodna, powiedziałbym, że musimy się wynurzyć, aby odnowić zapas powietrza.

— Co teraz zrobimy? — zapytała Cora.

— Musimy wynurzyć się. To wszystko. Musimy poprosić, żeby nas zaraz wyciągnięto albo za dziesięć minut nie będzie już można manewrować okrętem, a za pięć dalszych udusimy się.

Podszedł do drabinki.

— Przejmę stery, Grant. Pan niech idzie do nadajnika i przekaże im te nowiny.

— Spokojnie — powiedział Grant. — Czy mamy jakąś rezerwę powietrza?

— To był nasz cały zapas. Wszystko uszło. Kiedy powietrze się zdeminiaturyzuje, objętościowo będzie większe niż Benes. Zabije go.

— Nie, nie zabije — rzekł Michaels. — Zminiaturyzowane cząsteczki powietrza, które zgubiliśmy, przejdą prosto przez tkanki na zewnątrz ciała. Do czasu deminiaturyzacji w ciele pozostanie ich bardzo mało. Ale obawiam się, że Owens ma rację. Nie możemy kontynuować misji.

— Chwileczkę — powtórzył Grant. — Dlaczego nie możemy się wynurzyć?

— Właśnie powiedziałem... — zaczął Owens niecierpliwie.

— Nie mam na myśli wydostania się na zewnątrz. Chodzi mi o prawdziwe wynurzenie. Tam. Właśnie tam. Przed naszymi oczami ciała krwi zbierały tlen. Czy nie możemy zrobić tak samo? Tylko dwie cienkie błony dzielą nas od oceanu powietrza. Dobierzmy się do niego.

— Grant ma rację — powiedziała Cora.

— Nie, nie ma racji — rzekł Owens. — Jak myślicie, czym my jesteśmy? Jesteśmy miniaturowymi z płucami o rozmiarach skrawka bakterii. Powietrze po tamtej stronie błon nie jest zminiaturyzowane. Każda cząsteczka tlenu jest tak duża, że można ją zobaczyć, do cholery! Czy myślicie, że możemy wciągnąć to do naszych płuc?

Grant wyglądał na zapędzonego w kozi róg.

— Ale...

— Nie możemy czekać, Grant. Musi pan skontaktować się z wieżą kontrolną.

— Jeszcze nie — powiedział Grant. — Czy nie mówił pan, że ten okręt był początkowo przeznaczony do badań głębinowych? Co miało być robione pod wodą?

— Spodziewaliśmy się zminiaturyzować podwodne okazy, by przetranszportować je na powierzchnię i bez pośpiechu badać.

— Dobrze, a zatem musi pan mieć na pokładzie sprzęt do zminiaturyzacji. Nie usunął go pan ostatniej nocy, prawda?

— Oczywiście, że go mamy. Ale tylko na małą skalę możemy zminiaturyzować.

— Jak wielkiej skali potrzebujemy? Jeśli wprowadzimy powietrze do zminiaturyzatora, możemy zredukować rozmiary cząsteczek powietrza i wpuścić je do naszych zbiorników.

— Nie mamy na to czasu — wtrącił Michaels.

— Jeśli czas się wyczerpie, wtedy poprosimy, żeby nas wydobyto. Póki co, próbujemy. Przypuszczam, Owens, że ma pan na pokładzie chrapy?

— Tak. — Owens robił wrażenie kompletnie zdezorientowanego szybkimi i przynaglającymi uwagami Granta.

— Możemy przebić takimi chrapami kapilarę i ścianę płuca, nie robiąc krzywdy Benesowi, prawda?

— Przy naszych rozmiarach jest to możliwe — rzekł Duval.

— Wobec tego wszystko w porządku, chrapy połączą płuco z miniaturyzatorem na statku, a od miniaturyzatora przeprowadzimy rurę do zapasowej komory powietrznej.

Może pan to urządzić?

Po chwilowym namyśle Owens zdawał się zapalać do tego pomysłu i odrzekł:

— Tak, myślę, że tak.

— Kiedy Benes zrobi wdech, wytworzy się dostateczne ciśnienie, aby napełnić nasze zbiorniki. Pamiętajcie, że przez nasze poczucie czasu będzie nam się zdawało, że parominutowe opóźnienie trwa dłużej niż w skali niezminiaturyzowanej. Tak czy owak, musimy próbować.

— Zgadzam się — powiedział Duval. — Musimy próbować. Wszelkimi środkami. Zaraz!

— Dziękuję za poparcie, doktorze — rzekł Grant. Duval skinął głową, po czym powiedział:

— Owens niech lepiej zostanie przy sterach. Ja z Grantem wyjdę na zewnątrz.

— Aha — rzekł Michaels. — Zastanawiałem się, czemu jest pan za tym. Teraz rozumiem. Chciał pan mieć okazję do badań na otwartej przestrzeni.

Duval zaczerwienił się, a Grant wtrącił pośpiesznie:

— Bez względu na motywy, sugestia jest dobra. Faktycznie, lepiej, żebyśmy wszyscy wyszli na zewnątrz. Oczywiście z wyjątkiem Owensa. Chrapy są na rufie?

— W przedziale, w którym są zapasy i magazyn — powiedział Owens. Znów był przy sterach, wpatrując się przed siebie.

— Jeśli widział pan kiedyś chrapy, pozna je pan bezbłędnie.

Grant spiesznie poszedł do magazynu, od razu zobaczył chrapy i sięgnął po oznakowany sprzęt podwodny. Wtem zatrzymał się przerażony i wrzasnął:

— Cora!

W jednej chwili znalazła się za jego plecami.

— O co chodzi?

Grant starał się nie wybuchnąć. Po raz pierwszy patrzył na dziewczynę bez zachwyty. W tej chwili był po prostu wściekły. Wskazał palcem i powiedział:

— Popatrz na to!

Spojrzała i odwróciła się ku niemu biała na twarzy.

— Nie rozumiem.

Nad białym roboczym laser huśtał się swobodnie na jednym haku, a jego plastikowa osłona była zdjeta.

— Czy nie zatroszczyłaś się o to, żeby go zabezpieczyć? — zapytał Grant.

Cora gwałtownie pokiwała głową.

— Zrobiłam to! Zabezpieczyłam! Przysięgam. Jezus, Maria...

— W takim razie jak to się mogło...

— Nie wiem. Co mam odpowiedzieć?

Duval stał za nią, miał zwężone oczy i zaciętą twarz.

— Co się stało z laserem, panno Peterson? — zapytał.

Cora odwróciła się do szefa.

— Nie wiem. Dlaczego wszyscy na mnie napadacie? !W tej chwili go wypróbuję. Sprawdzę...

— Nie! — ryknął Grant. — Odłóż go i zabezpiecz, żeby nim nie rzucało. Musimy dostać nasz tlen, zanim zrobimy cokolwiek innego.

Zaczął wyjmować sprzęt do nurkowania. Owens zszedł na dół z kopuły.

— Stery nie działają — powiedział. — Nie ruszymy się, utknęliśmy w kapilarze... mój Boże, laser!

— Niech pan nie zaczyna! — krzyknęła piskliwie Cora, z oczami pełnymi łez.

Michaels powiedział niezręcznie:

— Coro, nic nie pomoże, jeśli się pani załamie. Później zastanowimy się nad tym. Musiał się obluzować przez jakieś szarpnięcie w wirze. Przez przypadek.

— Kapitanie Owens, niech pan podłączy końcówkę chrap do miniaturyzatora — rzekł Grant. — Reszta z nas założy skafandry do nurkowania.

— Mam nadzieję, że ktoś mi szybko pokaże, jak mam włożyć mój. Nigdy tego nie próbowałem — powiedział Duval.

— To nie pomyłka? — spytał Reid. — Nie ruszają się?

— Nie, sir — dobiegi głos technika. — Są na zewnętrznej granicy prawego płuca.

Reid zwrócił się do Cartera:

— Nie potrafię tego wyjaśnić.

Carter przestał na chwilę spacerować po pokoju i gwałtownie dźgnął kciukiem w stronę zegara kontrolnego, który pokazywał 42.

— Zmarnowaliśmy ponad czwartą część czasu jaki mamy do dyspozycji i jesteśmy dalej od tego cholernego skrzepu niż byliśmy w chwili startu. Powinno już być po wszystkim.

— Widocznie — powiedział Reid zimno — ciąży nad nami przekleństwo.

— Nie czuję się usposobiony do głupich żartów, pułkowniku.

— Ani ja. Ale co mam zrobić?

— Przynajmniej dowiedzmy się, co ich tam zatrzymuje — włączył mikrofon i rzekł: — Skontaktować się z „Proteuszem”.

— Przypuszczam, że to trudności natury technicznej — powiedział Reid.

— Ty przypuszczasz! — rzekł Carter z nagłym sarkazmem. — Ja też nie sądzę, że zatrzymali się tylko po to, żeby sobie spokojnie popływać.

ROZDZIAŁ 12

PŁUCO

Cała czwórka: Michaels, Duval, Cora i Grant, miała już na sobie skafandry do nurkowania, dopasowane, wygodne i antyseptycznie białe. Wszyscy mieli na plecach przytroczone butle tlenowe, na czole latarki, radiohełmy, a na stopach płetwy.

— Mamy być czymś w rodzaju płetwonurków — rzekł Michaels, dopasowując nakrycie głowy.
— Ja tego nigdy nie robiłem. Pierwszy raz próbować w czyimś krwiobiegu...

Na statku rozległ się natarczywy stukot radia.

— Czy nie lepiej odpowiedzieć? — spytał Michaels.

— I wdać się w rozmowę? — rzekł Grant niecierpliwie. — Na pogaduszki będzie czas, gdy skończymy. Pomóżcie mi.

Przy pomocy Cory, hełm z plastikową przyłbicą na głowie Granta z trzaskiem wskoczył na swoje miejsce. W jej uchu zabrzmiał głos Granta, docierający w lekko zniekształconej formie.

— Dziękuję, Coro.

Skinęła głową.

Kolejno skorzystali z wyjścia ewakuacyjnego. Trzeba było tracić drogocenne powietrze na odpychanie osocza krwi za klapą wyjścia. Grant spostrzegł, że tapła się w płynie, który nie był nawet tak klarowny jak woda, jaką można znaleźć przy przeciętnie zanieczyszczonej plaży. Był pełen pływających szczątków, pyłków i okruchów jakichś substancji. „Proteusz” wypełniał sobą połowę średnicy kapilary. Czerwone ciała przepychały się obok niego i potraçały, torując sobie drogę. Czasami mijały go mniejsze od nich trombocyty.

— Jeżeli trombocyty rozbijają się o „Proteusza”, możemy utworzyć skrzep — powiedział Grant niespokojnie.

— Możemy — rzekł Duval — ale tutaj nie będzie niebezpieczne, nie w kapilarze.

Dostrzegli Owensa wewnątrz statku. Podniósł głowę i ukazał niespokojną twarz. Było widać jak coś przesuwa i ustawia. Nałożył hełmofon i powiedział:

— Wszystko przygotowane, zrobiłem, co mogłem. Jesteście gotowi na przyjęcie chrap?

— Zaczynamy — rzekł Grant.

Chrapy wysunęły się przez specjalną klapę. Grant schwycił je.

— O, do diabła... — powiedział Michaels jakimś dziwnym szeptem. Potem głośniejszym, tonem, który zdawał się nasycony smutkiem, rzekł: — Zauważcie, jak małego kalibru są te chrapy. Wygląda na to, że ich obwód jest równy obwodowi męskiego ramienia. Jak duże jest męskie ramię w naszej skali?

— Co z tego? — spytał Grant sucho. Trzymał chrapy w mocnym uścisku. Przełożył je przez ramię, przesuwał się w kierunku ściany kapilary, lekceważąc ból w lewym bicepsie.

— Złapcie, z łaski swojej, i pomóżcie ciągnąć.

— To bez sensu — powiedział Michaels. — Nie rozumie pan? Powinno mi to wcześniej przyjść do głowy. Powietrze nie przejdzie przez ich przekrój.

— Co?

— Nie dość szybko. Nie zminiaturyzowane cząsteczki powietrza są bardzo duże w porównaniu z otworem w tych chrapach. Czy spodziewa się pan, iż powietrze przejdzie przez rurkę tak drobnutką, że ledwo ją można zobaczyć przez mikroskop?

— Powietrze będzie pod ciśnieniem wytworzonym przez płuco.

— Co z tego? Słyszał pan kiedy o powolnym ulatnianiu się powietrza z opony samochodowej? Otwór, przez który powietrze uchodzi z takiej opony jest prawdopodobnie nie mniejszy, niż ten, a znajduje się pod znacznie większym ciśnieniem niż to, które może wytworzyć płuco i jest to powolne ulatnianie się. Do diabła — Michaels skrzywił się żałośnie — że też nie pomyślałem o tym wcześniej!

Grant ryknął:

— Owens!

— Słyszę pana. Niech pan nie niszczy wszystkim bębenków w uszach.

— Mniejsza o mnie. Słyszał pan Michaelsa?

— Słyszałem.

— Czy on ma rację? Pan jest wśród nas największym ekspertem od miniaturyzacji. Ma rację?

— No cóż, i tak, i nie — odrzekł Owens.

— A co to, u diabła, znaczy?

— To znaczy że powietrze bardzo powoli przejdzie przez chrapy, chyba że będzie zmminiaturyzowane i że nie potrzebujemy się martwić, jeśli uda mi się to powietrze zmminiaturyzować. Mogę rozciągnąć pole przez chrapy, zmminiaturyzować powietrze po tamtej stronie i wessać je przez...

— Czy takie wydłużanie pola nie podziela na nas? — wtrącił Michaels.

— Nie, nastawię je na ustalone maksimum miniaturyzacji, to już mamy przebadane.

— A co z otaczającą nas krwią i tkanką płucną? — spytał Duval.

— Selektowność pola, jakie mogę wytworzyć, jest ograniczona — przyznał Owens. — Mam tutaj tylko mały miniaturyzator, ale mogę ograniczyć go do gazów, to jest do substancji o niskiej gęstości. To na pewno spowoduje jakieś uszkodzenia. Mam nadzieję, że niezbyt duże.

— Będziemy musieli zaryzykować, to wszystko — powiedział Grant. — Ruszajmy. To nie może trwać wiecznie.

Chrapy, objęte czterema parami ramion, dosięgły ściany kapilary. Grant zawahał się przez moment.

— Będziemy musieli przeciąć ścianę na wylot. Duval! Wargi Duwała skrzywiły się w nikłym uśmiechu.

— Nie ma potrzeby wzywać chirurga. Na tym mikroskopowym poziomie zrobiłby pan to równie dobrze. Wiedza fachowa jest do tego niepotrzebna.

Z małej pochwy u pasa wyciągnął nóż i spojrzał nań.

— Bez wątpienia ma na sobie zmminiaturyzowane bakterie. Ostatecznie zdeminaturyzują się w krwiobiegu, ale wówczas zajmą się nimi białe ciała. Mam nadzieję, że nie ma tu nic chorobotwórczego. — Proszę, zaczynajmy doktorze — przynaglił Grant. Duval wykonał nożem zgrabne cięcie między dwoma komórkami kapilary. Otworzyła się równa szczelina. W normalnym świecie ściana ta mogła mieć jedną dziesięciotysięczną cala grubości, ale w ich zmminiaturyzowanej skali wynosiło to kilka jardów. Duval wszedł w szczelinę i torował sobie drogę, rozcinając włókna międzykomórkowego spoiwa i tnąc głębiej. W końcu ściana została przebita, a komórki oddzielone. Przez otwór można było zobaczyć jeszcze jeden zespół komórek, który Duval ciął zgrabnie i precyzyjnie. Zawrócił i powiedział:

— To mikroskopijny otwór. Utrata krwi będzie tak nieznaczna, że nie ma o czym mówić.

— W ogóle żadna — rzekł Michaels z naciskiem. — Przesączenie przebiega w odwrotnym kierunku.

Rzeczywiście, bańka powietrza przy otworze zdawała się wydymać do wnętrza kapilary.

Wydeła się jeszcze bardziej a potem zatrzymała. Michaels położył na niej rękę. Wepchnął część jej powierzchni do wewnątrz. Ręka nie przeszła na wylot.

— Napięcie powierzchniowe, powiadam. Na każdej powierzchni płynu istnieje pewien rodzaj naskórkowości. Dla czegoś tak dużego jak istota ludzka zjawisko to jest zbyt nikłe, dlatego niezauważalne, ale owady mogą za jego przyczyną spacerować po powierzchni wody. W naszym zminiaturyzowanym stanie efekt tego zjawiska jest nawet silniejszy. Możemy nie pokonać tej bariery.

Michaels wyciągnął nóż i wepchnął go w powierzchnię oddzielającą ciecz i gaz, tak jak to chwilę przedtem uczynił Duval z komórkami. Nóż do pewnego punktu pchał tę powierzchnię, w końcu przebił ją.

— To jest jak cięcie grubej gumy — powiedział Michaels lekko zdyszany. Pociągnął nożem ku dołowi i na krótko pojawił się otwór, który zamknął się natychmiast, sam się gojąc.

Grant spróbował zrobić to samo, przepychając rękę przez otwór, zanim ten się zamknął. Skrzywił się trochę, kiedy cząsteczki płynu zbliżyły się do jego ręki.

— Wiecie, to mnie ściska za rękę.

Duval powiedział ponuro:

— Gdyby pan przeliczył rozmiary tych cząsteczek na naszą skalę, byłby pan zdumiony. Mógłby pan zobaczyć je przez lupę. Naprawdę.

— Żałuje pan, że nie zabrał ze sobą lupy? — zapytał Michaels. — Mam dla pana nowinę, Duval. Dużo by pan nie zobaczył. Powiększyłby pan zarówno cechy fali, jak i cechy cząstek atomów i subatomowych cząsteczek Cokolwiek by pan zobaczył, nawet przez odbicie zminiaturyzowanego światła, byłoby zbyt mgliste.

— Czy to dlatego nic nie posiada naprawdę ostrych konturów? — spytała Cora. — Myślałam, że to dlatego, że widzimy wszystko przez osocze.

— Osocze z pewnością stanowi jakiś czynnik. Ale ogólna ziarnistość wszechświata staje się tym większa, im mniejsi stajemy się my. To tak jakbyśmy patrzyli z bliska na fotografię w staroświeckiej gazecie. Bardziej wyraźne stają się kropki, a fotografia wydaje się zamglona.

Grant nie zwracał uwagi na tę rozmowę. Jego ramię przeszło na wylot przez błonę i szarpał nim teraz, usiłując zrobić miejsce na drugie ramię i głowę. Na chwilę płyn zamknął się wokół jego szyi, poczuł, że się dusi.

— Przytrzymajcie moje nogi, dobra? — zawołał.

— Mam je — powiedział Duval.

Grant precyzyjnie się do połowy i mógł spojrzeć przez szczelinę w ścianach, zrobioną uprzednio przez Duvala.

— W porządku. Ściągnijcie mnie z powrotem. Spłynął w dół, a płaszczyzna oddzielająca zamknęła się za nim z pyknięciem.

— Zobaczymy, co możemy zrobić z chrapami — powiedział. — Do góry je!

To było beznadziejne. Tępy koniec chrap nie wgłębił się w spoisty naskórek cząsteczek płynu na bańce powietrznej. Noże cięły naskórek kawałkami, tak że część chrap przeszła, ale gdy tylko przestawali na chwilę, by odpocząć, napięcie powierzchniowe wkraczało do akcji i chrapy wystrzelały z powrotem. Michaels dyszał z wysiłku.

— Nie sądzę, aby nam się udało.

— Musi — powiedział Grant. — Słuchajcie, wejdę w głąb jak najdalej. Kiedy przepchniecie chrapy, złapię je i pociągnę. I tak pchając i ciągnąc, wspólnymi siłami...

— Nie może pan tam wejść, Grant — rzekł Duval. — Będzie pan wessany.

— Możemy użyć liny ratowniczej — powiedział Michaels. — Właśnie tej, Grant. — Wskazał

na zwiniętą linę przy lewym biodrze Granta. — Duval, niech pan cofnie się z nią do okrętu i przywiąże ją, a my przeprawimy Granta na drugą stronę.

Duval niepewnie wziął koniec liny i popłynął ku okrętowi.

— Ale jak wrócisz? — spytała Cora. — Przypuśćmy, że nie będziesz mógł przepchnąć się ponownie przez napięcie powierzchniowe.

— Wrócę na pewno. Poza tym, nie gmatwaj sytuacji, zajmując się problemem numer dwa, podczas gdy problem numer jeden jest nadal przed nami.

Ze swej kapsuły Owens patrzył z napięciem na nadpływającego Duwala.

— Potrzebujecie jeszcze jednej pary rąk tam na zewnątrz? — spytał.

— Nie sądzę — odrzekł Duval. — Pan jest potrzebny przy miniaturyzatorze.

Przywiązał linę ratowniczą do małego pierścienia umocowanego na klapie wjazdu i pomachał ręką:

— Okay, Grant!

Grant odmachnął. Druga próba powiodła się. Złapał rytm. Najpierw szczelina, potem jedno ramię, potem drugie, następnie mozolne pchanie ramionami powierzchni oddzielającej, machanie płetwami i wreszcie wystrzelił jak kamień z procy. Znajdował się pomiędzy dwoma sztywnymi ścianami szczeliny międzykomórkowej. Spojrzał w dół, na twarz Michaela, wyraźnie widoczną, lecz nieco zniekształconą przez krzywiznę płaszczyzny oddzielającej.

— Przepychajcie chrapy, Michaels!

Poprzez płaszczyznę oddzielającą mógł dostrzec młócenie kończyn, wahadłowy ruch ręki trzymającej nóż. A potem częściowo ukazała się tępa, metalowa końcówka chrap. Grant ukląkł i złapał ją. Zapierając się plecami o jeden bok szczeliny, a stopami o drugi, pociągnął. I Płaszczyzna oddzielająca uniosła się razem z chrapami, przywierając do nich na całym obwodzie. Grant z wysiłkiem przesunął się w górę, przed chrapy, krzycząc:

— Pchajcie! Pchajcie!

Chrapy przedostały się wreszcie swobodnie. Wnętrze rury wypełniał nieruchomy płyn.

— Teraz płynę w górę, do pęcherzyka — powiedział Grant.

— Kiedy dostanie się pan do pęcherzyka, niech pan będzie ostrożny — rzekł Michaels. — Nie wiem, jak podziała na pana wdych i wydech. Może się pan znaleźć w środku huraganu.

Grant posuwał się w górę, szarpiąc za chrapy, ilekroć znajdował oparcie dla rąk i nóg w miękkiej, sprężynującej tkance. Jego głowa wzniosła się poza ścianę pęcherzyka i nagle znalazł się w innym świecie. Światło z „Proteusza” przenikało przez coś, co wydało mu się potężną warstwą tkanki. W przytłumionym świetle pęcherzyk był ogromną jaskinią, której ściany mgliście połyskiwały w oddali. Wokół niego strome skały i otoczaki wszelkich rozmiarów i kolorów skrzyły się opalizująco. Słaby refleks zminiaturyzowanego światła nadał im nieprawdziwie piękny blask. Grant dostrzegł, że brzegi otoczków pozostały zamglone mimo nieobecności płynu, który tłumaczyłby to zjawisko.

— To miejsce jest pełne skał — powiedział Grant.

— Kurz i pył jak przypuszczam — dobiegł go głos Michaela. — Kurz i pył. Dziedzictwo życia i cywilizacji, oddychania nie oczyszczonym powietrzem. Płuca są trasą jednokierunkową. Możemy nabrać w nie kurzu, lecz nie możemy ich oczyścić.

— Niech pan zrobi wszystko, żeby trzymać chrapy nad głową, dobrze? Nie chcę, żeby jakiś płyn je zatykał... teraz! — wtrącił się Owens.

Grant dźwignął wysoko chrapy.

— Niech mnie pan zawiadomi, kiedy kończymy, Owens — wydyszał.

— Zawiadomię.

— Działa?

— Działa na pewno. Uregulowałem pole strobofiliczne tak że działa szybkimi zrywami, zależnie od... no, mniejsza z tym. Pole nigdy nie jest w akcji ciągłej dostatecznie długo, żeby w istotny sposób podzielać na ciecze lub ciała stałe, ale w wielkim tempie miniaturyzuje gazy. Rozszerzyłem pole daleko poza Benesa, do atmosfery w sali operacyjnej.

— Czy to bezpieczne? — spytał Grant.

— To jedyny sposób, w jaki możemy zdobyć dostateczną ilość powietrza. Musimy mieć go tysiące razy więcej, niż zawierają całe płuca Benesa i wszystko to zmminiaturyzować. Czy to bezpieczne? Dobry Boże, człowieku, wsysam je prosto przez tkanki Benesa, nawet bez oddziaływania na jego oddychanie. Ach, gdybym tylko miał większe chrapy! — Owens sprawiał wrażenie wesołego i podekscytowanego.

— Jak działa na pana oddychanie Benesa? — Grant usłyszał głos Michaela.

Spojrzał szybko na błonę pęcherzyka. Robiła wrażenie mocno naprężonej, więc odgadł, że jest świadkiem bardzo powoli kończącego się wdechu.

Wszystko w porządku — powiedział — żadnego efektu ubocznego. Grant usłyszał cichy zgrzyt, który stawał się głośniejszy i zdał sobie sprawę, że zaczyna się wydech. Z całych sił uchwycił się chrap.

— To działa przepięknie — rzekł triumfalnie Owens. — Nigdy przedtem nie dokonano czegoś podobnego.

Ruch powietrza wokół Granta stał się wyczuwalny, gdy płuca kontynuowały swe powolne, ale nabierające prędkości kurczenie się. Zgrzyt wydechu stawał się coraz ; głośniejszy. Grant poczuł, że jego nogi unoszą się z pęcherzykowego podłoża. Wiedział, że w zwykłej skali prąd powietrza w pęcherzyku jest niewyczuwalnie delikatny, lecz w skali zmminiaturyzowanej przemieniał się w tornado. Desperacko uchwycił chrapy, gwałtownie obejmując je ramionami i nogami. Chrapy wyprężyły się ku górze. Otoczaki — te z kurzu — poluzowały się i lekko potoczyły. Wiatr zamarł. Wydech kończył się powoli. Grant z ulgą wypuścił chrapy z objęć.

— Jak idzie, Owens? — zapytał.

— Prawie gotowe. Proszę tak trzymać jeszcze parę sekund, dobrze, Grant?

— Okay.

Liczył: dwadzieścia... trzydzieści... czterdzieści. Zaczynał się wdech. Cząsteczki powietrza uderzały o niego. Ściana pęcherzyka znów się napinała. Grant, potknął się, upadł na kolana.

— Wystarczy — krzyknął Owens. — Wycofujcie się.

— Ściągajcie chrapy! — wrzasnął Grant. — Szybko! Zanim nadejdzie kolejny wydech!

Pchał w dół, a oni ciągnęli. Trudność powstała w chwili, gdy chrapy zbliżyły się do płaszczyzny oddzielającej. Uwięzły tam na moment, jakby schwycone w imadło. W końcu przeciągnięto je z trzaskiem łączącej się na powrót błony powierzchniowej.

Grant przyglądał się tak długo, aż chrapy bezpiecznie wycofano. Chciał zanurkować do szczeliny i przebić się przez płaszczyznę oddzielającą na jej dnie, ale początek wydechu okrążył go wiatrem i sprawił, że się potknął. Przez chwilę tkwił zaklinowany między dwoma otoczakami z kurzu i stwierdził, że usiłując się uwolnić, otarł sobie skórę na łydce. Pomyślał, że zranienie się w łydkę o cząsteczkę kurzu to na pewno coś, o czym będzie można opowiadać wnukom. Potrzęsnał liną ratowniczą, która odhaczając się zaczepiła się o coś. Pociągnął ją, aż się naprężyła. Najłatwiej będzie wrócić do szczeliny jej śladem. Zwijając linę, piął się w górę po otoczaku. Potęgujący się wydech pomógł mu tak, że prawie nie odczuł wysiłku przy tej wspinaczce. Potem szło się jeszcze

łatwiej. Wiedział, że szczelina jest dokładnie po przeciwnej stronie otoczaka i mógłby obejść go dookoła, gdyby nie fakt, że dzięki wydechowi droga na szczyt była prostsza i bardziej ekscytująca.

Otoczak zakołysał się pod jego stopami poruszony wydechem. Grant oderwał się od niego uniesiony w górę. Po chwili znalazł się wysoko w powietrzu — szczelina była akurat za otoczakiem, właśnie tam, gdzie spodziewał się, że będzie. Musi tylko poczekać sekundę lub dwie, aż wydech ustanie i wtedy zrobi szybki wypad do szczeliny, do krwiobiegu i do okrętu. W chwili, kiedy to pomyślał, że jest gwałtownie wsysany w górę, ciągnąc za linę ratowniczą, która wyrwała się ze szczeliny. Szczelina zniknęła mu z oczu. Zgubił ją.

Chrapy zostały wyciągnięte z pęcherzyka. Duval wracał z nimi na okręt.

— Gdzie jest Grant? — spytała z niepokojem Cora.

— Tam w górze — rzeki Michaels, zaglądnij do szczeliny.

— Dlaczego nie schodzi na dół?

— Zejdzie. Zejdzie. To wymaga nieco wysiłku. — Ponownie spojrzął badawczo w górę. —

Benes robi wydech. Kiedy skończy, Grant nie będzie miał trudności.

— Czy nie powinniśmy złapać liny i wyciągnąć go? Michaels wystawił ramię i uprzedził ją.

— Jeśli to pani zrobi i szarpnie akurat w chwili, gdy zacznie się wdech, siłą ściągnąc Granta w dół, może go pani skaleczyć. On nam powie, co robić, jeśli potrzebuje pomocy.

Cora popatrzyła nerwowo, a potem podpłynęła w kierunku liny.

— Zaraz — powiedziała — chciałabym...

W tej chwili lina zadrgała i wijąc się ruszyła w górę. Jej koniec przemknął obok i zniknął w otworze. Cora krzyknęła i rzuciła się rozpaczliwie w ślad za liną. Michaels podążył za nią.

— Nic pani nie może zrobić — wydyszał — niech pani nie będzie głupia.

— Nie możemy go tam zostawić. Co się z nim stanie?!

— Usłyszemy go przez radio.

— Może być uszkodzone.

— Dlaczego? Przed chwilą działało?

Dołączył do nich Duval. Powiedział zduszonym głosem:

— Lina puściła na moich oczach. Nie mogę w to uwierzyć.

Wszyscy troje bezradnie spojrzeli w górę. Michaels zawołał:

— Grant! Grant! Słyszysz mnie pan?

Miotając się i okręcając, Grant sunął w górę, bezużyteczna lina podążała za nim. Jego myśli były tak pogmatwane jak tor jego lotu. Nie wrócę, to była myśl dominująca. Nie wrócę. Nie uda mi się nawiązać łączności. A może?

— Michaels! Duval! — zawołał.

Przez chwilę nie było nic słycać, potem do jego uszu dotarł słaby, trzeszczący dźwięk, coś jakby warknięcie, który mógł oznaczać: Grant! Spróbował jeszcze raz.

— Michaels! Słyszycie mnie? Słyszycie mnie? Znów trzaski. Niczego nie mógł rozróżnić. W głębi napiętego umysłu pojawiła się spokojna myśl—sposrzeżenie, że zminiaturyzowane fale świetlne są bardziej przenikliwe, zminiaturyzowane fale radiowe mogą posiadać mniejszą przenikliwość niż normalne.

Najwidoczniej niewiele było wiadomo o stanie zminiaturyzowanym. To pech dla „Proteusza” i jego załogi, że byli pionierami w nieznanym dziedzynie. To fantastyczna podróż, o ile wciąż jeszcze była to podróż.

Grant był teraz w swej własnej, fantastycznej subpodróży, rzucany podmuchem przez całe mile przestrzeni, wewnątrz mikroskopijnej komory powietrznej w płucu umierającego człowieka. Jego ruch powolniał. Osiągnął szczyt pęcherzyka. Wsunął się do rurkowej szypułki, na której pęcherzyk był zawieszony. Dalekie światło „Proteusza” było bardzo przyćmione. Czy mógłby podążyć w kierunku światła? Czy mógłby spróbować poruszać się w jakimkolwiek kierunku? Dotknął ściany rurkowej szypułki i przykleił się do niej. Zaczął szarpać. Obie nogi i ramię były przyklejone do ściany. Przestał się miotać i zmusił się do myślenia. Wydech się skończył, ale zaczął się wdech. Prąd powietrza ściągnie go w dół. Czekać na to! Poczł wiatr i usłyszał narastający hałas. Powoli odciągnął przyklejone ramię i uwolnił je, odchylił się na zewnątrz, na wiatr. Wicher popchnął go w dół i uwolnił nogi. Opadał, nurkując w dół z wysokości, która w wyimaginowanej skali była zawrotna. Wiedział, że z nie zminiaturyzowanego punktu widzenia musi dryfować w dół na kształt opadającego piórka, lecz to, czego doświadczył, było spadaniem kawałka ołowiu. Było to opadanie równomierne, bez przyspieszenia. Wielkie cząsteczki powietrza (prawie wystarczająco duże, by je zobaczyć, jak powiedział Michaels) musiały znajdować się po jednej stronie, kiedy spadał i to zabierało energię, jaka w innym przypadku zamieniłaby się w przyspieszenie.

Bakteria nie większa od niego mogła spaść z tej wysokości bezpiecznie, ale on, zminiaturyzowany człowiek, był zbudowany z pięćdziesięciu trylionów małych komórek, a ta złożoność sprawiła, że był bardzo: kruchy, że mógł roztrzaskać się i zamienić w zminiaturyzowany pył. Kiedy o tym pomyślał, automatycznie wyrzucił ręce nad głowę w samoobronie. Ściana pęcherzyka wirując zbliżyła się do niego. Poczł, że dotyka jej przez krótką chwilę. Ściana poddała się miękko i po chwilowym przylgnięciu odbił się od niej. Szybkość spadania zmalęła.

Znów w dół. Widział poniżej punkcik światła mały jak łeppek szpilki. Zamrugał, kiedy Grant nań patrzył. Wbił w niego wzrok z szaloną nadzieją. Wciąż w dół. Obląkańczo machał nogami, by uniknąć spotkania z otoczkami kurzu. Minął je o włos. Zawadził o porowaty obszar. Znowu spądanie. Młócił dziko rękami i nogami, usiłując skierować opadanie w stronę światelka. Pragnął, z całego serca pragnął, żeby się udało. Ale nie był pewny. Stoczył się po dolnej pochyłości powierzchni pęcherzyka. Zrzucił linę ratowniczą na coś wystającego, z trudem zatrzymał się. Świetlisty punkt stał się małą, błyszczącą tafelką i znajdował się w odległości jakichś pięćdziesięciu stóp. To musiała być szczelina. I chociaż tak bliska, nie znalazłby jej, gdyby światło go nie prowadziło.

Począł, aż ustanie wdech. W tym krótkim czasie między wdechem a wydechem musiał pokonać tę odległość. Zanim wdech ustał całkowicie, Grant prześlizgiwał się. Gramolił się przez przestrzeń dzielącą go od szczeliny. Błona pęcherzyka naprężyła się w końcowym momencie oddechu, a potem, zatrzymawszy się przez parę sekund, zaczęła tracić napięcie. Rozpoczął się wydech. Rzucił się w dół, do szczeliny, która płonęła światłem. Kopnął w płaszczyznę oddzielającą, odskoczyła jak guma. Jakiś nóż przeciął ją na wylot, ukazała się ręka i mocnym chwytem złapała Granta za kostkę u nogi. Poczł, że jest ściągany w dół właśnie w chwili, gdy wznoszący się ku górze prąd powietrza zaczął być odczuwalny.

Jeszcze jedna para rąk złapała go za nogi. Pojechał w dół i znalazł się na powrót w kapilarze. Łapał powietrze długimi, nierównymi haustami. Wreszcie rzekł:

— Dzięki! Szedłem za światłem. Inaczej nie dałbym rady.

— Nie można było skontaktować się z panem przez radio — powiedział Michaels.

Cora uśmiechnęła się.

— To był pomysł doktora Duvala. Kazał przysunąć „Proteusza” do otworu i świecić reflektorami dziobowymi w szczelinę. Powiększył także otwór.

— Wracamy na okręt — rzekł Michaels. — Straciliśmy tyle czasu, na ile mogliśmy sobie pozwolić.

ROZDZIAŁ 13

OPŁUCNA

— Zaraz będzie wiadomość, Al! — wykrzyknął Reid

— Z „Proteusza”? — Carter podbiegł do okna.

— Spodziewasz się od kogoś innego?

Carter niecierpliwie machnął ręką.

— Później. Później. Zapamiętaj te wszystkie dowcipy, a potem przelecimy je po kolei, dobrze?

Dobiegł głos technika:

— Sir, „Proteusz” melduje: NIEBEZPIECZNA UTRATA POWIETRZA. UZUPEŁNIANIE ZAPASU PRZEPROWADZONO POMYŚLNIE.

— Uzupełnianie zapasu? — krzyknął Carter.

Reid powiedział, marszcząc brwi:

— Przypuszczam, że mają na myśli płuca. Właśnie, są przy nich, a to w ich skali oznacza całe mile sześciennego powietrza. Ale...

— Ale co?

— Nie mogą tego powietrza wykorzystać. Jest nie zminiaturyzowane.

Carter spojrzał na pułkownika z rozdrażnieniem. Warknął do nadajnika:

— Powtórzyć ostatnie zdanie meldunku.

— UZUPEŁNIANIE ZAPASU PRZEPROWADZONO POMYŚLNIE.

— Czy to ostatnie słowo brzmi „pomyślnie”?

— Tak, sir.

— Połącz się z nimi i upewnij.

— Jeśli mówią „pomyślnie”, to przypuszczam, że uporali się z tym — powiedział do Reida.

— „Proteusz” ma na pokładzie miniaturyzator.

— To dlatego im się udało. Później to wyjaśnimy. Z działu łączności dobiegł głos:

— Meldunek potwierdzony, sir.

— Ruszyli? — spytał Carter, łącząc się z kolejnym sektorem.

Krótką pauza, a potem:

— Tak, sir. Przechodzą przez opłucną.

Reid pokiwał głową. Podniósł wzrok na zegar kontrolny, który pokazywał 37, i powiedział:

— Opłucna jest podwójną błoną otaczającą płuca. Muszą poruszać się w przestrzeni międzypłucnowej, prosta, szybka droga do szyi.

— I znajdą się tam, skąd wystartowali pół godziny temu — Carter zazgrzytał zębami. — A co potem?

— Mogą wrócić do kapilary i ponownie znaleźć drogę do tętnicy szyjnej, ale to zabierze dużo czasu, lub mogą ominąć układ tętniczy, kierując się do naczyń limfatycznych, co niesie z sobą inne problemy. Michaels jest pilotem i przypuszczam, że wie, co robić.

— Możesz mu doradzić? Na miłość Boską, nie zważaj na etykietę.

Reid potrząsnął głową.

— Nie jestem pewien, który kurs byłby najmądrzejszym rozwiązaniem, Michaels jest na miejscu. On lepiej osądzi, do jakiego stopnia okręt może wytrzymać jeszcze jedno bombardowanie w tętnicy. Im musimy pozostawić decyzję.

— Chciałbym wiedzieć co robić — powiedział Carter. — Na Boga, wziąłbym na siebie

odpowiedzialność, gdybym wiedział, że się uda.

— Ja czuję tak samo — rzekł Reid — i dlatego odmawiam przyjęcia odpowiedzialności.

Michaels przeglądał mapy.

— W porządku, Owens, to nie to miejsce, do którego zmierzałem, ale znajdziemy je. Zrobiliśmy otwór. Kurs do szczeliny.

— Do płuc? — spytał Owens oburzony.

— Nie, nie.— Michaels niecierpliwie odpiął pasy i wspiął się po drabince. Jego głowa wsunęła się do kopuły. — Przedostaniemy się do jamy opłucnowej. Niech pan uruchomi silnik. Będę pana pilotował.

Cora przyklęła przy fotelu Granta.

— Jak sobie dałeś radę?

— Ledwo, ledwo — odrzekł Grant, po czym niecierpliwie dodał — wciąż się zastanawiam po kiego diabła tu jestem?

— Na pewno wiesz... — powiedziała Cora.

— Nie, nie wiem. Każdy z was kieruje się własnymi motywami, Owens wypróbował swój okręt, Michaels pilotuje go przez ludzkie ciało, Duval podziwia dzieło Boże, a ty... Tak?

Grand rzekł cicho:

— Ty podziwiasz Duvala.

Cora zaczerwieniła się.

— On jest godzien podziwu, naprawdę. Wiesz, po tym jak zaproponował, żebyśmy świecili reflektorami do szczeliny, tak żebyś znalazł punkt zaczepienia. Słowem nie odezwał się do ciebie, gdy wróciłeś. To jego sposób bycia. Uratuje komuś życie, potem traktuje go zdawkowo i nieuprzejmie, dlatego pamięta się jego nieuprzejmość, a nie to, że ocalił życie. Jego zachowanie nie zmienia faktu, że jest wspaniałym człowiekiem.

— To prawda, chociaż ono maskuje ten fakt.

— No cóż, na mnie czas, muszę naprawić laser — rzuciła szybkie spojrzenie na Michaelsa, który wracał na swoje miejsce.

— Laser? Dobry Boże, zapomniałem. A zatem niech pani zrobi co w pani mocy, aby upewnić się, czy nie jest poważnie uszkodzony, dobrze?

Ożywienie, jakim jaśniała podczas uprzedniej rozmowy, zgasło.

— Ach, gdybym tylko mogła...

Poszła na rufę. Oczy Michaelsa śledziły ją.

— Co z laserem? — spytał.

Grant potrząsnął głową.

— Zaraz go sprawdzi i będziemy wiedzieli.

Michaels zawahał się przed następną uwagą. Lekko potrząsnął głową. Grant wpatrywał się w niego bez słowa.

— Co pan myśli o naszej obecnej sytuacji?

Michaels usiadł w fotelu. Grant zaabsorbowany przeniósł wzrok na okno. Przesuwali się między ścian, które prawie dotykały „Proteusza” z obu stron, połyskując żółto, zbudowane z równoległych włókien, jak wielkie pnie drzewne. Płyn dookoła był klarowny, bez komórek i obiektów. Pływało w nim nawet niewiele szczątków. Trwał w martwej ciszy, „Proteusz” spieniał go, płynąc z dużą szybkością. Tylko przytłumione ruchy Browna zakłócały nieco tę równomierność.

— Ruchy Browna — rzekł Grant — są teraz gwałtowniejsze.

— Płyn, w którym się znajdujemy jest mniej lepki niż osocze krwi, dlatego ruchy są mniej

zamortyzowane. Długo tu nie będziemy.

— Rozumiem, że nie jesteśmy w krwiobiegu?

— Czy to wygląda jak krwiobiegi? To jest przestrzeń między fałdami błony opłucnowej otaczającej płuca. Po tej stronie błona jest przymocowana do żeber. W zasadzie mijając jedno z nich, powinniśmy zobaczyć rozległe, łagodne wybrzuszenie. Druga błona jest przytwierdzona do płuc. Jeśli chce pan znać nazwy, są to odpowiednio: opłucna ścienna i opłucna płucna.

— Naprawdę nie chcę znać tych nazw.

— Tak myślałem. To, w czym teraz jesteśmy, to cienka warstewka nawilżającej substancji między opłucnymi. Kiedy płuca rozszerzają się podczas wdechu lub kurczą podczas wydechu, ocierają się o żebra, a ten płyn amortyzuje i łagodzi ruch. Warstewka jest tak cienka, że w zdrowym ciele fałdy opłucnej zwykle prawie się stykają. My, mając wielkość bakterii, możemy przemknąć się między nimi.

— Czy kiedy ściana płuca przesuwana się po żebrach, nie ma wpływu na ruch „Proteusza”?

— Musimy na przemian lekko przyspieszać i hamować. Nie na tyle, by miało to jakieś znaczenie.

— Hej! — powiedział Grant. — Czy te błony mają jakieś zadanie przy zapaleniu opłucnej?

— Z pewnością. Gdy opłucna jest zainfekowana i następuje zapalenie, każdy oddech staje się męczarnią, a kaszel...

— Co się stanie, jak Benes zakaszle?

Michaels wzruszył ramionami.

— Przypuszczam, że w naszym obecnym położeniu byłoby to fatalne. Rozlecielibyśmy się w kawałki. Ale on nie ma powodu do kaszlu. Benes jest w stanie hipotermii i głębokiej narkozy, a jego opłucne, dając na to słowo, są w dobrej kondycji.

— Jeśli je podrażnimy...

— Jesteśmy na to za mali.

— Jest pan pewny?

— Możemy rozważyć to tylko w kategorii prawdopodobieństwa. Prawdopodobieństwo kaszlu jest w tej chwili zbyt małe, żeby się o to martwić. — Jego twarz była spokojna.

— Rozumiem — rzekł Grant i obejrzał się, chcąc zobaczyć, co robi Cora.

Ona i Duval byli w pracowni, oboje pochylali głowy nad warsztatem. Grant podniósł się i podszedł do drzwi. Michaels przyłączył się do niego. Na płycie z opalowego szkła oświetlonego od spodu leżał zdemontowany laser, którego każda część rysowała się w tym świetle ostro i wyraźnie.

— Czy jest poważnie uszkodzony? — dopytywał się szorstko Duval.

— Dość poważnie. Tranzystor i zerwany przewód spustowy.

Duval zdawał się w zamyśleniu liczyć części, dotykając każdej delikatnie palcem i przesuwaną ją.

— Najważniejszy jest ten rozwalony tranzystor. Nie sposób rozzarzyć lampę. To koniec lasera.

Grant przerwał:

— Nie ma części zapasowych?

Cora podniosła wzrok. Jej spojrzenie było pełne poczucia winy.

— Nie. Żadnych części. Zabralibyśmy drugi laser, ale kto mógł... gdyby się nie oblużował... — powiedziała.

— Mówi pan serio, doktorze Duval? — spytał posępnie Michaels. — Laser jest nie do użytku?

Nuta zniecierpliwienia wkradła się w głos Duvala.

— Zawsze mówię serio. Nie zawracajcie mi głowy. — Robił wrażenie zagubionego w myślach.

Michaels wzruszył ramionami.

— Więc to tak. Przeprowadziliśmy się przez serce, napełniliśmy przy płucach komory powietrzne i wszystko na nic. Nie możemy płynąć dalej.

— Dlaczego nie? — spytał Grant.

— Oczywiście, możemy płynąć dalej w sensie możliwości fizycznych. Tylko po prostu nie ma po co, Grant. Bez lasera niczego nie możemy tu dokonać.

— Doktorze Duval — zapytał Grant — czy istnieje jakiś sposób wykonania operacji bez lasera?

— Myślę — warknął Duval.

— Niech się pan podzieli swymi myślami — odwarknął Grant.

Duval podniósł wzrok.

— Nie, nie można wykonać tej operacji bez lasera.

— Przez całe stulecia obchodzono się bez niego. Przeciął pan ścianę płuca nożem, to była operacja. Nie może pan nożem wyciąć skrzepu?

— Oczywiście że mogę, ale nie bez uszkodzenia nerwu i narażenia na niebezpieczeństwo całego płuca mózgu. Laser jest dokładniejszy i delikatniejszy niż nóż. W tym przypadku nóż oznaczałby rzeź.

— Ale z pomocą noża może pan uratować życie Benesa, prawda?

— Myślę, że tak, chyba tak. Siłą rzeczy nie mogę uratować jego umysłu. Jestem pewien, że operacja dokonana nożem spowoduje nieodwracalne uszkodzenie mózgu. Czy pan tego chce?

Grant potarł podbródek.

— Powiem panu. Płyniemy do skrzepu. A kiedy już tam będziemy, to, jeżeli wszystkim co mamy jest nóż użyje go pan, Duval. Jeśli zgubimy noże, użyje pan swoich zębów. A jeśli nie pan, ja to zrobię. Może nam się nie udać, ale nie zrezygnujemy. Obejrzymy jaszczkę raz ten przeklęty laser.

Wepchnął się między Duwala i Corę i podniósł tranzystor, który ułożył zrećźnie na czubku swego wskazującego palca.

— To ten rozbity?

— Tak — odpowiedziała Cora.

— Gdyby go naprawić lub wymienić, można by uruchomić laser?

— Tak, ale nie można go naprawić.

— Przypuśćmy, że mielibyśmy inny tranzystor, mniej i więcej tej samej wielkości i mocy wyjściowej oraz dostatecznie cienki drut. Moglibyście to poskładać?

— Nie wiem. To wymaga absolutnej precyzji...

— Być może ty nie, ale co z panem, doktorze Duval? Pańskie palce chirurga mogłyby tego dokonać.

— Mógłbym spróbować. Ale nie mamy części.

— Owszem, mamy — powiedział Grant. — Mogę ich i dostarczyć.

Złapał cienki, metalowy śrubokręt i zdecydowanym krokiem wrócił do przedniej części okrętu. Podszedł do radia i bez wahania zaczął odśrubowywać tablicę rozdzielczą. Michaels stanął za nim. Złapał go za łokieć.

— Co pan robi, Grant?

Grant strząsnął jego rękę.

— Dobieram się do bebechów tego urządzenia.

— Chce pan zdemontować radio?

— Potrzebuję tranzystora i drutu.

— A co z łącznością ze światem zewnętrznym!

— Nic.

— Kiedy przyjdzie czas, żeby nas wydostać, a Benesa... Grant, słuchaj pan...

— Nie — odrzekł niecierpliwie Grant. — Mogą nas śledzić dzięki naszej radioaktywności. Radio służy tylko do czczej gadaniny i możemy się bez niego obejść. A nawet musimy. Albo cisza radiowa, albo śmierć Benesa.

— Na litość Boską, człowieku, wywołaj pan Cartera i przedstaw mu to.

Grant namyślał się krótko.

— Wywołam go. Ale tylko po to, aby mu powiedzieć, że dalszych meldunków nie będzie.

— A jeśli on rozkaże panu przygotować się do odwrotu...

— Odmówię.

— Ale jeśli on rozkaże panu...

— Może nas wyciągać siłą, ale bez mojej współpracy. Dopóki jesteśmy na pokładzie „Proteusza”, ja podejmuję decyzje. Zbyt wiele już przeszliśmy, żeby zrezygnować, więc płyniemy do celu, do skrzepu, cokolwiek się wydarzy i cokolwiek rozkaże Carter.

— Powtórzyć ostatnią wiadomość! — wrzasną! Carter.

— DEMONTUJEMY RADIO, BY NAPRAWIĆ LASER. TO OSTATNI MELDUNEK.

Reid powiedział beznamiętnie:

— Zrywają łączność.

— Co, u diabła, stało się z laserem? — rzekł Carter.

— Mnie nie pytaj. Carter ciężko usiadł.

— Niech nam tu dadzą kawy, dobrze, Don? Gdybym sądził, że mi to ujdzie na sucho, poprosiłbym o podwójną szkocką z wodą sodową, a potem jeszcze o dwie. To jakieś fatum.

Reid zamówił kawę.

— Może to sabotaż — powiedział cicho.

— Sabotaż?

— Tak. Nie udawaj niewiniątka, generale. Przewidywałeś taką możliwość od początku, bo po co byś posyłał Granta?

— Po tym, co się przytrafiło Benesowi w drodze z lotniska...

— Wiem. Szczególnie nie ufam Duwalowi i tej dziewczynie.

— Oni są w porządku — powiedział Carter z grymasem. — Muszą być. Wszyscy muszą być w porządku. Nie ma sposobu, żeby uczynić bezpieczeństwo jeszcze bezpieczniejszym.

— Właśnie. Żadne środki nie dają absolutnej pewności.

— Wszyscy ci ludzie pracują tutaj.

— Nie Grant — powiedział Reid.

— Hę?

— Grant tu nie pracuje. Jest człowiekiem z zewnątrz.

Carter uśmiechnął się krzywo.

— Jest agentem rządowym.

— Wiem — rzekł Reid. — Nawet agenci mogą grać na dwie strony. Umieściłeś Granta na „Proteuszu” i zaczęła się zła passa.

Przyniesiono kawę. Carter powiedział:

— To śmieszne. Znam człowieka. Dla mnie on jest w porządku.

— Kiedy go widziałeś ostatni raz? Co wiesz o jego życiu, o jego poglądach?

— Zapomnij o tym. To niemożliwe. — Carter mieszał kawę z wyraźnym niepokojem.

— W porządku — rzeki Reid. — Po prostu głośno myślałem.

— Wciąż są w opłucnej? — spytał Carter.

— Tak!

Carter popatrzył na zegar kontrolny, który pokazywał 32, i sfrustrowany potrząsnął głową.

Grant miał przed sobą rozłożone na części radio. Cora przeglądała tranzystory i obracając je, niemal prześwietlała je wzrokiem.

— Ten będzie się nadawał— powiedziała niezdecydowanie — ale drut jest o wiele za gruby.

Duval umieścił drut na oświetlonym szkle opałowym, a obok położył fragment oryginalnego drutu, porównując je posępnym wzrokiem.

— Nie ma bardziej odpowiedniego — powiedział Grant. — Będziecie musieli go dopasować.

— Łatwo powiedzieć — rzekła Cora. — Mnie możesz rozkazywać, ale nie drutowi. Nie będzie pracował, bez względu na to, jak srogo na niego wrzańiesz.

— Dobrze już, dobrze — Grant zastanawiał się, ale nic nie wymyślił. — Czekajcie no. Przy odrobinie szczęścia może potrafię oskrobać go tak, żeby był dostatecznie cienki. Panno Peterson, proszę podać mi skalpel numer jedenaście — powiedział Duval.

Umieścił drut z aparatu Granta w dwóch małych imadelkach i zawiesił szkło powiększające. Wyciągnął rękę po skalpel, który Cora włożyła mu w dłoń i powoli zaczął skrobać. Nie podnosząc wzroku, powiedział:

— Niech pan będzie tak dobry i zajmie swoje miejsce, Grant. Nie pomaga mi pan, sapiąc nad uchem.

Grant zachnął się. Napotkał błagalne spojrzenie Cory. Nie powiedział nic, tylko wycofał się na swój fotel. Michaels w swym fotelu powitał go bez humoru.

— Chirurg przy pracy — powiedział. — Ma w ręku skalpel, jego temperament znalazł ujście. Niech pan nie marnuje czasu, złoścąc się na niego.

— Nie złoścę się na niego — odrzekł Grant.

— Oczywiście, że się pan złości, chyba że jest pan gotów oznajmić mi, że przestał pan być człowiekiem. Duval posiada dar, dar dany przez Boga, zrażania sobie ludzi za pomocą jednego słowa, spojrzenia, gestu. A jeśli to nie wystarcza, jest jeszcze ta młoda dama.

Grant odwrócił się do Michaela z wyraźnym zniecierpliwieniem.

— Co z tą młodą damą?

— Daj pan spokój, Grant. Chce pan wykładu o chłopcach i dziewczętach?

Grant zmarszczył brwi i odwrócił się. Michaels powiedział cicho, ze smutkiem:

— Ma pan dylemat, prawda?

— Jaki dylemat?

— Jest miłą dziewczyną, bardzo ładną. A pan jest osobnikiem zawodowo podejrzliwym.

— No i co?

— No i co! Co się stało z laserem? Czy to był przypadek?

— Mógł być.

— Tak, mógł być. — Michaels zniżył głos do szeptu. — Ale czy był?

Grant odpowiedział szeptem, rzuciwszy przez ramię szybkie spojrzenie:

— Pan oskarża pannę Peterson o sabotowanie misji?

— Ja? Oczywiście, że nie. Nie mam żadnego dowodu. Ale podejrzewam, że pan ją w duchu oskarża i robi pan to bardzo niechętnie. Stąd dylemat.

— Dlaczego panna Peterson?

— A dlaczego nie? Jeśli by ją widziano, jak majstruje przy laserze, nikt nie zwróciłby większej uwagi. To jej działka. A gdyby myślała o sabotażu, najprościej byłoby uszkodzić laser.

— Co automatycznie rzuciłoby na nią podejrzenie — powiedział Grant ze złością.

— Rozumiem. Jest pan zły.

— Słuchaj pan — rzekł Grant. — Wszyscy jesteśmy na jednym małym okręcie i może się wydawać, że każde z nas jest pod ścisłą i stałą obserwacją innych, lecz tak nie jest. Byliśmy wszyscy tak zaabsorbowani tym, co działo się na zewnątrz, że każdy mógł wycofać się do części magazynowej, zrobić z laserem wszystko i uczynić to niepostrzeżenie. Mógł to zrobić pan albo ja. Nie widziałbym pana. Pan nie widziałby mnie.

— Albo Duvala?

— Albo Duvala. Nie eliminuję go. Ale mógł to być zwykły przypadek.

— A pańska lina ratownicza? To też przypadek?

— Sugeruje pan coś innego?

— Nie, nie. Ale chcę zwrócić pana uwagę na parę rzeczy.

— Nie jestem w nastroju, ale tak czy owak niech pan mówi.

— To Duval był tym, który zaczepił pańską linę.

— Najwidoczniej zrobił kiepski węzeł — powiedział Grant. — Naprężenie liny było znaczne.

Znaczne.

— Chirurg powinien potrafić wiązać węzły.

— To nonsens. Węzły chirurgiczne to nie węzły marynarskie.

— Być może. Z drugiej strony, węzeł mógł być rozmyślnie tak zawiązany, żeby się rozluźnił.

Grant skinął głową.

— W porządku. W tym czasie uwagę wszystkich zaprzętało to, co się działo w pobliżu. Pan lub Duval, lub panna Peterson, mogliście szybko cofnąć się do statku, rozluźnić węzeł i niepostrzeżenie wrócić. Sądzę, że nawet Owens mógł w tym celu opuścić okręt.

— Tak, ale Duval miał najlepszą okazję. Chwilę przedtem, zanim zerwała się lina, on wrócił do statku, niosąc chrapy. Powiedział, że lina odwiązała się na jego oczach. Z jego słów wiemy, że był na właściwym miejscu, o właściwym czasie.

— A mimo to mógł to być przypadek. Jaki miałby motyw? Laser już był uszkodzony i wszystko, co Duval mógłby osiągnąć odwiązując linę, to wystawić mnie na niebezpieczeństwo. Jeżeli dla niego misja była skończona, czemu chciał mnie ratować?

— Och, Grant! Och, Grant! — Michaels uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Dobra, gadaj pan.

— Przypuśćmy, że to młoda dama zajęła się laserem. I przypuśćmy, że Duval interesował się szczególnie panem. Przypuśćmy, że chciał się pana pozbyć ze szkodą dla misji.

Grant wytrzeszczył oczy. Michaels ciągnął dalej:

— Być może Duval nie poświęca się bez reszty swojej pracy, może zauważył zainteresowanie swojej asystentki pańską osobą. Jest pan przystojnym, młodym człowiekiem, Grant. Gdy wpadliśmy w wir, uratował ją pan od poważnych obrażeń, może nawet ocalił jej pan życie. Duval widział to i widział jej reakcję.

— Nie było żadnej reakcji. Ona się mną nie interesuje.

— Obserwowałem ją, kiedy zgubił się pan w pęcherzu płucnym. Była szalenie zdenerwowana. To, co rzucało się w oczy każdemu, mogło dużo wcześniej stać się jasne dla Duvala. Ona czuje dla pana sympatię. To może być powodem, dla którego chciał pana zniszczyć.

Grant zagryzł w zamyśleniu dolną wargę, po czym rzekł:

— No dobrze. A utrata powietrza? Czy to też przypadek?

— Nie wiem. Podejrzewam, że zasugeruje pan, iż Owens mógł być za to odpowiedzialny — powiedział Michaels, wzruszając ramionami.

— Mógł być. Zna okręt. Zaprojektował go. Najlepiej potrafi posługiwać się sterami. I tylko on sprawdził, co jest nie w porządku.

— Wie pan, że to racja. Racja!

— A jeśli już o to chodzi — ciągnął Grant z narastającą złością — co z przetoką tętniczo-żylną? Czy to był przypadek, czy wiedział pan, że ona tam jest?

Michaels wyprostował się w swym fotelu. Miał zakłopotaną minę.

— Dobry Boże, nie pomyślałem o tym. Daję panu słowo, Grant, siedziałem tutaj i myślałem, że nie wydarzyło się nic takiego, co mogłoby wskazywać specjalnie na mnie. Zdawałem sobie sprawę, iż można twierdzić, że to ja chytrze uszkodziłem laser lub odwiązałem linę albo zablokowałem zawór komory powietrznej, kiedy nikt nie patrzył. Ale w każdym przypadku istnieje dużo większe prawdopodobieństwo, że zrobił to ktoś inny. W sprawie przetoki, przyznaję, nie mógł to być nikt inny, tylko ja.

— No właśnie.

— Z tym zastrzeżeniem, oczywiście, że nie wiedziałem o istnieniu tej przetoki. Ale nie mogę tego udowodnić, prawda?

— Prawda.

— Czytuje pan kryminały, Grant? — zapytał Michaels.

— Kiedy byłem młodszy. Przeczytałem niemało. Teraz...

— Pański zawód psuje całą zabawę. Tak, doskonale mogę to sobie wyobrazić. Ale wie pan, w kryminałach to jest takie proste. Ledwie uchwytne trop wskazuje na jedną i tylko jedną osobę. Detektyw to widzi, chociaż nie widzi tego nikt inny. W prawdziwym życiu ślady wiodą wszędzie.

— Lub donikąd — powiedział Grant z naciskiem. — Mogliśmy mieć do czynienia z serią przypadków i pechów.

— Mogliśmy — przyznał Michaels.

Nie zabrzmiało to przekonywająco. Żaden nie wyglądał na przekonanego.

ROZDZIAŁ 14

NACZYNIĘ LIMFATYCZNE

Z kopuły rozległ się głos Owensa:

— Doktorze Michaels, niech pan spojrzysz przed siebie. Czy tu mam skręcić?

Poculi, że „Proteusz” zwalnia.

— Za dużo gadania — mruknął Michaels. — Powinienem być pilnować.

Bezpośrednio przed nimi był otwarty na końcach! kanał. Jego cienkie ściany były chropowate, ginące w oddali. Otwór był zaledwie wielkości „Proteusza”.

— Dostyc dobry! — zawołał Michaels. — Niech pan do niego skręci!

Cora porzuciła warsztat, żeby ze zdumieniem spoglądać naprzód. Duval został na miejscu, pracując z niezmordowaną cierpliwością.

— To naczynie limfatyczne — powiedziała Cora. Wpłynęli do środka i otoczyły ich ściany nie grubsze od ścian kapilary. Jak w kapilarze, ściany były zbudowane z komórek w kształcie płaskich wieloboków, z których każdy posiadał w środku zaokrąglone jądro. Płyn, przez który płynęli, był podobny do płynu w jamie opłucnowej. Skrzył się żółtawo w świetle reflektorów „Proteusza” i nadawał żółty odcień komórkom. Jądra były w kolorze prawie pomarańczowym.

— Wyglądają zupełnie jak sadzone jaja! — Powiedział Grant, po czym spytał: — Co to są naczynia limfatyczne?

— To jakby pomocniczy układ krążenia — rzekła Cora ochoczo. — Płyn jest wypychany z bardzo drobnych kapilar i gromadzi się w pewnych obszarach ciała i w przestrzeniach międzykomórkowych. Jest to płyn śródmiąższowy. Stamtąd odprowadzany jest do drobnutkich kanalików, czyli naczyń limfatycznych, które są na końcach otwarte, jak właśnie teraz widziałeś. Te kanaliki łączą się stopniowo w coraz większe kanały, aż do największych, które są wielkości żył. Cała limfa...

— To ten płyn wokół nas? — spytał Grant.

— Tak. Cała limfa jest zbierana do największego ze wszystkich naczyń limfatycznych, kanału piersiowego, który prowadzi do żyły podobojczykowej w górnej części klatki piersiowej. W ten sposób limfa wraca do głównego układu krążenia.

— A dlaczego wpłynęliśmy do naczynia limfatycznego?

Michaels opadł na oparcie fotela. Kurs był prawidłowy.

— No cóż — wtrącił — to całkiem spokojne wody. Pompujące serce nie ma na nie wpływu. Płyn porusza się wskutek działania ciśnień i napięć mięśniowych, a tego właśnie teraz Benes nie ma wiele. Mamy zapewnioną spokojną podróż do mózgu.

— Dlaczego na początku nie wpłynęliśmy do naczyń limfatycznych?

— Są za małe. Tętnica jest lepszym celem dla strzykawki i spodziewano się, że prąd w tętnicy zanieś nas na miejsce w ciągu kilku minut. To nie zostało zrealizowane. Powrót z tego miejsca do tętnicy spowodowałby straszne opóźnienie. Poza tym, gdybyśmy weszli teraz do tętnic odebraliśmy bombardowanie, jakiego statek mógłby, nie wytrzymać. — Rozpostarł nowy zestaw map i zawołał: — Owens, śledzi pan mapę 72-D?

— Tak, doktorze Michaels.

— Niech się pan upewni, czy podążamy trasą, jaką zaznaczyłem. Ona wiedzie przez najmniejszą liczbę węzłów.

Grant spytał:

— Co to jest, tam w górze, przed nami? Michaels podniósł wzrok i zamarł.

— Zmniejszyć szybkość — krzyknął.

„Proteusz” zwolnił energicznie. Przez jedną część ściany rozszerzającego się kanału wysuwała się bezkształtna masa, mleczna, ziarnista, przerażająca. Kiedy na nią patrzyli, skurczyła się i znikła.

— Ruszamy dalej — powiedział Michaels i zwrócił się do Granta — bałem się, że to białe ciało może się zbliżyć, ale ono, na szczęście, odchodziło. Niektóre białe ciała formują się w węzłach limfatycznych, które są ważną zaporą przeciw chorobom. Wytwarzają nie tylko białe ciała, lecz także przeciwciała.

— A co to są przeciwciała?

— Cząsteczki proteinowe, które posiadają zdolność do specyficznego łączenia się z różnymi substancjami z zewnątrz atakującymi organizm, jak zarazki, toksyny, obce ciała.

— I my?

— I my, jak przypuszczam, w odpowiednich okolicznościach.

— Bakterie są zatrzymywane w węzłach, które służą jako teren walki między nimi a białymi ciałami — wtrąciła Cora. — Węzły nabrzmiwają i zaczynają boleć. Wiesz, dzieci często mają powiększone węzły pod pachami.

— A są to w rzeczywistości nabrzmięte węzły limfatyczne.

— Właśnie.

— Zdaje się, że lepiej trzymać się z dala od nich — powiedział Grant.

— Jesteśmy mali — rzekł Michaels. — System przeciwciał Benesa nie jest na nas uczulony. Musimy przejść tylko przez jeden szereg węzłów. Potem wszystko pójdzie gładko. Oczywiście, ryzyko istnieje, lecz ryzykiem jest wszystko, co teraz robimy. Czy — zapytał wyzywająco — ma pan może zamiar podjąć decyzję i rozkazać mi opuścić układ limfatyczny?

Grant potrząsnął głową.

— Nie. Chyba że ktoś ma lepszą propozycję.

— Oto jest — powiedział Michaels, lekko szturchając Granta. — Widzi pan?

— Ten cień w górze przed nami?

— Tak. To naczynie limfatyczne jest jednym z kilku wchodzących do węzła, który jest gąbczastą masą błon i krętych korytarzy. To miejsce jest pełne limfocytów...

— A co to takiego?

— Jeden z typów białych ciałek. Nie będą sobie zawracać nami głowy, mam nadzieję. Wszystkie bakterie z układu krążenia trafiają do węzła limfatycznego. Nie mogą poradzić sobie z tymi wąskimi, krętymi kanałami...

— A my możemy?

— My poruszamy się w sposób przemyślany, Grant, i mamy w zasięgu wzroku koniec, natomiast bakterie płyną na ślepo. Mam nadzieję, że dostrzeżę pan różnice. Raz schwytana w pułapkę w węźle bakteria jest niszczona przez przeciwciała lub, jeśli się to nie uda, przez zmobilizowane do boju białe ciała.

Cień był teraz głęboki. Złote zabarwienie limfy ciemniało i mętniało. Odnieśli wrażenie, że przed nimi w górze, znajduje się ściana.

— Trzyma się pan kursu, Owens? — zawołał Michaels.

— Tak, ale mogę popełnić błąd w tym gąszczu.

— Nawet gdyby, to niech pan pamięta, że zmierzamy ku górze. Proszę utrzymywać wskazówkę grawitometru w tej pozycji to nie zrobi pan błędu.

„Proteusz” wykonał ostry zakręt i nagle wszystko stało się szare. Zdawało się, że reflektory dziobowe nie wyłapują niczego poza cieniami głębszej lub jaśniejszej szarości. Od czasu do czasu trafiała się mała pałeczka, krótsza i węższa niż statek, i zbitki kulistych obiektów, całkiem małe, o zamazanych konturach.

— Bakterie — mruknął Michaels. — Widzę je zbyt szczegółowo, żeby rozpoznać, jakiego są gatunku. Czy to nie dziwne? Zbyt szczegółowo!

„Proteusz” poruszał się teraz wolniej, płynąc przez liczne łagodne zakola kanału. Duval podszedł do drzwi pracowni.

— Co się dzieje? Nie mogę pracować, okręt nie trzyma równego kursu. Już ruchy Browna przeszkadzają mi.

— Przykro mi, doktorze — powiedział Michaels zimno. — Przechodzimy przez węzeł limfatyczny. Robimy to najlepiej, jak możemy,

Duval odwrócił się z gniewną miną. Grant zerknął do przodu.

— Tam w górze robi się bałagan, doktorze Michaels. Co to za paskudztwo? Wygląda jak wodorosty czy coś w tym rodzaju?

— Włókna siateczkowate — odparł Michaels.

— Doktorze Michaels — odezwał się Owens.

— Tak?

— To włókniste świństwo gęstnieje. Nie dam rady wymanewrować, nie wyrządzając żadnej szkody.

Michaels popatrzył z namysłem.

— Niech się pan o to nie martwi. Jakąkolwiek zrobimy szkodę, będzie minimalna.

Zbitek włókien oderwał się, gdy „Proteusz” uderzył w niego dziobem, przesunął się i ześlizgnął po oknie. Po chwili zniknął gdzieś z boku. Coraz częściej uderzali w włókna siateczkowate.

— Wszystko w porządku, Owens — powiedział Michaels pocieszająco. — Organizm bez trudu może naprawić podobne szkody.

— Nie martwię się o Benesa — zawołał Owens — martwię się o okręt. Jeśli to paskudztwo pozatyka dysze, silnik się przegrzeje. To przyczepia się do nas. Słyszycie różnicę w dźwięku silnika?

Grant nie słyszał. Skierował uwagę na to, co działo się na zewnątrz. Statek płynął teraz przez las wici. Kasztanowate w świetle reflektorów, połyskiwały jakby groziły.

— Wkrótce przebijemy się przez to — powiedział Michaels. W jego głosie zadźwięczała wyraźna nut niepokoju.

Droga odrobinę oczyściła się i teraz Grant słyszał różnicę w dźwięku silników. Nasilające się chrypienie, jak gdyby echo bąbelków gazów, wydostających się przez dysze było tłumione i dławione.

— Przeszkoda na kursie! — zawołał Owens.

Nastąpiła kolizja pałeczki bakteryjnej z okrętem. Ciało bakterii wygięło się na krzywiźnie dziobu, wróciło do poprzedniego kształtu i odskoczyło, zostawiając po sobie rozmaz, który zmył się z wolna. Przed nimi były inne bakterie.

— Co się dzieje? — spytał Grant zdumiony.

— Myślę — odrzekł Michaels — myślę, że jesteśmy świadkami reakcji przeciwciał na bakterie. Białe ciała nie biorą w tym udziału. Niech pan patrzy! Niech pani obserwuje ścianki bakterii. Słabo odbijają zminiaturyzowane światło. Widzi pan?

— Nie, obawiam się, że nie.

— Ja także nic nie widzę — rozległ się głos Duvala.

Grant odwrócił się.

— Drut przystosowany, doktorze?

— Jeszcze nie — powiedział Duval. — Nie mogę pracować w takich warunkach. To musi poczekać. Co z tymi przeciwciałami?

— Dopóki pan nie pracuje, gasimy światła wewnątrz okrętu, Owens! — odrzekł Michaels.

Światła pogasły. Poświata z zewnątrz, upiorne, szaro-kasztanowate migotanie rzucało na wszystkie twarze złowrogi cień.

— Co się dzieje na zewnątrz? — spytała Cora.

— Właśnie staram się to wyjaśnić — powiedział Michaels. — Obserwujcie brzegi bakterii przed nami.

Grant zmrużył oczy. Światło pulsowało nierównomiernie.

Ma pan na myśli te małe obiekty, które wyglądają jak BB?

— Właśnie. To są cząsteczki przeciwciał. Proteiny, dość duże, więc je w naszej skali widzimy. Jedna jest w pobliżu. Patrzcie!

Jedno z małych przeciwciał przeturlało się obok okna. Z bliska robiło wrażenie mikroskopijnej płataniny spaghetti, o niewyraźnym, kulistym kształcie. Tu i tam wystawały cieniutkie niteczki, dostrzegalne tylko jako delikatne błyski światła.

— Co one robią? — spytał Grant.

— Każda bakteria posiada charakterystyczną ścianę komórkową, utworzoną ze specyficznych ugrupowań atomów poszczepianych w szczególny sposób. Dla nas te ściany wyglądają na gładkie i pozbawione cech charakterystycznych, lecz gdybyśmy byli jeszcze mniejsi, na skalę cząsteczkową zamiast bakteryjnej, widzielibyśmy, że każda ściana posiada wzór mozaikowy i że ta mozaika u każdego gatunku bakterii jest inna. Przeciwciała potrafią dopasować się do tej mozaiki i kiedy pokryją najważniejsze części ściany, komórka bakteryjna ginie. To tak, jakby zatkać człowiekowi nos

i usta i dusić go.

— Widać, jak się gromadzą — rzekła Cora poruszona. — Jakie... jakie to straszne...

— Żal pani bakterii, Coro? — uśmiechnął się Michaels.

— Nie, ale te przeciwciała sprawiają wrażenie tak okrutnych. I sposób w jaki rzucają się na zdobycz...

— Niech im pani nie przypisuje ludzkich emocji — powiedział Michaels. — To są tylko cząsteczki poruszające się na oślep. Siły międzyatomowe przyciągają je do tych części ściany, do których one pasują i przytrzymują je tam. W analogiczny sposób magnes przylega do sztaby żelaza. Czy powiedziała pani, że magnes złośliwie atakuje żelazo?

Grant patrzył z ciekawością. Bakteria, posuwając się na oślep przez chmurę wiercących się przeciwciał, zdawała się je przywabiać, przyciągać do siebie. W parę chwil pokryła się nimi i stała się puszysta. Przeciwciała ustawiały się szeregami kolejno przy wszystkich jej bokach, a ich podobne do spaghetti niteczki plątały się.

— Niektóre przeciwciała sprawiają wrażenie obojętnych — powiedział Grant. — Nie dotykają bakterii.

— Przeciwciała są wyspecjalizowane — rzekł Michaels. — Każde z nich ma za zadanie dopasować się do mozaiki określonego rodzaju bakterii lub określonej cząsteczki białka. Większość tych przeciwciał, chociaż nie wszystkie, dopasowuje się do otaczających nas bakterii. Obecność określonych bakterii pobudziła szybkie utworzenie się określonego rodzaju przeciwciał. W jaki sposób taka stymulacja następuje, jeszcze nie wiemy.

— Dobry Boże! — krzyknął Duval. — Spójrzcie na to! Jedna z bakterii była otoczona przez przeciwciała, które naśladowały każdą jej nieregularność, tak że wyglądała dokładnie tak sarno jak przedtem, z wyjątkiem puszystej otoczki.

— Pasuje doskonale — powiedziała Cora.

— Nie, to nie to. Nie widzi pani, że wiązania międzycząsteczkowe w cząsteczkach przeciwciał wytwarzają rodzaj ciśnienia, działającego na bakterię? Nigdy nie było tego wyraźnie widać, nawet w mikroskopie elektronowym, który pokazuje nam tylko martwe obiekty.

Cisza zapadła wśród załogi „Proteusza”, kiedy mijał powoli bakterię. Warstwa przeciwciał zdawała się sztywnieć i zacieśniać, a bakteria wewnątrz wiała się i skręcała. Warstwa przeciwciał sztywniała i zaciskała się coraz bardziej. Zdawało się, że bakteria wygina się i poddaje. Przeciwciała zbliżały się do siebie. To, co było dotąd pałeczką, stało się niczym nie wyróżniającym się, jajowatym tworem.

— One zabiły tę bakterię. Dosłownie zadusiły ją — powiedziała Cora z odrazą.

— Godne uwagi — wymruczał Duval. — Cóż za broń mamy do zbadania.

— Jest pan pewien, że nic nam nie grozi ze strony przeciwciał? — spytał Grant.

— Tak się wydaje — odrzekł Michaels. — Nie jesteśmy groźni dla organizmu.

— Jest pan pewien? Mam wrażenie, że one mogą dopasować się do jakiegokolwiek kształtu, jeśli nastąpi odpowiednia stymulacja.

— Przypuszczam, że ma pan rację. Najwyraźniej my ich nie stymulujemy,

— Przed nami więcej włókien, doktorze Michaels! Jesteśmy całkiem powleczeni tym paskudztwem. Redukują naszą prędkość — zawołał Owens.

— Jesteśmy prawie poza węzłem, Owens — odrzekł Michaels.

Od czasu do czasu jakaś wijąca się bakteria z trzaskiem uderzała o statek, który dygotał, ale bitwa już wygasła, bakterie zostały zwyciężone. „Proteusz” torował sobie drogę, przedzierając się przez włókna.

— Prosto naprzód — powiedział Michaels. — Jeszcze jeden zakręt w lewo i jesteśmy przy odprowadzającym naczyniu limfatycznym.

— Wlecemy ze sobą te włókna — rzekł Owens. — „Proteusz” wygląda jak kudłaty pies.

— Ile jeszcze węzłów limfatycznych będzie po drodze do mózgu? — spytał Grant.

— Jeszcze trzy. Być może jeden da się ominąć. Nie jestem pewien.

— Nie możemy tego zrobić. Tracimy zbyt wiele czasu. Nie będziemy przebijać się jeszcze przez trzy takie jak ten. Czy jest jakaś inna droga?

Michaels potrząsnął głową.

— Nie ma żadnej, która nie stworzyłaby większych problemów niż te, które mamy teraz. Przebijemy się przez węzły. Włókna się zmyją. Jeżeli nie będziemy się zatrzymywać, żeby popatrzeć na działania wojenne bakterii, możemy płynąć szybciej.

— I następnym razem — rzekł Grant, marszcząc brwi — napotkamy bitwę z udziałem białych ciałek.

Duval podszedł do map Michaelsa i spytał:

— Gdzie jesteśmy, Michaels?

— Dokładnie tu — odrzekł zapytany, pilnie przyglądając się chirurgowi.

— Pozwólcie, niech się zorientuję. Jesteśmy teraz w szyi, czy tak? — zapytał Duval po chwili namysłu.

— Tak.

Grant pomyślał: w szyi? Dokładnie tam, skąd wystartowali. Spojrzał na zegar kontrolny. Pokazywał on 28. Minęło więcej niż połowa czasu, a oni byli w punkcie wyjścia.

Duval powiedział:

— Czy nie możemy ominąć wszystkich węzłów i pójść na skróty? Jeżeli skręcimy gdzieś w tej okolicy i potem prosto do ucha wewnętrznego? Stamtąd do skrzepu to już fraszka.

Michaels tak zmarszczył czoło, że wyglądało jak tarcza do prania i westchnął.

— Na mapie to wygląda wspaniale. Szybko wykreśla się kurs i już się jest u celu. Ale czy pan pomyślał, co oznacza przejście przez ucho wewnętrzne?

— Nie, a co? — spytał Duval.

— Ucho, mój drogi doktorze, chyba nie muszę panu mówić, jest urządzeniem do koncentracji i wzmacniania fal dźwiękowych. Najlżejszy dźwięk, najlżejszy dźwięk z zewnątrz, spowoduje intensywne wibracje. W naszej zminiaturyzowanej skali te wibracje będą dla nas śmiertelne.

Duval zamyślił się głęboko.

— Tak, rozumiem.

— Czy ucho wewnętrzne zawsze wibruje? — zapytał Grant.

— Chyba że jest cisza, bez żadnego dźwięku powyżej progu słyszalności. Nawet wtedy, w naszej skali, prawdopodobnie będziemy odczuwać delikatne ruchy.

— Gorsze niż ruchy Browna?

— Być może nie.

— Dźwięk musi przyjść z zewnątrz, prawda? — powiedział Grant. — Gdy będziemy przechodzić przez ucho wewnętrzne warkot silnika okrętu czy dźwięk naszych głosów nie podziała na nie, prawda?

— Nie, jestem pewien, że nie podziała. Ucho wewnętrzne nie jest nastawione na nasze miniaturowe wibracje.

— Cóż, w takim razie, jeżeli ludzie na zewnątrz, tam, w sali szpitalnej zachowają kompletną ciszę...

— W jaki sposób im to nakażemy? — zapytał Michaels. Po czym brutalnie dodał: — Pan zdemontował radio, nie możemy się z nimi skontaktować.

— Ale oni nas śledzą. Stwierdzą, że zmierzamy do ucha wewnętrznego. Zrozumieją, że cisza jest konieczna.

— Zrozumieją?

— A nie? — spytał Grant niecierpliwie. — Większość z nich to medycy. Muszą rozumieć takie sprawy.

— Chce pan podjąć takie ryzyko?

Grant rozejrzał się dookoła.

— Co reszta o tym sądzi?

Owens rzekł:

— Podążę każdym kursem, jaki zostanie mi wyznaczony, ale nie mam zamiaru wyznaczać go sam.

— Nie jestem pewien — powiedział Duval.

— A ja jestem pewien. Jestem przeciw — odpowiedział Michaels.

Grant szybko spojrział na Corę, która siedziała w milczeniu.

— W porządku — powiedział. — Odpowiedzialność biorę na siebie. Kierujemy się do ucha wewnętrznego. Niech pan wykreśli kurs, Michaels.

— Proszę posłuchać... — zaczął Michaels z wahaniem.

— Decyzja została podjęta, Michaels. Niech pan wyznaczy kurs.

Michaels zaczerwienił się, wzruszył ramionami.

— Owens — powiedział zimno — będziemy musieli wykonać ostry skręt w lewo, w punkcie, który teraz pokazuję...

ROZDZIAŁ 15

UCHO

Carter z roztargnieniem podniósł filiżankę kawy. Krople płynu spadły na jego nogawkę. Zauważył to, ale nie zareagował.

— Co masz na myśli, mówiąc, że zmienili kierunek?

— Spędzili zbyt wiele czasu w węźle limfatycznym i nie chcieli już przechodzić przez inne — powiedział Reid.

— W porządku. Dokąd płyną?

— Nie jestem jeszcze stuprocentowo pewny, lecz zdaje się, że kierują się do ucha wewnętrznego. Nie wiem, czy to dobrze.

Carter odstawił filiżankę i odepchnął ją na bok. Nie doniósł jej nawet do ust.

— Czemu nie? — rzucił szybkie spojrzenie na —zegar kontrolny. Widniało na nim 27.

— To będzie trudne. Będziemy musieli wystrzegać się jakichkolwiek dźwięków.

— Dlaczego?

— Możesz to sobie wyobrazić, prawda Al? Ucho reaguje na dźwięk. Ślimak wibruje. Jeśli „Proteusz” znajdzie się gdzieś w jego pobliżu, będzie wibrować. Wibracja zniszczy go.

Carter pochylił się w swym fotelu. Wpatrywał się w spokojną twarz Reida.

— Po jakiego diabła płyną tamtędy?

— Sądzę, że uważają, że jest to jedyna trasa, która szybko zaprowadzi ich do celu, albo zwariowali. Nie sposób porozumieć się z nimi odkąd zniszczyli radio.

— Czy już tam są? — spytał Carter. — To znaczy, w uchu wewnętrznym?

Reid pstryknął przełącznikiem i szybko zadał pytanie. Odwrócił się.

— Są tuż, tuż.

— Czy ci ludzie tam, na dole, w sali operacyjnej, rozumieją, że musi być cisza?

— Przypuszczam, że tak.

— Przypuszczasz. Musimy mieć pewność.

— Nie będą w uchu długo.

— Będą w nim dostatecznie długo. Słuchaj, powiedz tym ludziom na dole... nie, za późno, żeby ryzykować. Daj mi kawałek papieru i zwołaj kogoś. Kogokolwiek.

Uzbrojony człowiek z ochrony wszedł i oddał honory. Carter nie odpowiedział na pozdrowienie. Nagryzmolił na kartce z bloku listowego: CISZA! ABSOLUTNA CISZA, DOPÓKI „PROTEUSZ” JEST W UCHU.

— Weź to — rzekł do żołnierza. — Idź na dół do sali operacyjnej i pokaż każdemu. Upewnij się, czy on na to patrzy. Jeśli zrobisz jakkolwiek hałas, zabiję cię. Jeśli powiesz jedno słowo, wypatroszę cię. Rozumiesz?

— Tak, sir — odrzekł. Wyglądał na zmieszanego i przestraszonego.

— Dalej. Spiesz się. Do cholery, zdejmij buty!

— Sir?

— Zdejmij buty. Wejdź do sali w skarpetkach.

Czekali w wieży obserwacyjnej, licząc nie kończące się sekundy, aż żołnierz w skarpetkach pojawi się w sali operacyjnej. Przechodził od lekarza do pielęgniarki, od pielęgniarki do lekarza, trzymając w górze kartkę i wskazując kciukiem w stronę wieży kontrolnej. Wszyscy po kolei ponuro kiwali głowami. Nikt się nie poruszył. Stali jak zaczarowani.

— Zrozumieli — powiedział Reid. — Nawet bez instrukcji.

— Gratuluję im — odrzekł Carter z pasją. — Teraz słuchaj, skontaktuj się z tymi facetami przy urządzeniach kontrolnych. Nie mogą się odzywać żadne brzęczyki, żadne dzwonki, żadne gongi, nic. I żadnych błyskających światełek. Nie chcę, żeby się ktoś przestraszył, choćby na j tyle, by chrząknąć.

— Przejdą przez ucho w kilka sekund.

— Może tak — powiedział Carter — a może nie. Zwiewaj.

Reid wyszedł.

„Proteusz” wpłynął w rozległy obszar czystego płynu. Z wyjątkiem kilku przemykających obok przeciwciał nie było widać w blasku dziobowych światła torujących sobie drogę przez żółto zabarwioną Przytłumiony dźwięk poniżej progu słyszalności otarł o statek, jakby przesunął się po tarze od prani?.. Potem znowu. I znowu. Michaels zawołał:

— Owens, wyłącz pan światła w kabinie, dobra? Na zewnątrz zrobiło się klarowniej.

— Widzicie to? — spytał Michaels.

Pozostali wytrzeszczyli oczy. Grant w ogóle niczego nie zobaczył.

— Jesteśmy w przewodzie ślimakowym — rzekł Michaels — wewnątrz małej, spiralnej rurki, która sprawia, że słyszymy. To sprawia, że Benes słyszy. Pod wpływem dźwięku wibruje na różne sposoby. Widzicie?

Teraz Grant zobaczył. Było to niemal jak cień w płynie. Wielki, płaski cień przemykający obok nich.

— To fala dźwiękowa — powiedział Michaels. — Przynajmniej tak się mówi. Fala kompresji, którą w jakiś sposób dostrzegamy w naszym zminiaturyzowanym świetle.

— Czy to znaczy, że ktoś rozmawia? — spytała Cora.

— Ach, nie. Gdyby ktoś rozmawiał lub wytwarzał jakiś rzeczywisty dźwięk, ta fala byłaby ciężka tak jak fala, którą wywołało gwałtowne tornado. Nawet w absolutnej ciszy wychwytuje dźwięki, takie jak odległy, głuchy głos bicia serca, szum krwi przepływającej przez drobne żyłki i tętniczki ucha i tak dalej. Czy nigdy nie przykładaliście do ucha muszli, by posłuchać szumu oceanu? To, czego słuchaliście, to był przede wszystkim spotęgowany szum waszego własnego oceanu, krwiobiegu.

— Czy to niebezpieczne? — spytał Grant.

Michaels wzruszył ramionami.

— Nie będzie gorzej niż teraz, o ile nikt nie rozmawiał.

Duval w pracowni pochylał się nad laserem.

— Dlaczego zwalniamy? Owens! — spytał.

— Coś nie w porządku — odrzekł Owens. — Silnik się zapycha, nie wiem dlaczego.

Gdy „Proteusz” osiadał niżej w przewodzie, narastało powoli wrażenie, że znajdują się w jadącej w dół windzie. Z lekkim zgrzytem uderzyli o dno. Duval odłożył skalpel.

— Co znowu?

Owens powiedział z niepokojem:

— Silnik się przegrzewa, musiałem go zatrzymać. Myślę...

— Co?

— To muszą być te siateczkowate włókna. Te przekłete wodorosty. Musiały zablokować otwory wlotowe. Inny powód nie przychodzi mi do głowy.

— Może pan je przedmuchać? — spytał Grant z napięciem.

Owens potrząsnął głową.

— Nie da rady. To są przewody wlotowe. Zasysają do wewnątrz.

— Wobec tego można zrobić tylko jedno — dział Grant. — Trzeba je przeczyścić od zewnątrz, oznacza jeszcze jedno nurkowanie.

Zmarszczył brwi i zaczął wbijać się w skafander do nurkowania. Cora niespokojnie wyglądała przez szybę.

— Tam na zewnątrz są przeciwciała — powiedziała.

— Niewiele — odrzekł krótko Grant.

— Ale jeśli zaatakują?

— Niepodobna — powiedział Michaels uspokajająco. — Nie są wyczulone na ludzki kształt. I dopóki nie się żadnej szkody tkankom, przeciwciała prawdopodobnie pozostaną bierne.

— Widzisz? — spytał Grant, lecz Cora potrząsnęła głową.

Duval, który przysłuchiwał się przez chwilę, pochylił się, by spojrzeć na drut, który skrobał, troskliwie dopasowując go do oryginału, obracając go powoli w rękę, próbował ocenić, czy przekrój jest już odpowiedni. Grant wyskoczył przez właz na zewnątrz, lądując na miękkiej, elastycznej jak guma dolnej ścianie przewodu ślimakowego. Ze smutkiem spojrzął na okręt, który sprawiał wrażenie kudłatego. Dotarł do dziobu statku, Owens miał słuszość. Zawory wlotowe były zapchane włóknami. Grant złapał włókna oburącz i pociągnął. Wyszły z trudem, wiele zerwało się przy powierzchni filtrów. W hełmofonie usłyszał głos Michaelsa.

— Jak tam?

— Kiepsko — odrzekł Grant.

— Ile czasu to panu zabierze? Na zegarze kontrolnym mamy 26.

— Sporą chwilę. — Grant szarpnął desperacko. Lepkość limfy zwalniała jego ruchy, a spoiste włókna opierały się.

Cora spytała z napięciem:

— Czy nie byłoby lepiej, gdyby ktoś z nas poszedł mu pomóc?

— No, cóż, teraz... — zaczął Michaels z powątpiewaniem.

— Ja pójdę — złapała swój ekwipunek.

— W porządku — powiedział Michaels. — Ja pójdę. Owens niech zostanie przy sterach.

— Ja też lepiej zostanę — rzekł Duval. — Już prawie dopasowałem drut.

— Oczywiście, doktorze Duval — powiedziała. Włożyła maskę.

Fakt że troje ludzi kręciło się wokół dziobu, niewiele ułatwiło zadanie. Desperacko łapali za włókna wyciągając je, zwalając im odpływać z prądem. Zaczęły ukazywać się filtry. Grant wepchnął do otworu kilka krnąbrnych kawałków.

— Mam nadzieję, że nie wyrządzą szkody, nie mogę ich wydostać. Owens, co się stanie, jeśli trochę tych włókien dostanie się do otworów, do wewnątrz, ma się rozumieć?

— Zwęglą się w silniku i zapaskudzą go. To będzie oznaczało czyszczenie, gdy znajdziemy się na zewnątrz — odpowiedział Owens.

— Skoro znajdziemy się na zewnątrz, nie będę dbał o to, że musi pan skrobać ten śmierdzący okręt. Odciągnął te włókna, które się dało, resztę wepchnął do filtra. Cora i Michaels zrobili to samo.

— Jesteśmy w ślimaku dłużej niż powinniśmy Michaels. — W każdej chwili jakiś dźwięk...

— Zamknij się pan — powiedział Grant z irytacją i kończmy.

Carter uczynił ruch, jakby chciał sobie rwać włosy z głowy, ale się powstrzymał.

— Nie, nie, nie! — krzyczał. — Znow się zatrzymali!

Wskazał na wiadomość napisaną na kawałku papieru, trzymanego w górze. — Przynajmniej pamiętaj, żeby nie gadać — powiedział Reid. — Jak sądzisz, dlaczego się zatrzymali?

— Skąd mam wiedzieć, do jasnej cholery! Może zrobili sobie przerwę na kawę? Może zdecydowali się zatrzymać, by zażyć słonecznej kąpieli. Może ta dziewczyna... — urwał. — Dobra, nie wiem. Wiem, że zostały nam tylko dwadzieścia cztery minuty.

— Im dłużej pozostają w uchu wewnętrznym, tym bardziej rośnie prawdopodobieństwo, że któryś wesolek wyda jakiś dźwięk... kichnięcie... cokolwiek — powiedział Reid.

— Masz rację — Carter pomyślał chwilę, po czym — ach, na miłość Boską jest proste rozwiązanie, a my tego nie widzimy. Wezwij gońca.

Ponownie wszedł człowiek z ochrony. Nie oddał honorów.

— Wciąż jesteś bez butów? — powiedział Carter. — W porządku. Zabierz to na dół i pokaż jednej z pielęgniarek. Pamiętasz o wypatroszeniu?

— Tak, sir.

Wiadomość brzmiała: BAWELNĘ DO USZU BENESA.

Carter zapalił cygaro, popatrzył przez okienko kontrolne. Żołnierz wszedł, zawahał się przez chwilę, po czym szybkim i ostrożnym krokiem podszedł do jednej z pielęgniarek. Uśmiechnęła się, spojrzała w górę na Cartera i zrobiła kółko z kciuka i palca wskazującego.

— Muszę myśleć o wszystkim — powiedział Carter.

— To tylko przytłumi dźwięk — rzekł Reid. — Nie zatrzyma go.

— Wiesz, mówią lepszy rydz niż nic — odpowiedział Carter.

Pielęgniarka zdjęła buty i dwoma krokami znalazła się: przy jednym ze stołów. Ostrożnie otworzyła świeże opakowanie bawełny absorpcyjnej i odwinęła kawałek, długi na dwie stopy. Złapała pełną garść i pociągnęła. Nie poszło łatwo. Pociągnęła mocniej. Jej ręka poleciała w bok, uderzając w leżące na stole nożyczki. Nożyczki spadły na twardą podłogę. Pielęgniarka przydepnęła jej szybko i unieruchomiła. Wydały ostry, metaliczny brzęk. Twarz pielęgniarki spłonęła rumieńcem śmiertelnego przerażenia, wszyscy inni na sali odwrócili się i wytrzeszczyli na nią oczy. Carter, upuszczając cygaro, skulił się w swoim fotelu.

— Skończone! — powiedział.

Owens włączył silnik i delikatnie sprawdził stery. Strzałka na skali temperatury, która niemal od chwili wkroczenia do przewodu ślimakowego stała na strefie zagrożenia, teraz opadła.

— Wygląda na to, że wszystko w porządku — powiedział. — Czy wszystko oczyściliście?

W jego uchu zadźwięczał głos Granta:

— Niech się pan przygotowuje. Wracamy na pokład.

W tej chwili zdawało się, że świat się zakołysał. Było to tak, jakby jakaś pięść uderzyła od dołu w „Proteusza”, który uniósł się wysoko. Owens złapał za stery, by mieć jakieś oparcie i trzymał się rozpaczliwie, nasłuchując odległego grzmotu. Duval rozpaczliwie pochwycił laser, Starając się ochronić go przed światem, który oszalał. Grant poczuł, że został ciśnięty w górę niczym pocisk wyrzucony z katapulty i ugrzązł w ścianie przewodu ślimakowego. Ściana wybrzuszyła się i strząsnęła go z siebie. Gdzieś w otchłani swego umysłu, Grant wiedział, że ściana odpowiada szybką wibracją o mikroskopijnej amplitudzie na jakiś ostry dźwięk. Myśl ta została stłumiona przez szok. Desperacko spróbował zlokalizować „Proteusza”, ale zobaczył tylko krótki refleks jego światła dziobowych.

W chwili, gdy nastąpiła wibracja, Cora trzymała się uchwytu włazu. Instynktownie zacieśniła chwyt. Szarpanina pozbawiła ją tchu i kiedy jej chwyt zelżał, zjechała, ślizgając się, w błotniste podłoże, w którym tkwił okręt, światła od dziobu padały na drogę przed nią, z przerażeniem próbowała zahamować, ale bezskutecznie. Równie dobrze mogłaby próbować wbić pięty w ziemię, żeby zatrzymać lawinę. Zsuwała się do odcinka narządu Cortiego, głównego centrum słuchu. Wśród części składowych tego narządu znajdowało się piętnaście tysięcy komórek włosowatych. Widziała je. Każda trzymała wysoko swoją delikatną, mikroskopijną rzęskę. Niektóre wibrowały łagodnie, odpowiednio do wysokości i natężenia fal dźwiękowych, przewodzonych do ucha środkowego i tam wzmacnianych.

Te rozważania teoretyczne były dobre w normalnym świecie. To, co widziała tutaj, było przepaścią, poza którą widniały szeregi wysokich kolumn, poruszających się majestatycznie najpierw jedna, a potem kolejna, jak gdyby kołysząca się fala opływała całą tę strukturę.

Ślizgając się i okręcając, Cora wpadła do świata, wibrujących kolumn i ścian. Jej reflektor nad czołem migotał kapryśnie, kiedy koziółkowała w dół. Poczula, że zaczepiła o występ i gwałtownie uderzyła o coś sprężyste elastycznego. Zwiesiła głowę, bojąc się szamotać, żeby występ, który ją zatrzymał, nie pozwolił dalej spadać. Ostrożnie uniosła głowę i spojrzała w jedną, a potem w drugą stronę. Kolumna, do której przywarła, mikroskopijna rzęska na jednej komórce włosowatej narządu Cortiego, kołysała się majestatycznie. Cora uspokoiła oddech i nagle usłyszała swoje imię. Ktoś wołał.

— Pomóżcie mi — szepnęła błagalnie. Ośmielona dźwiękiem własnego głosu, wrzasnęła tak przenikliwie, jak tylko potrafiła:

— Ratunku! Pomóżcie! Ratunku!

Pierwszy niszczycielski wstrząs przeszedł i Owens odzyskał panowanie nad „Proteuszem” w cichym i burzliwym morzu. Ten dźwięk, intensywny i gwałtowny, szybko zamarł. To ich uratowało. Gdyby trwał jeszcze choćby przez chwilę...

Duval, trzymając kurczowo laser, siedział oparty plecami o ścianę i desperacko zapierał się stopami o podstawę warsztatu.

— Alarm odwołany? — krzyknął.

— Myślę, że już po wszystkim — wydyszał Owens. — Stery reagują.

— Lepiej się stąd wynośmy.

— Musimy zabrać tamtych.

— Ach tak. Zapomniałem — rzekł Duval.

Ostrożnie przekręcił się, oparł się mocno na jednej ręce, a potem powoli podciągnął nogi. Wciąż ścisnął kurczowo laser.

— Zabierzmy ich.

— Michaels! Grant! Panno Peterson! — zawołał Owens.

— Jestem — odpowiedział Michaels. — Mam nadzieję, że jestem cały.

— Czekajcie! — powiedział Grant. — Nie widzę Cory.

„Proteusz” już się nie kołysał. Grant, ciężko oddychając, energicznie popłynął w kierunku świateł dziobowych.

— Cora — zawołał.

— Ratunku! Tu jestem! Ratunku! — rozległ się głos Cory.

Grant rozejrzał się. Nie widział jej. Krzyknął rozpaczliwie:

— Cora! Gdzie jesteś?

— Nie wiem dokładnie. Uwięzłam między komórkami włosowatymi.

— Gdzie one są? Michaels, gdzie są komórki włosowate?

Dostrzegł Michaela zbliżającego się z innej stroił jego reflektorek znaczył przed nim wąską ścieżkę. Michaels odpowiedział:

— Czekaj pan, niech się zorientuję.

— Owens, szeroki kąć światła! Owens włączył silne reflektory dziobowe.

— Tędy! Owens, więcej światła w tym kierunku. Grant popłynął za szybko poruszającą się postaci Michaelsa. Zobaczył przed sobą przepaść i kolumny.

— Tu? — spytał niepewnie.

— Na pewno — odrzekł Michaels.

Byli na krawędzi, mając za plecami okręt oświetlający rząd kolumn kołyszących się łagodnie.

— Nie widzę jej — powiedział Michaels.

— O, tam — odrzekł Grant, wskazując ręką. — Czy to nie ona? Coro! Pomachaj ręką, żebym mógł się upewnić.

Pomachała.

— W porządku. Idę po ciebie. Zaraz będziesz bezpieczna.

Córa poczuła, że coś dotyka jej kolana. Było to wrażenie słabe i delikatne, jakby otarło się o nią skrzydełko muchy. Spojrzała na swoje kolano, ale nic nie zobaczyła. Jeszcze jedno dotknięcie — w ramię, potem następne. Nagle rozpoznała je. Było ich tylko kilka — małe kuleczki wełny z drgającymi, wysuwającymi się nitczkami. Białkowe cząsteczki przeciwciał. Miała wrażenie, że badają jej powierzchnię, próbują ją, smakuja, decydując, czy jest nieszkodliwa. Było ich tylko kilka,

ale spomiędzy kolumn nadpływało coraz więcej. Widziała je wyraźnie w migoczących refleksach zminiaturyzowanego światła reflektorów „Proteusza”. Każda niteczka świeciła jak promień słońca.

— Chodź szybko! Tu wszędzie dookoła są przeciwciała! — krzyknęła.

Miała przed oczami przeciwciała pokrywane komórki bakteryjną włochatą otoczką, a później miażdżące ją, kiedy siły międzycząsteczkowe ściągały przeciwciała w jedno miejsce. Jedno z nich dotknęło jej łokcia i przyczepiło się. Potrząsnęła ramieniem ze wstrętem i przerażeniem. Uderzyła o kolumnę. Przeciwciała nie odpadło. Przyłączyło się do niego jeszcze jedno, oba razem dopasowały się zgrabnie, splatając niteczki.

— Przeciwciała — mruknął Grant.

— Musiała uszkodzić otaczającą tkankę, dlatego się pojawiły — stwierdził Michaels.

— Mogą jej coś zrobić?

— Nie od razu. Nie są na nią uczulone. Żadne przeciwciała nie zostały przeznaczone dla jej kształtów. Niektóre wpasują się na całkowicie przypadkowej zasadzie i otoczą Corę. Potem zjawiają się następne.

Grant dostrzegł je, rojące się wokół niej jak chmara drobniutkich muszek owocowych.

— Michaels, niech pan wraca na okręt — powiedział. — Starczy, że jedna osoba ryzykuje. Jakoś ją stamtąd wydostanę. Jeśli nie, od was będzie zależało czy zabierzecie nas na pokład, czy zostawicie. Cokolwiek się stanie, nie możemy się tutaj zdeminiaturyzować.

Michaels zawahał się:

— Niech pan będzie ostrożny. — I odpłynął w kierunku „Proteusza”.

Grant ruszył w stronę Cory. Turbulencja, wywoła jego zbliżaniem się, wprawiła przeciwciała w gwałtowny wirowy taniec.

— Och, Grant! Szybko!

Ciągnął desperacko jej butle tlenowe, które wbiły się w kolumnę i utknęły w niej. Grube pasma lepkiej substancji wysączały się z wyrwy i być może to właśnie spowodowało najazd przeciwciał.

— Nie ruszaj się, Coro. Pozwól mi... ach! — kostka u nogi Cory uwięzła między dwoma włóknami. Grant z wysiłkiem rozsunął je.

— Teraz, ruszaj za mną.

Wykonali półsalto i zaczęli odpływać. Ciało Cory było pokryte przyczepionymi przeciwciałami, ale ogromna ich większość została za nimi. Potem, kierując się śladem zapachu na skalę mikroskopową, zaczęły podążać za nimi — najpierw kilka, później cały, olbrzymiejący rój.

— Nigdy się nie wydostaniemy — wydyszała Cora. .

— Wydostaniemy się — powiedział Grant. — Tylko włóż w to całą swoją siłę.

— One wciąż łączą się ze sobą. Jestem przerażona, Grant.

Grant spojrział na nią przez ramię i nieznacznie się cofnął. Jej plecy były do połowy pokryte mozaiką wełnianych kulek. Dobrze oszacowały naturę jej powierzchni, a przynajmniej tę jej część. Pospiesznie spróbował oczyścić jej plecy, ale przeciwciała przywarły mocno. Rozpłaszczyły się tylko pod dotknięciem jego ręki, a potem wracały do pierwotnego kształtu. Kilka z nich zaczynało badać i „smakować” ciało Granta.

— Szybciej, Coro!

— Nie mogę...

— Możesz. Chwyć się mnie, dobrze?

Wystrzelili w górę, do czekającego „Proteusza”.

Duval pomógł Michaelsowi wejść przez właz.

— Co się dzieje tam, na zewnątrz?

Michaels, ciężko dysząc, ściągnął swój hełm.

— Panna Peterson uwięzła w komórkach Hensena. Grant próbuje ją uwolnić, ale wokół nich roi się od przeciwników.

Oczy Duwala rozszerzyły się. Co możemy zrobić?

— Nie wiem. Może on potrafi ją wydostać. W przeciwnym razie musimy płynąć dalej.

— Nie możemy ich zostawić!

— Oczywiście, że nie — rzekł Duval. — Musimy wyjść na zewnątrz, wszyscy trzej, i... — po czym dodał szorstko — dlaczego pan wrócił, Michaels? Czemu pan nie pomógł Grantowi?

Michaels spojrzał wrogo na Duwala.

— Nic tam po mnie. Nie mam mięśni Granta ani jego refleksu. Przeszkadzałbym tylko. Jeśli chce pan pomóc, niech pan sam wyjdzie na zewnątrz.

— Musimy sprowadzić ich z powrotem, żywych czy... Będą się deminiaturyzować mniej więcej za kwadrans — powiedział Owens.

— W takim razie dobrze! — zdecydował Duval. Ważcie w skafandry i wyjdźmy na zewnątrz.

— Czekać! — zawołał Owens. — Nadchodzą, gotuję właz.

Ręka Granta mocno złapała za uchwyt włazu. Nad nim czerwono błyskał sygnał świetlny. Grant wczepił dłonie w przeciwciała na plecach Cory, ściskając wełniste włókna między kciukiem a palcem wskazującym. Czuł, jak poddają się one z miękką sprężystością, a potem stają się sztywnym jądrem, które dalej nie ustępuje. Pomyślał, że to przecież ruch peptydowy.

Wróciły wspomnienia z kursów w college'u. Kiedyś potrafił napisać wzór chemiczny części łańcucha peptydowego, a teraz miał go naprawdę w ręku. Czy pod mikroskopem mógłby zobaczyć poszczególne atomy? Nie, Michaels mówił, że zamazałyby się i nie byłoby nic widać. Podniósł przeciwciało. Najpierw przywierało ciasno, potem poddało się, odrywając z cmoknięciem. Sąsiednie cząsteczki również się oderwały. Była ich cała grupa. Grant odsunął je na bok szerokim ruchem. Pozostały razem i wróciły, szukając punktu zaczepienia. Nie miały mózgów, nawet najbardziej prymitywnych i niewłaściwie byłoby myśleć o nich jako o potworach czy drapieżnikach, czy nawet owocowych muszkach. Były cząsteczkami o atomach ułożonych tak, żeby przywierały do pasujących do nich powierzchni na skutek przypadkowego działania sił międzyatomowych. Z zakamarków pamięci powróciło do Granta określenie „siły Van der Waalsa”. Nic więcej. Systematycznie odrywał puch z pleców Cory. — Nadchodzą, Grant! Szybko! Do włazu! Grant obejrzał się. Przeciwciała odnajdywały drogę, wyczuwając ich obecność. Ich ogniwa i łańcuchy pikowały wysoko nad brzegiem przepaści, dążąc w dół, do swojej ofiary.

— Musimy poczekać... — Światło zmieniło się na zielone. — W porządku. Teraz. — Desperacko zakręcił kołem.

Przeciwciała otaczały ich zewsząd, ale zmierzały głównie ku Corze. Na nią były uczulone. Przyczepiały się i łączyły, opasując jej boki i tworząc wełniany wzór opasujący jej brzuch. Zawahały się nad nierówną, trójwymiarową krzywizną jej piersi. Grant pociągnął klapę, otworzył wąż, cisnął Corę do środka razem z przeciwciałami i sam wślizgnął się za nią. Nie mógł domknąć klapy. Pchał ją z całej siły, ale przeciwciała wciąż wlewały się do środka.

Drzwi zamknęły się na ich sprężystości, sztywność setek przeciwciał sprawiła, że klapy nie udało się domknąć do końca. Zaparł się plecami, pokonując nacisk i udało mu się przekręcić koło unieruchamiające klapę na właściwym miejscu. Tuzin małych, miękkich i puszystych kulek wiercił się w szczelinie, w miejscu gdzie klapa stykała się ze ścianą. Setki innych, nie uwięzionych, napełniały płyn wokół Cory i Granta. Ciśnienie powietrza wypychało płyn. Uszy ich wypełnił syczący odgłos. W tej chwili Granta interesowało tylko usuwanie przeciwciał. Kilka usadowiło się na jego piersi, ale to nie było w tej chwili ważne. Ważna była Cora. Przeciwciała otoczyły jej ciało od piersi do uda.

— Zaciskają się, Grant — powiedziała.

Widział udrękę na jej twarzy i słyszał, z jakim wysiłkiem mówiła. Płyn szybko opadał, ale nie mieli już dużo czasu i Grant załomotał do wewnętrznych drzwi.

— Nie... mo...gę... od...dy... — dyszała Cora. Drzwi otworzyły się, płyn wlał się do głównej części statku. Ręka Duwała złapała ramię Cory i wciągnęła ją do środka. Grant podążył za nią.

— Boże, dopomóż nam! Spójrzcie na nich! — powiedział Owens.

Z miną pełną wstrętu i mdłości zaczął odrywać przeciwciała. Jedno pasmo oddarte, potem drugie, potem jeszcze jedno. Półzartem Grant powiedział:

— Teraz to łatwe. Po prostu zmiećcie je.

Wszyscy pomagali. Przeciwciała wpadły do płynu pokrywającego podłogę mniej więcej na cal wysoko, poruszały się słabo.

— Ich przeznaczeniem jest działanie w płynie ustrojowym. Gdy otoczy je powietrze, cząsteczkowe siły przyciągania zmieniają ich naturę — rzekł Duval.

— Dopóki są z daleka. Coro...

Cora oddychała głębokimi, nierównymi haustami, Duval delikatnie zdjął jej hełm. Przywarła do ramienia Granta, wybuchnęła nagle płaczem.

— Byłam przerażona! — załkała.

— Oboje byliśmy — zapewni! ją Grant. — Czy być przerażonym to wstyd? Wiesz, że strach ma swój cel. — Delikatnie gładził jej włosy. — Powoduje przyływ adrenaliny, można wtedy płynąć szybciej i dłużej, i dużo więcej wytrzymać. Sprawny mechanizm strachu stanowi podstawę bohaterstwa.

Duval odepchnął Granta na bok.

— Dobrze się pani czuje, panno Peterson?

Cora odetchnęła głęboko i powiedziała z wysiłkiem.

— Zupełnie dobrze, doktorze.

— Musimy się stąd wynosić — rzekł Owens. Był już w swojej kopule. — Nie mamy czasu do stracenia.

ROZDZIAŁ 16

MÓZG

Monitory telewizyjne ożyły.

— Generale Carter...

— Tak, co się dzieje?

— Oni znów płyną, sir. Są już poza uchem i kierują się w stronę skrzepu.

— Ha! Przeżyli! — Spojrzał na zegar kontrolny. Dwanaście minut.

Szukał cygara. Dostrzegł je na podłodze, nawet nie zauważył, kiedy spadło. Podniósł je i odrzucił ze wstrętem.

— Dwanaście minut. Czy mają szansę, Reid?

Reid wyglądał na przygnębionego.

— Mogą to zrobić. Mogą nawet usunąć skrzep. Ale...

— Ale?

— Ale nie wiem, czy potrafimy wydostać ich na czas. Wiesz, że nie możemy sondować mózgu, żeby ich wyciągnąć. Gdybyśmy mogli to zrobić, niepotrzebna byłaby ta wyprawa. Teraz muszą dostać się do mózgu, a potem do jakiegoś punktu, z którego wydostaniemy ich. Jeśli tego nie zrobią...

Carter powiedział płacząco:

— Dwie filiżanki kawy i cygaro, a ja nie wypięłem ani łyka i ani razu się nie zaciągnąłem...

— Docierają do podstawy mózgu, sir — nadszedł meldunek.

Michaels był przy swoich mapach, Grant zaglądał mu przez ramię.

— Czy to tutaj to skrzep?

— Tak — odpowiedział Michaels.

— Zdaje się, że jest daleko. Mamy tylko dwanaście minut.

— Nie jest tak daleko, jak na to wygląda. Teraz będziemy płynąć bez przeszkód. Znajdziemy się przy podstawie mózgu za niecałą minutę, a stamtąd to już bliźutko...

Nagły potok światła zalał okręt. Grant zdumiony podniósł wzrok i zobaczył na zewnątrz potężną ścianę mlecznego światła. Jej granice były niewidoczne.

— Błona bębenkowa — powiedział Michaels. — Po przeciwnej stronie jest świat zewnętrzny.

Grant doznał przejmującego uczucia tęsknoty. Prawie zapomniał, że istnieje świat zewnętrzny. Zdawało mu się, że przez całe życie podróżuje bez końca przez świat kanałów układu krążenia. Światło z zewnętrznego świata przesączające się przez błonę bębenkową przypomniało mu, że istnieje inny świat. Michaels, pochylając się nad mapą, rzekł: — Kazał mi pan wrócić na pokład od komórek rzęskowych, prawda, Grant?

— Zgadza się, Michaels. Chciałem, żeby był pan na okręcie, a nie przy tych komórkach.

— Niech pan to powie Duwalowi. Jego nastawienie...

— Czym się pan przejmuje? Jego nastawienie jest zawsze nieprzyjemne, prawda?

— To było obraźliwe. Nie pretenduję do miana bohatera...

— Dobra, powiem mu.

— Dziękuję, Grant. I... i niech pan ma na oku Duwala.

Grant roześmiał się.

— Oczywiście!

Zbliżył się Duval. Wyglądał tak jakby wiedział, że o nim mowa. Zapytał obcesowo;

— Gdzie jesteśmy, Michaels?

Michaels spojrział na niego z kwaśną miną i odrzekł:

— Jesteśmy w okolicy wejścia do przestrzeni podpajęczynówkowej. Dokładnie u podstawy mózgu.

— W porządku. Może byśmy popłynęli obok nerwu okoruchowego?

— Dobrze — odpowiedział Michaels. — Jeśli to da panu najkorzystniejsze dojście do skrzepu, to popłyniemy tamtędy.

Grant wszedł do magazynu, gdzie na koi leżała Cora. Uczyniła ruch, jakby chciała wstać.

— Nie. Zostań tam. — Usiadł na podłodze obok niej, opasując kolana ramionami. Uśmiechnął się.

— Nic mi nie jest — powiedziała — Po prostu symuluję.

— Czemu nie? Jesteś najpiękniejszą symulantką, jaką widziałem. Posymulujmy razem przez minutkę, jeśli nie uważasz, że brzmi to zbyt obcesowo.

Uśmiechnęła się leciutko.

— Nie uskarżam się na twoją śmiałość. Zdaje się, że kupiłeś abonament na ratowanie mi życia.

— To wszystko po to, żebyś była mi zobowiązana.

— Jestem! To oczywiste.

— Przypomnę ci o tym we właściwym czasie.

— Bardzo proszę. Grant, naprawdę, dziękuję ci.

— Podoba mi się, kiedy mi dziękujesz, ale to moja praca. To dlatego posłano mnie z wami.

Pamiętaj, ja podejmuję decyzje taktyczne, zajmuję się nagłymi problemami.

— Ale to nie wszystko, prawda?

— To wystarczający powód — zaprotestował. — Wtykam chrapy do płuc, wyciągam wodorosty z wlotów, ale przede wszystkim ratuję piękne kobiety, a właściwie jedną.

— Ale to nie wszystko, prawda? Jesteś tutaj, żeby mieć na oku doktora Duvala?

— Dlaczego tak twierdzisz?

— Bo to prawda. Wyższe dowództwo w CMDF nie ufa doktorowi Duvalowi. Nigdy mu nie ufali.

— Dlaczego?

— Bo jest człowiekiem pełnym poświęcenia, prostodusznym i pogmatwanym. Obraża innych nie dlatego, że tego chce, ale dlatego, że nie zdaje sobie sprawy, że zachowuje się obraźliwie. Nic nie jest ważne dla niego poza jego pracą...

— Nawet piękne asystentki?

Cora zaczerwieniła się.

— Przypuszczam, że... nawet asystentki. On docenia moją pracę. Docenia ją rzeczywiście.

— Czy nadal ceniliby twoją pracę, gdyby ktoś inny docenił ciebie?

Cora odwróciła wzrok i ciągnęła dalej:

— On jest lojalny. Jedyny kłopot w tym, że on sprzyja swobodnej wymianie informacji z tamtą stroną i mówi o tym głośno, ponieważ nie wie, jak zachować swoje poglądy dla siebie. Kiedy inni nie zgadzają się z nim, uważa ich za głupców i mówi im to.

Grant skinął głową.

— Tak, mogę to sobie wyobrazić. I to sprawia, że wszyscy go nie lubią. Ludzie nie znoszą, gdy im się mówi, że są głupi.

— No cóż, on właśnie taki jest.

— Posłuchaj. Nie martw się. Ufam Duvalowi tak samo jak innym.

— Ale Michaels mu nie ufa.

— Wiem o tym. Michaels chwilami nie ufa nikomu i to zarówno na okręcie, jak i na zewnątrz. Nawet mnie nie ufa. Zapewniam, że nie należy się martwić.

Cora spojrzała z niepokojem.

— Chcesz powiedzieć, że Michaels podejrzewa, że ja rozmyślnie uszkodziłam laser? Że doktor Duval i ja... razem...

— Sądzę, że on bierze taką możliwość pod uwagę.

— A ty, Grant?

— Ja również.

— Ale czy w to wierzysz?

— To jest jedna z wielu możliwości, Coro. Jedna z wielu. Pozwól, kochanie, że ja się będę o to martwił.

Zanim zdołała odpowiedzieć, oboje usłyszeli podniesiony ze złości głos Duvala:

— Nie, nie, nie. To nie podlega kwestii, Michaels. Nie życzę sobie, żeby jakiś osioł mówił mi, co mam robić.

— Osioł! Mam ci powiedzieć, czym ty jesteś, ty sukin...

Grant wyskoczył z magazynu, Cora za nim.

— Uspokójcie się! — powiedział. — O co chodzi?

Duval odwrócił się i rzekł, kipiąc ze złości:

— Naprawiłem laser. Drut jest oskrobany do właściwych rozmiarów, dołączony do tranzystora

i umieszczony na swoim miejscu. Właśnie zakomunikowałem to temu o... — zwrócił twarz ku Michaelsowi i urwał, po czym ciągnął dalej: — osłu, mówię, ponieważ pytał mnie o to.

— No dobra — rzeki Grant — co w tym złego?

Michaels odpowiedział z pasją:

— Że ten sukinsyn tak twierdzi, to nie znaczy, że tak jest. Złożył razem kilka części. Mogę zrobić to samo. Każdy to potrafi. Skąd on wie, że to będzie działało?

— Bo wiem. Pracuję z laserami przez dwadzieścia lat. Wiem, kiedy działają.

— Dobrze, w takim razie udowodnij pan to, doktorze. Użyj pan lasera.

— Nie! Albo działa, albo nie działa. Jeżeli nie działa, nie mogę go naprawić w żadnych warunkach. Zrobiłem wszystko, co możliwe. Nic więcej zrobić się nie da. Nie będziemy w gorszej sytuacji, jeżeli stwierdzę tuż przed operacją, że laser nie działa, ale nawet jeśli działa nie zmienia to faktu, że został kiepsko sklecony. Nie wiem, jak długo będzie sprawny. Najwyżej tuzin błysków lub coś koło tego. Chcę zachować dla skrzepu każdy z tych błysków. Nie będę marnował żadnego. Nie chcę, żeby misja nie udała się tylko dlatego, że wypróbowywałem laser.

— Musisz wypróbować — powiedział Michaels. — Jeśli tego nie zrobisz, to przysięgam ci, Duval, że kiedy wrócimy, sprawię, że będziesz wywalony z CMDF i nie znajdziesz żadnej innej pracy...

— Będę się tym martwił, kiedy wrócimy. To jest mój laser i robię z nim, co mi się podoba. Nie możesz mi rozkazać, co mam robić. Grant też nie może.

Grant potrząsnął głową.

— Niczego panu nie rozkazuję, doktorze Duval.

Duval skinął głową i odszedł. Michaels popatrzył za nim.

— Dostanę go.

— On mówi rozsądnie, Michaels — powiedział Grant. — Czy jest pan pewien, że nie wścieka się pan na niego z powodów osobistych?

— Bo nazwał mnie tchórzem i osłem? Mam go za to kochać? Czy żywię do niego osobistą animozję, czy nie, to bez znaczenia. Wiem, że on jest zdrajcą.

— To nieprawda — powiedziała Cora ze złością.

— Wątpię — rzekł Michaels lodowato — czy można polegać na pani świadectwie, ale mniejsza z tym. Przy skrzepie dopilnujemy Duvala.

— Usunie skrzep — powiedziała Cora — jeśli laser będzie działał.

— Jeżeli będzie działał — rzekł Michaels. — Nie byłbym zaskoczony, gdyby Duval zabił Benesa i to nie przez przypadek.

Carter zdjął marynarkę i podwinął rękawy. Opadł w fotelu do półleżącej pozycji. W jego ustach tkwiło świeżo zapalone cygaro.

— W mózgu? — spytał.

Wąsy Reida sprawiały wrażenie nastroszonych. Potarł oczy.

— Praktycznie przy skrzepie. Zatrzymali się.

Carter spojrział na zegar kontrolny. Widniała na nim Cyfra 9. Czuł się wyczerpany i znużony.

— Myślisz, że tego dokonają? — zapytał.

Reid potrząsnął głową:

— Nie, nie sędzę.

Za dziewięć minut, może za dziesięć, ci ludzie i okręt pojawią się przed nimi w normalnych wymiarach, rozsadzając dało Benesa, jeżeli nie wydostaną się z niego na czas.

Carter zastanawiał się nad tym, co zrobi prasa z CMDF, jeżeli plan się nie uda. Słyszał wypowiedzi wszystkich polityków w kraju i z tamtej strony. Jak dalece CMDF będzie musiało przyhamować? Ile miesięcy, ile lat upłynie, zanim znów się pozbiera? Znużony zaczął w myśli układać swoją rezygnację.

— Jesteśmy w mózgu — oznajmił Owens, opanowując podniecenie.

Wygasił światła. Wszyscy spojrzeli przed siebie w podziw, który wszystko inne, nawet cel misji, usunął na moment z ich myśli.

— Jakie to cudowne — wymamrotał Duval.

Grant przez chwilę czuł to samo. Z pewnością mózg ludzki był skomplikowanym obiektem sfłoczonym w najmniejszej możliwej objętości w całym wszechświecie. Panowała cisza. Komórki, które widzieli, były postrzępione, nierówne, z wystającymi włóknistymi dendrytami, co przypominało gąszcz jeżyn. Płynąc przez śródmiąższowy płyn wzdłuż korytarzy między komórkami, widzieli w górze płataninę dendrytów. Przez chwilę przesuwali się pod czymś, co robiło wrażenie poskręcanych, wiekowych, leśnych drzew.

— Patrzcie, one się nie stykają — powiedział Duval. — Możecie wyraźnie zobaczyć synapsy.

— Wydają się pełne blasków — rzekła Cora.

Michaels odezwał się głosem, w którym wciąż brzmiała złość:

— To złudzenie. Odbicie zminiaturyzowanego światła płata figle. Nie ma to żadnego związku z rzeczywistością.

— Skąd pan wie? — zapytał natychmiast Duval. — To ważne pole do badań. Odbicie zminiaturyzowanego światła na pewno zmienia się subtelnie wraz ze strukturą molekularnej treści komórki. Ten rodzaj odbicia stanie się potężniejszym instrumentem do badania mikroszczegółów komórki niż wszystkie obecnie istniejące. Zupełnie możliwe, że techniki powstałe na bazie naszej misji, będą miały znacznie większą wagę niż to, co się stanie z Benesem.

— Czy pan się usprawiedliwia, doktorze? — spytał Michaels.

Duval poczerwieniał.

— Żądam dowodów!

— Nie teraz — powiedział Grant rozkazująco. — Spokój, panowie.

Duval odetchnął głęboko i odwrócił się do okna.

— Ale swoją drogą, czy widzicie te światła? — zapytała Cora. — Patrzcie w górę. Obserwujcie dendryt, kiedy się zbliża.

— Widzę — powiedział Grant.

Zwykłe, połyskujące refleksy od tego miejsca nie skrzyły się, jak gdzie indziej w organizmie. Całość wyglądała jak gęsta chmara robaczków świętojańskich. Iskierki ściagały się wzdłuż dendrytu, następna startowała, zanim poprzednia dobiegła do końca swej ścieżki.

— Wiecie, co mi to przypomina? — wtrącił Owens. — Oglądał ktoś na filmach staromodne reklamy z elektrycznych światełek z przesuwającymi się razem falami jasności i ciemności?

— Tak — potwierdziła Cora. — To właśnie tak wygląda. Ale dlaczego?

— Fala depolaryzacji posuwa się wzdłuż włókna nerwowego, kiedy jest ono pobudzone — tłumaczył Duval. — Zmienia się stężenie jonowe, jon sodu wchodzi do komórki. To zmienia natężenie ładunku wewnątrz i na zewnątrz, obniża potencjał elektryczny. Musi to w jakiś sposób oddziaływać na odbicie zminiaturyzowanego światła. To, co widzimy, to fala depolaryzacji.

Czy to dlatego, że Cora zwróciła uwagę na ten fakt, czy może dlatego, że posuwali się coraz dalej w głąb mózgu, poruszająca się fala iskierek była widziana wszędzie. Posuwała się wzdłuż komórek, wspinała po włóknach i opuszczała się z nich. Skręcała się w nieprawdopodobnie skomplikowany układ, który na pierwszy rzut oka wydawał się pozbawiony jakiegokolwiek uporządkowania, a który był uporządkowany.

— To, co widzimy — kontynuował Duval — to esencja człowieczeństwa. Te komórki stanowią mózg fizyczny, a te poruszające się iskierki reprezentują myśl, ludzki intelekt.

— Czy to jest esencja? — spytał szorstko Michaels. — A może to dusza. Gdzie jest dusza ludzka, Duval?

— Czy dlatego, że nie mogę wskazać na nią palcem, sądzi pan, że ona nie istnieje? — zapytał Duval. — Gdzie jest geniusz Benesa? Jest pan w jego mózgu. Niech pan wskaże jego geniusz.

— Dość! — powiedział Grant.

Michaels zawołał do Owensa:

— Prawie jesteśmy na miejscu! Proszę w oznaczonym punkcie wpłynąć do kapilary. Niech się pan przez nią po prostu przecisnie.

— Jest w tym coś przerażającego — Duval rzekł w zamyśleniu. — Nie jesteśmy po prostu w umyśle człowieka. To wszystko wokół nas to umysł naukowego geniusza, kogoś, kogo stawiałbym niemal na równi z Newtonem. — Milczał przez chwilę, po czym zacytował: — Gdzie posąg Newtona stanął z kanciastą i milczącą twarzą. Marmurowy wykładnik umysłu...

Grant wtrącił, pełnym grozy szeptem:

— W podróży wiecznej i samotnej przez myśli morza niezbadane.

Zapadła krótka cisza. Pierwszy odezwał się Grant:

— Sądzi pan, że Wordsworth miał na myśli to, gdy mówił o „obcych morzach myśli”? To jest dosłowne morze myśli, prawda? Jest także obce.

— Nie myślałam, że masz duszę poety, Grant — rzekła Cora.

Grant skinął głową.

— Same mięśnie, żadnego intelektu. To ja.

— Nie wściekaj się.

— Jeśli skończyliście z mamrotaniem poezji, panowie, spójrzcie przed siebie — powiedział Michaels.

Byli znów w krwiobiegu. Czerwone ciałka, błękitnawe w kolorze, dryfowały bez żadnego określonego celu, dygocąc lekko w odpowiedzi na ruchy Browna, nic więcej. W górze przed nimi zalegał cień. Przez przezroczyste ściany kapilary widzieli las dendrytów, każde pasmo, każdą gałązkę z rzędem iskierki przesuwających się po nich. Teraz znacznie wolniej, coraz wolniej. W pewnym miejscu iskierki zniknęły.

„Proteusz” zatrzymał się. Przez minutę czy dwie trwało milczenie. Wreszcie Owens odezwał się cicho:

— Jesteśmy u celu. Duval skinął głową.

— Tak, to skrzep.

ROZDZIAŁ 17

SKRZEP

— Zauważcie, jak aktywność nerwowa ustaje przy skrzepie — powiedział Duval. — To oznaka nerwowego uszkodzenia, możliwe że nieodwracalnego. Nie przysięgłbym, że możemy pomóc Benesowi, nawet jeśli usuniemy skrzep.

— Świetna opinia, doktorze — rzekł Michaels z sarkazmem. — To pana usprawiedliwia, prawda?

— Zamknij się pan, Michaels — rzucił Grant zimno.

— Proszę włożyć kombinezon nurka, panno Peterson — powiedział Duval. — Natychmiast. Proszę go włożyć na lewą stronę. Przeciwciała są wyczulone na jego normalną powierzchnię, a tam w okolicy może być ich kilka.

Michaels uśmiechnął się ze znużeniem.

— Nie fatygujcie się. Już za późno. — Wskazał na zegar kontrolny, który właśnie bardzo, bardzo wolno, zmieniał siódmkę na szóstkę. — To niemożliwe, byście zdążyli dokonać operacji, a jeśli nawet, to nie dotrzemy do punktu wydobycia w żyłę szyjnej. Nawet jeśli uda się usunąć skrzep, zdeminiaturyzujemy się właśnie tutaj i zabijemy Benesa.

Ani Duval, ani Cora nie przerwali wkładania kombinezonów.

— No cóż — rzekł Duval — wobec tego nie będzie on to gorszej sytuacji niż gdybyśmy nie operowali.

— On nie, ale my tak. Najpierw będziemy powiększać się powoli. Całą minutę może nam zająć osiągnięcie rozmiarów, które przyciągną uwagę białych ciałek. Wokół miejsca uszkodzenia zbierają się ich miliony. Zostaniemy pochłonięci.

— A więc?

— Wątpię, czy „Proteusz” i my damy radę wytrzymać fizyczny nacisk, któremu zostaniemy poddani przez kompresję w wakuoli trawiennej wewnątrz białego ciała. Nie w naszej zmminiaturyzowanej postaci i nie potem, gdy okręt i my przebijemy już białe ciało. Będziemy się dalej rozrastać. Kiedy wrócimy do pełnych rozmiarów, wrócimy do nich jako zmiażdżony okręt i zmiażdżeni ludzie. Lepiej ruszaj się stąd, Owens, i zmierzaj pan tak szybko jak potrafisz do punktu wydobycia.

— Zaraz, zaraz — przerwał Grant ze złością. — Owens, jak długo potrwa droga do punktu ewakuacji?

— Dwie minuty — odparł nieśmiało Owens.

— Więc mamy cztery minuty. Może więcej. Czy te sześćdziesiąt minut, po których ma nastąpić deminiaturyzacja, nie są zbyt ostrożnie wyliczone? Czy nie możemy pozostać zmminiaturyzowani przez dłuższy czas, jeżeli działanie pola utrzyma się nieco dłużej niż tego oczekiwano?

— Być może — odpowiedział Michaels apatycznie — ale nie oszukujcie się. Minuta dłużej. Dwie minuty najwyżej. Nie możemy pokonać zasady nieoznaczoności.

— W porządku. Dwie minuty. A sama deminiaturyzacja nie mogłaby potrwać dłużej niż liczymy?

— Gdybyśmy mieli szczęście, mogłaby potrwać minutę lub dwie — rzeki Duval. ,

— To z powodu przypadkowej natury podstawowej struktury wszechświata — wtrącił Owens. — Jeśli się tak ułoży, że wszystko będzie nam stawało na przeszkodzie.,.

— Ale tylko minuta lub dwie — powiedział Michaels. — Najwyżej.

— W porządku — rzekł Grant. — Mamy cztery minuty plus być może dwie minuty ekstra, plus może minutę powolnej deminiaturyzacji, zanim wyrzadzimy krzywdę Benesowi. To siedem minut. Ruszaj pan, Duval...

— Wszystko, co osiągniecie, wy przeklęte durnie, to zabicie Benesa i nas razem z nim! — ryknął Michaels. — Owens, zabieraj pan nas do punktu ewakuacji.

Owens zawahał się. Grant szybko podszedł do drabinki i wspiął się do kabiny Owensa.

— Wyłącz silnik, Owens. Wyłącz silnik — powiedział spokojnie.

Palec Owensa posunął się do przełącznika i zawisł nad nim. Ręka Granta szybko przysunęła się do niego i zdecydowanym gestem pstryknęła do pozycji: WYŁ.

— Teraz na dół. Zejdź na dół.

Wyciągnął Owensa z jego fotela i obaj zeszli w dół. To zajęło kilka sekund. Michaels przyglądał się z otwartymi ustami, zbyt zaskoczony, by się poruszyć.

— Co, u diabła, pan zrobił? — zapytał.

— Statek zostaje właśnie tu — powiedział Grant — dopóki nie przeprowadzimy operacji. Teraz Duval, do roboty!

— Niech pani weźmie laser, panno Peterson — rzekł Duval.

Oboje byli już w strojach płetwonurków.

— Muszę wyglądać okropnie — powiedziała Cora.

— Czyście wszyscy poszaleli?! — krzyknął Michaels. — Nie ma czasu. To samobójstwo. Posłuchajcie — pienił się ze zdenerwowania. — Niczego nie osiągniecie!

— Owens, niech pan otworzy właz — powiedział Grant.

Michaels rzucił się naprzód. Grant był szybszy, złapał go i przytrzymał:

— Niech mnie pan nie zmusza, bym pana uderzył, doktorze Michaels. Bolał mnie mięśnie i nie chcę ich użyć, ale jeśli uderzę, uderzę mocno i rozwalę panu łeb, obiecuję.

Michaels podniósł pięści, jakby był gotów przyjąć wyzwanie. Duval i Cora zniknęli już we włazie i Michaels, widząc to zmienił ton na błagalny:

— Niech pan posłucha, Grant, czy pan nie widzi, co się dzieje? Duval zabije Benesa. To takie łatwe. Błąd lasera i kto dostrzeże różnicę? Jeśli robi pan to, co mówię, możemy zostawić Benesa żywego, wynieść się i jutro spróbować znowu.

— Jutro on może nie żyć, a jak ktoś powiedział, nie możemy się co chwilę miniaturyzować.

— On mógłby być jutro żywy, a z pewnością będzie martwy, jeśli nie zatrzyma pan Duvala. Inni mogą się jutro zminiaturyzować, nawet jeśli my nie możemy.

— I inny okręt? Żaden prócz „Proteusza” nie nadaje się do tego.

Głos Michaelsa stał się piskliwy:

— Grant, powiadam panu, że Duval jest nieprzyjacielskim agentem.

— Nie wierzę — powiedział Grant.

— Dlaczego? Bo jest religijny? Bo jest tak wypełniony pobożnymi frazesami? Czy nie jest to po prostu maska? A może jest pan pod wpływem tej jego pani, tej jego taniej...

— Niech pan nie kończy, Michaels! Teraz słuchaj pan. Nie ma dowodów, że on jest agentem wroga, a ja nie mam powodu, żeby w to wierzyć.

— Ale ja panu mówię...

— Słyszę, co pan mówi. Tak się składa, iż sądzę, że to pan jest agentem, doktorze Michaels.

— Ja?

— Tak. Na to także nie mam niezbitego dowodu, niczego, co mogłoby podeprzeć oskarżenie w sądzie. Myślę, że kiedyś taki dowód się znajdzie i przestanie pan być bezpieczny.

Michaels wyrwał się Grantowi i patrzył na niego z przerażeniem.

— Teraz rozumiem. Pan jest tym agentem, Grant. Owens, czy pan nie rozumie? Tuzin razy mogliśmy wydostać się bezpiecznie, kiedy było jasne, że misja nie może się udać i nie zrobiliśmy tego. Za każdym razem pan nas zatrzymywał. To dlatego tak ciężko pracował, uzupełniając zapas powietrza przy płucu. To dlatego... Pomóż mi pan, Owens. Pomóż mi.

Owens stał niezdecydowany.

— Zegar kontrolny zaraz przesunie się na piątkę — powiedział Grant. — Mamy jeszcze trzy minuty. Niech mi pan da trzy minuty, Owens. Wie pan, że Benes nie będzie żył jeśli w ciągu tego czasu nie usuniemy skrzepu. Wyjdę na zewnątrz i pomogę im, a pan niech nie pozwoli ruszyć Michaelsowi. Jeśli nie wrócę, zanim zegar pokaże dwójkę, zabierajcie się stąd, ratujcie okręt i siebie. Benes umrze i być może, my także umrzemy. Ale wy będziecie bezpieczni, a pan będzie mógł wskazać palcem na Michaela.

Owens nadal nic nie mówił.

— Trzy minuty — powtórzył Grant i zaczął nakładać kombinezon.

Zegar kontrolny pokazywał 5. W końcu Owens przemówił:

— A zatem trzy minuty. W porządku. Ale tylko trzy minuty.

Michaels usiadł znużony.

— Pozwala im pan zabić Benesa, Owens. Ja zrobiłem, co mogłem. Mam czyste sumienie.

Grant z trudem utorował sobie drogę przez właz.

Duval i Cora popłynęli szybko w stronę skrzepu, on — trzymając laser, ona — agregat zasilający.

— Nie widzę żadnych białych ciałek, a pan? — spytała Cora.

— Nie rozglądam się za nimi — odrzekł Duval szorstko. Spojrzał przed siebie. Promienie światła, padającego z reflektora statku i ich własnych reflektorków, były tłumione przez płataninę włókien, które zdawały się pokrywać skrzep dokładnie po przeciwnej stronie miejsca, przy którym zatrzymywały się impulsy nerwowe Ściana tętniczki została przetarta przez uszkodzenie i nie do końca zablokowana skrzepem. Skrzep ciasno obejmował część włókien i komórek nerwowych.

— Jeśli zdołamy rozdrobnić skrzep i złagodzić nacisk bez dotykania samego nerwu — wymamrotał Duval — pójdzie nam dobrze. Ale jeżeli zostawimy choćby najmniejszy strup, tętniczka się zapcha. Zaczynamy.

Ustawił się we właściwej pozycji i uniósł laser.

— Ciekawe czy działa?

— Doktorze Duval — odezwała się Cora — pamięta pan, jak pan mówił, że najbardziej ekonomiczne będzie uderzenie z góry?

— Pamiętam — odrzekł Duval ponuro — i zamierzam uderzyć precyzyjnie.

Nacisnął spust lasera. W tym momencie wąziutki promień skupionego światła błyskiem oznajmił swoje istnienie.

— Działa! — krzyknęła radośnie Cora.

— Na szczęście — rzekł Duval. — Ale potrzebujemy więcej błysków.

Przez chwilę skrzep zaznaczył się wypukło w blasku laserowego promienia, którego ścieżkę wyznaczał szereg wytworzonych przezeń małych bąbelków, po czym nastąpiła ciemność — większa niż przedtem.

— Niech pani zamknie jedno oko, panno Peterson, tak, żeby jego siatkówki nie trzeba było potem na nowo przyzwyczajać do odbierania obrazów.

Znów rozbłysnął promień lasera, a kiedy zgasł, Cora Ifamknęła otwarte oko i otworzyła to, które przedtem miała zamknięte.

— Laser działa, doktorze Duval — powiedziała podekscytowana. — Blask rozchodzi się poza zasięg wzroku. Rozjaśnia się cały ciemny obszar.

Tymczasem podpłynął do nich Grant.

— Jak idzie, Duval?

— Nieźle. Jeśli teraz zdołam przeciąć to w poprzek i zlikwidować nacisk na najważniejsze miejsce, sądzę, że cała droga nerwowa zostanie uwolniona. — Odpłynął na bok.

Grant zawołał za nim:

— Mamy niecałe trzy minuty!

— Nie zawracaj pan głowy!

— Wszystko w porządku, Grant — powiedziała Cora. — On tego dokona. Czy Michaels przysporzył kłopotu?

— Trochę — odparł Grant ponuro. — Owens go pilnuje.

— Pilnuje?

— Na wszelki wypadek...

We wnętrzu „Proteusza” Owens rzucał szybkie spojrzenia na zewnątrz.

— Niech mnie diabli, jeśli wiem, co robić — mruknął.

— Po prostu zostać tu i pozwolić działać mordercom — rzekł Michaels z sarkazmem. — Będzie pan za to odpowiadał, Owens.

Owens milczał.

— Nie może pan wierzyć, że jestem agentem wroga — ciągnął Michaels.

— W nic nie wierzę — odrzekł Owens. — Poczekajmy, aż zegar pokaże dwie minuty. Jeżeli oni nie wrócą — odpłyniemy.

— W porządku — przystał Michaels.

— Laser działa — stwierdził Owens. — Widziałem błysk. I wie pan...

— Co?

— Skrzep. Widzę iskrzenie aktywności nerwowej gdzie przedtem jej nie było.

— Ja nie — rzekł Michaels, zerkając na zewnątrz.

— A ja tak — powiedział Owens. — Powiadam panu, laser działa, a oni wrócą. Wygląda na to, że pan się myli, Michaels.

Michaels wzruszył ramionami.

— W porządku, tym lepiej. Jeśli nie mam racji i Benes będzie żył, nie pragnę niczego więcej. Tylko... — jego głos stał się niespokojny. — Owens!

— Co?

— Coś jest nie w porządku z klapą wjazdu. Tera cholerny głupiec, Grant, musiał być zbyt podniecony żeby ją należycie zamknąć. Zresztą, czy to naprawdę było podniecenie?

— Ale co jest nie w porządku? Nic nie widzę.

— Jest pan ślepy? Przecieka. Niech pan spojrzy na miejsce, gdzie styka się ze ścianą.

— Jest wilgotne, odkąd Cora i Grant uciekli przed przeciwciałami. Nie pamięta pan...

Owens wpatrywał się w klapę, a Michaels ściskając ku śrubokręt, którym Grant otwierał tablicę rozdzielczą radia, mocno uderzył jego rączką w głowę Owensa. Ze stłumionym okrzykiem oszołomiony Owens upadł na kolana. Michaels uderzył ponownie i zaczął wtlaczać bezwolną postać w skafander pletwonurka. Na jego łysej głowie znalazły się wielkie krople potu. Otworzył klapę wjazdu i wrzucił tam Owensa. Pozwolił, by wjazd szybko napełnił się płynem, po czym zdalnie otworzył drzwi wewnętrzne. Stracił chwilę drogocennego czasu na znalezienie właściwego przycisku. Powinien teraz szarpnąć statkiem, aby uzyskać pewność, że Owens został wyrzucony, ale nie miał czasu. Nie ma czasu, myślał, nie ma czasu. Jak szalony wskoczył do kopuły i przyglądał się sterom. Coś tu trzeba wrzucić, żeby uruchomić silnik. Aha, tam! Dreszcz triumfu przeszył go, gdy poczuł odległe dudnienie silników. Spojrzał przed siebie, w kierunku skrzepu. Owens miał rację. Blask światła pędził w dół wzdłuż długiego wyrostka nerwowego, który dotąd pozostawał ciemny.

Duval celował laserem krótkimi seriami z krótkimi przerwami.

— Musi pan kończyć, doktorze — powiedział Grant. — Czas minął.

— Właśnie prawie skończyłem. Skrzep rozdrobnił się. Jeszcze tylko jedna część. Skończone. Panie Grant, operacja się udała!

— Mamy może trzy, może dwie minuty na wydostanie się stąd. Teraz na okręt.

— Ktoś jeszcze tu jest! — powiedziała Cora. Grant odwrócił się i rzucił się gwałtownie ku pływającej beładnie postaci.

— Michaels! — krzyknął. — Nie, to Owens. Co...

— Nie wiem — rzekł Owens. — On mnie uderzył, jak, sądzą. Nie wiem, skąd się tu wziąłem...
— Gdzie jest Michaels?
— Na okręcie, jak przypusz...
— Silniki statku ruszyły! — krzyknął Duval.
— Co? — Owens był wyraźnie zaskoczony. — Kto...
— Michaels — powiedział Grant. — To on.
— Dlaczego opuścił pan statek, Grant? — dopytywał się Duval ze złością.
— Sam sobie zadaję to pytanie. Miałem nadzieję, że Owens...
— Przykro mi — powiedział Owens. — Nie myślałem, że on naprawdę jest obcym agentem.

Nie mogłem uwierzyć...

— Kłopot w tym, że ja sam nie byłem tego zupełnie pewny — rzekł Grant. — Teraz oczywiście...

— Szpieg — powiedziała Cora z przerażeniem.

— Wy wszyscy cofnąć się! — zabrzmiał głos Michaela. — Za dwie minuty pojawią się białe ciała, a do tego czasu ja będę w drodze na zewnątrz. Przykro mi, ale mieliście szansę wydostać się razem ze mną.

Okręt zataczał wielki łuk.

— Dał pełne przyspieszenie — powiedział Owens.

— On celuje w nerw — rzekł Grant.

— Zgadł pan — dobiegł posępny głos Michaela. — Raczej dramatyczne, nie sądzicie? Przede wszystkim zrujnuję pracę tego napuszonego świętoszka Duvala. Zrobię to po to, aby wyrządzić taką szkodę, która natychmiast przywoła armię białych ciałek. One się wami zajmą.

— Posłuchaj! Zastanów się! — wrzasnął Duval. — Dlaczego to robisz? Pomyśl o swojej ojczyźnie!

— Myślę o ludzkości! — odwrzasnął wściekle Michaels. — To bardzo ważne, żeby siły zbrojne nie miały nic do gadania! Nieograniczona miniaturyzacja w rękach wojska zniszczy ziemię! Jeśli wy, durnie, nie rozumiecie tego...

„Proteusz” pikował prosto na uwolnioną wypustkę nerwową. Grant krzyknął desperacko:

— Laser! Pozwólcie mi wziąć laser! Siłą wyrwał laser Duvalowi.

— Gdzie jest spust? Mniejsza z tym. Mam go. — Wyskoczył w górę, starając się odciąć drogę pędzącemu okrętowi. — Daj mi maksymalną moc! — zawołał do Cory. — Pełen zawór!

Wycelował starannie i wiązka światła szerokości ołówka ukazała się, zamigotała i zgasła.

— Laser wyczerpał się, Grant — powiedziała Cora.

— W takim razie, trzymaj go. Sądzę, że trafiłem „Proteusza”.

Trudno to było dostrzec. W półmroku nie sposób było cokolwiek zobaczyć wyraźnie.

— Myślę, że trafił pan w ster — powiedział Owens. — Zniszczył pan mój okręt.

— Gdziekolwiek pan trafił — rzeki Duval — okręt stracił sterowność.

„Proteusz” naprawdę chwiał się, błyski światła dziobowych zataczały szerokie łuki w górę i w dół. Okręt opadał na dół. Z trzaskiem przebił ścianę tętniczki, o włos ominął nerw i rzucił się w dół, w las dendrytów, więznąc, wyszarpując się na wolność i znów więznąc, aż wreszcie legł tam niczym metalowa bańka zaplątana w grubych, gładkich włóknach.

— Ominął nerw — powiedziała Cora.

— I tak wyrządził dość szkody — warknął Duval. — To może zapoczątkować nowy skrzep. Mam jednak nadzieję, że nie. W każdym razie zaraz będą tu białe ciała. Lepiej zabierajmy się stąd.

— Dokąd? — spytał Owens.

— Jeżeli podążymy wzdłuż nerwu wzrokowego, przez minutę lub szybciej możemy dostać się do oka. Za mną!

— Nie możemy zostawić okrętu — powiedział Grant. — Zdeminiaturyzuje się.

— No cóż, nie możemy zabrać go ze sobą — rzekł Duval. — Nie mamy innego wyboru, jak starać się ratować własne życie.

— Być może zdołamy jeszcze coś zrobić — upierał się Grant. — Ile zostało czasu?

— Nic — odrzekł Duval. — Myślę, że już zaczynamy się deminiaturyzować. Za minutę lub coś koło tego będziemy dość duzi, żeby przyciągnąć uwagę białych ciałek.

— Deminiaturyzujemy się? Teraz? Nic nie czuję.

— I nie poczuje pan. Szczegóły otoczenia są nieznacznie mniejsze niż były dotąd. Chodźmy.

Duval rozejrzał się dookoła.

— Za mną! — powiedział i począł odpływać.

Cora i Owens podążyli za nim. Grant po chwili wahania poszedł w ich ślady. Zawiódł. W ostatecznym rozrachunku zawiódł. Na podstawie niepewnych przesłanek nie był całkiem przekonany, że Michaels jest wrogiem. Nie podjął zdecydowanego działania. Zachowałem się jak nowicjusz. Taki błąd może kosztować życie.

— Nie ruszają się — powiedział Carter z pasją. — Tkwią przy skrzepie. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Zegar kontrolny pokazywał jedynkę.

— Za późno, żeby się wydostali — rzekł Reid. Nadszedł meldunek z sekcji elektroencefalografii:

— Sir, zapis EEG wykazuje, że akcja mózgu Benesa powraca do normy.

— Operacja się udała! — ryknął Carter. — Dlaczego oni nadal tam są?

— Nie sposób się dowiedzieć.

Zegar kontrolny zatrzymał się na zerze. Włączył się głośny sygnał alarmowy. Jego przeraźliwy brzęk wypełnił cały pokój, obwieszczając wyrok.

Reid podniósł głos, aby go usłyszano:

— Musimy ich wydostać.

— To zabije Benesa.

— Jeśli ich nie wydostaniemy, to także zabijemy Benesa.

— Jeżeli ktoś z nich jest poza okrętem — powiedział Carter — nie damy rady go wydobyć.

Reid wzruszył ramionami.

— Nic na to nie poradzimy. Mogą ich dopaść białe ciała albo mogą zdeminiaturyzować się bez szwanku.

— Ale Benes umrze.

Reid pochylił się ku Carterowi i wrzasnął:

— Nie można nic zrobić! Nic! Benes jest już trupem! Weźmiesz odpowiedzialność za życie pięciu osób?

Carter skurczył się w sobie. Powiedział:

— Wydaj rozkaz!

Reid podszedł do nadajnika.

— Wydobyć „Proteusza” — powiedział spokojnie, po czym podszedł do okna i spojrzał na salę operacyjną.

Michaels był półprzytomny, kiedy „Proteusz” utkwiał w dendrytach. Nagły skręt, który nastąpił po jasnym błysku lasera — musiał to być laser — rzucił nim z wielką siłą o tablicę rozdzielczą. Jego prawe ramię było teraz jednym straszliwym bólem. Musiało być złamane. Część ściany była stopiona, a dziurę zasłaniała napięta powierzchnia plazmy. Powietrza, które pozostało, wystarczy mu tylko na minutę lub dwie, aż do deminiaturyzacji. Teraz, kiedy tak patrzył, jego oszołomionym zmysłom zdawało się, że liny dendrytów zrobiły się odrobinę cieńsze. W rzeczywistości nie mogły się kurczyć, to on musiał się powiększać. Uda mu się wydostać, musi się udać...

Tamtych zabiją i wykończą białe ciała. On powie... powie... coś, co wytłumaczy zniszczenie okrętu. A w każdym razie Benes będzie trupem i nieograniczona miniaturyzacja umrze wraz z nim. Nastanie pokój... pokój...

Obserwował dendryty. Jego ciało pozostało na tablicy rozdzielczej. Czy zdoła się poruszyć? Czy jest sparaliżowany? Czy ma złamany grzbiet, tak samo jak ramię? Rozwagał tę możliwość. Czuł, że jego zmysł pojmowania i świadomość zanikają. Dendryty pokryła skłębiona, mleczna mgiełka. Mleczna mgiełka? Białe ciało! Oczywiście, było to białe ciało. Okręt był większy niż ludzie na zewnątrz, w plazmie. Teraz on znajdował się w miejscu uszkodzenia. Okręt pierwszy przyciągnął uwagę białego ciała.

Okno „Proteusza” pokryło się iskrzącym mlekiem. Mleko wkroczyło do plazmy przy rozdarciu w kadłubie i na rufie. Usiłowało przebić barierę napięcia powierzchniowego.

Przedostatnim dźwiękiem, jaki usłyszał Michaels, był odgłos wydany przez kadłub „Proteusza”. Kruchy dzięki swej strukturze złożonej ze zminiaturyzowanych atomów, nadwerężony do ostatnich granic po tym wszystkim, co przeszedł. Trzeszczał i rozpadał się szturmowany przez białe ciało.

Ostatnim dźwiękiem, jaki Michaels usłyszał, był jego własny śmiech.

ROZDZIAŁ 18

OKO

Cora zobaczyła białe ciało w tym samym momencie, co Michaels.

— Patrzcie! — krzyknęła z przerażeniem.

Zatrzymali się i spojrzeli za siebie. Białe ciało było przerażające. Jego średnica, pięć, a może więcej razy większa niż „Proteusz” wyglądało jak góra — góra mlecznej, pozbawionej naskórka, pulsującej protoplazmy. Jego wielkie, płatowate jądro, mleczny cień wewnątrz wypełniającej je treści, sprawiało wrażenie wrogiego, nieregularnego oka, a kształt tej kreatury zmieniał się z każdą chwilą. Któraś jego część wydeła się w kierunku „Proteusza”.

Grant ruszył w stronę okrętu, czyniąc to niemal odruchowo. Cora złapała go za ramię.

— Co masz zamiar zrobić?

— Nie można go uratować — powiedział podekscytowany Duval. — Niepotrzebnie naraża pan życie.

Grant gwałtownie potrząsnął głową.

— To nie o nim myślę. Chodzi o okręt.

— „Proteusza” także nie można uratować — rzekł Owens ze smutkiem. — Może zdołalibyśmy go wydostać na zewnątrz, gdzie mógłby bezpiecznie się powiększyć.

Nawet jeśli będzie rozwalony na atomy, każdy atom zdeminiaturyzuje się, właściwie już się deminiaturyzuje. To bez znaczenia, czy Benes zostanie zabity przez nie uszkodzony okręt, czy przez kupę kawałków.

— Nie można wydobyć go na zewnątrz — powiedziała Cora. — Och, Grant, nie narażaj się. Nie po tym wszystkim. Proszę.

Grant uśmiechnął się pod nosem.

— Wierz mi, mam wiele powodów, by nie umierać, Coro. Wy płońcie dalej, a ja spróbuję tylko raz.

Z bijącym sercem popłynął w kierunku okrętu. Czuł wstręt do potwora, do którego się zbliżał. W oddali były inne, ale on chciał tego jednego, tego, który pochłaniał „Proteusza”, tylko tego jednego.

Z bliska zobaczył jego powierzchnię. Część jego przekroju była klarowna, ale wewnątrz znajdowały się granulki i wakuole. Zagmatwany mechanizm, zbyt zagmatwany nawet dla biologów, by mogli szczegółowo go zrozumieć, cały wtłoczony w pojedynczą, mikroskopijną kroplę żywej materii.

„Proteusz” był już całkowicie wchłonięty. Rozszczepiający się, ciemny cień zamknięty w wakuoli. Grantowi zdawało się przez chwilę, że w kopule widzi twarz Michaela, lecz musiała to być tylko wyobraźnia.

Grant znajdował się teraz przy falującej, olbrzymiej powierzchni. W jaki sposób miał zwrócić na siebie uwagę takiego czegoś? To nie miało ani oczu, ani czucia, ani umysłu czy woli. Było jak machina zbudowana z protoplazmy, która działała automatycznie, a której przeznaczeniem było reagowanie na pewien rodzaj uszkodzenia. Jak? Grant nie wiedział. Ale białe ciało potrafi dostrzec, że w jego sąsiedztwie znajduje się bakteria. W jakiś ów komórkowy własny sposób wie o tym. Dowiedziało się, „Proteusz” jest w pobliżu i zareagowało, pochłaniając go.

Grant był znacznie mniejszy niż „Proteusz”, a na znacznie mniejszy niż bakteria. Czy był dość duży, by zostać zauważonym? Wyjął nóż i zatopił go głęboko w substancji przed sobą, rozcinając ją

do dołu. Nic się i wydarzyło. Nie trysnęła krew, nie ma jej w białym ciałku. W okolicy przerwanej błony z wolna pojawiło się wybrzuszenie wewnętrznej protoplazmy i ta właśnie część błony oddzieliła się.

Grant uderzył ponownie. Nie chciał zabić białego: ciałka, nie sądził, żeby mógł to zrobić przy swoich obecnych rozmiarach. Ale czy istniał inny sposób przyciągnięcia jego uwagi? Odpłynął kawałek i z rosnącym podnieceniem zauważył wybrzuszenie w ścianie — wybrzuszenie kierujące się ku niemu. Odpłynął dalej, wybrzuszenie podążało za nim. Został zauważony. Nie potrafił wytłumaczyć, jakim sposobem białe ciałko go spostrzegło, ale ono, ze wszystkim, co zawierało, a więc i z „Proteuszem”, posuwało się w ślad za nim. Płynął coraz szybciej. Białe ciałko za nim, ale nie tak szybko. Grant doszedł do wniosku, że nie było przystosowane do większych prędkości. Poruszało się jak ameba, wybruszając część swojej treści, a potem wlewając się do tego wybrzuszenia. W normalnych warunkach walczyło z nieruchomymi obiektami — z bakteriami lub obcymi szczątkami nieorganicznymi. Do tego wystarczał jego ameboidalny ruch. Teraz musiało sobie poradzić z obiektem; zdolnym do szybkiej ucieczki. Grant popłynął w kierunku tamtych, którzy wciąż ociągali się, czekali na niego. Wydyszał:

— Szybko ruszajmy stąd. Myślę, że ono mnie ściga.

— Tak jak i inne — powiedział Duval ponuro.

Grant rozejrzył się. Przestrzeń roiła się od białych ciałek. Co zauważyło jedno, zauważyły wszystkie.

— Jak...

— Widziałem, jak pan uderzył w białe ciałko — rzekł Duval. — Jeśli je pan uszkodził, do krwiobiegu uwolniły się z niego związki chemiczne, które przyciągają białe ciałka z całego sąsiedztwa.

— A zatem, płynimy, na miłość Boską!

Zespół chirurgów zgromadził się wokół głowy Benesa. Carter i Reid obserwowali to z góry. U Cartera pogłębiał się nastrój depresji. Skończone. Wszystko ha nic. Wszystko na...

— Generale Carter! Sir! — Dźwięk był natarczywy, ostry. Głos pękał z podniecenia.

— Tak?

— „Proteusz”, sir. Porusza się.

— Wstrzymać operację! — ryknął Carter.

Wszyscy członkowie zespołu chirurgicznego spojrzeli w górę z przerażonym zdumieniem. Reid szarpnął Cartera za rękaw.

— Ten ruch może być zaledwie efektem deminiaturyzacji okrętu z wolna nabierającej szybkości. Jeśli się ich teraz nie wyciągnie, grozi im niebezpieczeństwo ze strony białych ciałek.

— Jaki to rodzaj ruchu? — zapytał Carter. — Dokąd zmierza?

— Wzdłuż nerwu ocznego, sir.

Carter gwałtownie zwrócił się do Reida:

— Dokąd oni płyną? Co to znaczy?

Twarz Reida rozjaśniła się.

— To oznacza wyjątkowe wyjście, o jakim nie pomyślałem. Kierują się do oka i na zewnątrz poprzez przewód łzowy. Może im się udać. Mogą tamtędy się wydostać, najwyżej uszkadzając jedno oko. Niech ktoś weźmie szkło mikroskopowe. Carter, zejźmy na dół.

Nerw oczny był wiązką włókien, a każde wyglądało jak sznur kiełbasek. Duval zatrzymał się, by położyć rękę na węźle między dwiema „kiełbaskami”.

— Węzeł Ranviera — powiedział niedowierzająco. — Dotykam go.

— Niech pan go dłużej nie dotyka — wydyszał Grant. — Niech pan płynie dalej i to szybko!

Białe ciała musiały pokonywać ciasną płataninę i szło im to trudniej niż pływakom. Wcisnęły się do płynu śródmiąższowego i wybrzuszały przez przestrzenie między włóknami nerwowymi.

Grant przyglądał się z niepokojem, chciał upewnić się, że to białe ciało wciąż ich ściga. To, które miało w środku „Proteusza”. Nie widział już „Proteusza”. Jeśli znajdował się w najbliższym białym ciałku, to przemieścił się tak głęboko, że przestał być widoczny. Jeśli białe ciało za Grantem nie było tym ciałkiem, wówczas Benes zostanie uśmiercony.

Nerwy skrzyły się, ilekroć uderzał w nie promień reflektora przy hełmie, a iskierki przesuwwały się wstecz w szybkim marszu.

— Impulsy świetlne — mruknął Duval. — Oczy Benesa nie są całkiem zamknięte.

— Wszystko robi się coraz mniejsze — powiedział Owens. — Zauważacie to?

Grant skinął głową.

— Z całą pewnością.

Białe ciało stanowiło teraz najwyżej połowę tego potwora, jakim było zaledwie parę chwil temu.

— Mamy tylko kilka sekund — powiedział Duval.

— Nie mogę już dalej — wyszeptała Cora.

Grant skrzył się ku niej.

— Na pewno możesz. Jesteśmy już w oku. Tylko szerokość jednej Izy dzieli nas od bezpiecznego miejsca.

Otoczył ramieniem jej talię, popychając ją. Wziął od niej laser i agregat mocy.

— Tędy i będziemy w kanale łzowym — powiedział Duval.

Byli już dostatecznie duzi, aby wypełnić śródmiąższową przestrzeń, przez którą płynęli. W miarę jak powiększali się, ich szybkość wzrastała, a białe ciała stawały się coraz mniej przerażające. Duval kopniakiem wybił otwór w błoniastej ścianie, przy której się w końcu znaleźli.

— Przechodźcie — powiedział. — Panno Peterson, pani pierwsza.

Grant przepchnął ją przez otwór i podążył za nią. Potem Owens i na końcu Duval.

— Jesteśmy na zewnątrz — rzekł Duval z hamowanym podnieceniem. — Jesteśmy poza organizmem.

— Czekajcie — powiedział Grant. — Chcę, żeby to białe ciało też wyszło. W przeciwnym razie... — Wydał pełen podniecenia wrzask: — Oto jest! Na Boga, to jest to właściwe!

Białe ciało z trudem przedostało się przez otwór zrobiony butem Duwala. „Proteusz”, czy też jego zgruchotane szczątki, był wyraźnie widoczny poprzez substancję ciała. Statek rozrósł się tak, że zajmował prawie połowę białego ciała i biedny potwór dostawał właśnie ataku niestrawności. Jednak dzielnie, choć z wysiłkiem, posuwał się dalej. Skoro raz został pobudzony do ścigania, nie mógł robić nic innego.

Trzech mężczyzn i kobieta unieśli się w górę w studni pełnej podnoszącego się płynu. Białe ciało, ledwie się ruszając, uniosło się wraz z nimi. Gładka, zakrzywiona ściana była z jednej strony przezroczysta. Przezroczysta nie na wzór cieniutkiej ściany kapilary, lecz przezroczysta naprawdę. Nie było tu śladu błon komórkowych czy jąder.

— To jest rogówka — powiedział Duval. — Tamta ściana to dolna powieka. Musimy oddalić się wystarczająco, aby zdeminiaturyzować się, nie raniąc Benesa i mamy na to tylko parę sekund.

W górze, wiele stóp nad nimi widniała pozioma szczelina.

— Tamtędy — powiedział Duval.

— Okręt na powierzchni oka! — rozległ się triumfalny krzyk.

— W porządku — powiedział Reid. — Prawe oko.

Technik przysunął szkło mikroskopu bliżej zamkniętego oka Benesa. Powiększające szkła były na miejscu. Powoli, przy użyciu wymoszczonych filcem szczypczyków, dolna powieka została delikatnie ściśnięta i odciągnięta w dół.

— Jest — rzekł uspokojony technik. — Jak cętką brudu.

Wprawnie umieścił szkiełko przy oku i wycisnął na nie łzę z cętką w środku. Wszyscy się cofnęli.

— Coś, co jest dostatecznie duże, by to zobaczyć, bardzo szybko zrobi się jeszcze większe — powiedział Reid. — Rozejść się!

Technik pośpiesznie, lecz delikatnie umieścił szkiełko na podłodze i wycofał się szybko. Pielęgniarki wytoczyły stół operacyjny przez wielkie, podwójne drzwi. Cętka na szkle mikroskopu zaczęła się powiększać. Trzech mężczyzn, kobieta i stos metalowych odłamków, wszystko to znalazło się tam, gdzie przed chwilą nie było nikogo.

— Osiem sekund do pełnej deminiaturyzacji — mruknął Reid. — Osiem...

— Gdzie jest Michaels? — przerwał Carter. — Jeżeli Michaels jest wciąż w Benesie...

Z poczuciem klęski ruszył za stołem operacyjnym, który już zniknął. Grant ściągnął hełm i machnięciem ręki przywołał Cartera.

— Wszystko w porządku, generale. Oto to, co zostało z „Proteusza” i gdzieś w tym znajdzie pan wszystko, co zostało z Michaela. Być może tylko organiczną galaretę z fragmentami kości.

Grant jeszcze nie przywykł do świata, jaki istniał naprawdę. Z kilkoma przerwami przespał piętnaście godzin i obudził się zdziwiony światem — jego światłem i przestrzenią, śniadanie zjadł w łóżku, przy którym siedzieli uśmiechnięci Carter i Reid.

— Czy reszta także dostaje takie frykasy? — spytał Grant.

— Wszystko, co można kupić za pieniądze, na razie — odrzekł Carter. — Tylko Owensowi pozwoliliśmy odejść. Chciał być z żoną i dziećmi, więc zwolniliśmy go, ale najpierw musiał nam pokrótce opisać, co się wydarzyło. Jest oczywiste, Grant, że powodzenie tej misji jest przede wszystkim pańską zasługą.

— Pod kilkoma względami, być może — powiedział Grant. — Jeżeli zechcecie przedstawić mnie do medalu i awansu, zaakceptuję to. Jeśli chcecie dać mi roczny płatny urlop, zgodzę się nawet chętniej. Szczerze mówiąc, ta misja skończyłaby się fiaskiem, gdyby zabrakło któregoś z nas. Nawet Michaels pilotował nas dość sprawnie przez większość drogi.

— Michaels — rzekł Carter z zadumą. — Ta historia o nim, wie pan, nie nadaje się do publikacji. Oficjalna wersja brzmi, że zginął podczas wykonywania obowiązków służbowych. Nic dobrego nie wynikłoby, gdyby dowiedziano się, że do CMDF przeniknął zdrajca. Prawdę mówiąc, nie wiem czy on był zdrajcą.

— Znałem go wystarczająco dobrze, aby móc stwierdzić, że nie był. Nie w zwykłym znaczeniu tego słowa — powiedział Reid.

Grant skinął głową.

— Zgadzam się. Nie był powieściowym czarnym charakterem. Poświęcił czas na to, by nałożyć na Owensa strój płetwonurka, zanim wypchnął go ze statku. Był zadowolony, że mają go zabić białe ciała, ale nie potrafił zrobić tego sam. Nie, ja myślę, że on naprawdę chciał, aby nieograniczona miniaturyzacja pozostała tajemnicą, dla, jak on pojmował, dobra ludzkości.

— Był za pokojowym wykorzystaniem miniaturyzacji — powiedział Reid. — Tak jak ja. Lecz co dobrego zrobiłoby to dla...

— Masz do czynienia z umysłem, który pod naciskiem stał się nieracjonalny — przerwał Carter. — Słuchaj, z tego rodzaju sprawami mamy do czynienia od czasu wynalezienia bomby atomowej. Zawsze istnieli ludzie, którzy sądzili, że jeśli jakieś nowe odkrycie o przerażającym podtekście zostanie zachowane w sekrecie, wszystkim to wyjdzie na dobre. Tylko że nie można zataić odkrycia, którego czas nadszedł. Gdyby Benes umarł, nieograniczona miniaturyzacja zostałaby odkryta za rok, za pięć lat lub za dziesięć. Ale wówczas oni mogliby ją mieć pierwsi.

— A teraz my będziemy pierwsi — powiedział Grant. — I co z tym zrobić? Doprowadzić do ostatecznej wojny? Być może Michaels miał rację.

— A może po obu stronach zwycięży poczucie człowieczeństwa? — rzekł sucho Carter. — Sprawy zaszły już tak daleko.

— Szczególnie gdy ta historia wyjdzie na jaw i środki przekazu rozpowszechnią opowieść o fantastycznej podróży „Proteusza” — powiedział Reid. — Wykorzystanie miniaturyzacji do celów pokojowych zostanie udramatyzowane do takich granic, że będziemy mogli wszyscy walczyć z militarną dominacją techniki, być może z powodzeniem.

Carter miał ponurą minę.

— Niech mi pan powie, panie Grant, jak pan wpadł na to, że to Michaels? — zapytał.

— Tak naprawdę na to nie wpadłem — odrzekł Grant. — To wszystko było rezultatem przemyśleń. Po pierwsze, generale, umieścił mnie pan na pokładzie statku, ponieważ podejrzewał

pan Duvala.

— Och, przecież... niech pan poczeka...

— Wszyscy na statku o tym wiedzieli. Może oprócz Duvala. To mi dało fory, ale w niewłaściwym kierunku. Najwidoczniej nie był pan pewien swoich racji, bo o niczym mnie pan nie uprzedził, a sam nie kwapiłem się, by postąpić pochopnie. Tamci byli bardzo ważnymi osobami i wiedziałem, że jeśli napadnę na kogoś i okaże się to pomyłką, pan umyje ręce i pozwoli, bym za to oberwał.

Reid uśmiechnął się lekko, a Carter spłonął rumieńcem. Nagle zainteresował się swoim cygarem.

— Oczywiście nie żywię urazy — ciągnął Grant. — Zbierać cięgi to część mojej pracy, lecz tylko wtedy, kiedy na to zasłużę. Więc czekałem, aż się upewnię, ale nigdy naprawdę pewny nie byłem. Spotkała nas seria przypadków czy zdarzeń, które mogły być przypadkami. Na przykład, został uszkodzony laser, istniało podejrzenie, że to panna Peterson go uszkodziła. Ale dlaczego tak niezdarnie? Znała tuzin sposobów, aby tak coś pokręcić, żeby sprawiając wrażenie nie uszkodzonego, nie działał należycie. Mogła tak to urządzić, żeby Duval na tyle nieprecyzyjnie wycelował, aby zniszczyć nerw czy może nawet Benesa. Prymitywne uszkodzenie lasera było zatem albo skutkiem wypadku, albo rozmyślnego działania kogoś innego niż panny Peterson. Później moja lina ratownicza odwiązała się w płucach i w rezultacie omal nie umarłem. Logicznie podejrzanym był Duval, ale to on zaproponował, żeby reflektory statku świeciły wprost do otworu i to mnie uratowało. Dlaczego próbował mnie zabić, a potem robił wszystko, by mnie ratować? To bez sensu. I tutaj również albo był to wypadek, albo moją linę odwiązał ktoś inny, nie Duval. Straciliśmy zapas powietrza. Tylko Owens mógł zaaranżować tę małą katastrofę. Potem, kiedy pobieraliśmy powietrze, Owens zaimprovizował urządzenie do jego miniaturyzacji, które uczyniło cuda. Mógł tego nie zrobić i nikt z nas nie byłby w stanie oskarżyć go o sabotaż. Dlaczego zawracał sobie głowę wypuszczeniem naszego powietrza, a potem pracował jak diabli, żeby je odzyskać? To także albo był wypadek, albo sabotaż dokonany przez kogoś innego, nie przez Owensa. Siebie w tych rozważaniach mogłem pominąć. Tak więc pozostał Michaels.

— Wywnioskował pan, że to on był odpowiedzialny za te wszystkie wypadki — powiedział Carter.

— Nie, to jednak rzeczywiście mogły być wypadki. Tego się nigdy nie dowiemy. Ale jeśli to był sabotaż, to tylko Michaels był najbardziej prawdopodobnym kandydatem. On jeden nie brał udziału w „ratunku w ostatniej chwili” i po nim jednym można by się spodziewać, że dokona bardziej wyrafinowanego sabotażu. Przeanalizujmy Michaelsa. Pierwszy wypadek to była przetoka tętniczo-żylna. Albo był to prawdziwy pech, albo Michaels rozmyślnie nas tam poprowadził. Jeśli był to sabotaż, możliwy był tylko jeden winowajca, tylko Michaels. W pewnej chwili powiedziałem to jemu. Tylko on miał możliwość zaprowadzenia nas tam. Tylko on znał układ krążenia Benesa na tyle dobrze, by zauważyć mikroskopijną przetokę i to on wyznaczył dokładne miejsce wprowadzenia nas do tętnicy.

— To mógł być pech — wtrącił Reid — po prostu błąd.

— Prawda! Ale podczas gdy we wszystkich innych wypadkach ci, którzy byli w nie zamieszani jako prawdopodobni podejrzani, zrobili wszystko, żebyśmy z tego wybrnęli, Michaels, gdy znaleźliśmy się w układzie żylnym, nastawał na bezzwłoczne przerwanie misji. Tak samo postępował we wszystkich innych przypadkach. Był jedyny, który robił to konsekwentnie. A jednak tak naprawdę nie zdradził się, dopóki się nim bliżej nie zainteresowałem i nie pokojarzyłem faktów.

— Jak to wyglądało? — spytał Carter.

— Kiedy misja się zaczęła i zostaliśmy zminiaturyzowani i wprowadzeni do tętnicy szyjnej, byłem przestraszony. Wszyscy byliśmy trochę niespokojni, delikatnie mówiąc, ale Michaels był przerażony najbardziej z nas wszystkich. Był sparaliżowany ze strachu. Wtedy przyjąłem to zupełnie naturalnie. Nie widziałem w tym nic hańbiącego. Sam byłem nieźle przerażony i, w rzeczy samej, rad byłem z towarzystwa. Ale...

— Ale?

— Ale po przejściu przez przetokę tętniczo-żylną Michaels nie okazywał już ani śladu strachu. W chwilach, gdy reszta była zdenerwowana, on nie. Był jak skała. W czasie startu komunikował mi wiele razy, że jest bojaźliwy, pewnie żeby wytłumaczyć swoje jawne przerażenie, ale przy końcu podróży był obrażony i wściekły. To wtedy gdy Duval dał mu do zrozumienia, że uważa go za tchórza. Ta zmiana postawy zaczęła być bardzo podejrzana. Odniosłem wrażenie, że istniała inna przyczyna jego początkowego strachu. Dopóki stawiał czoła niebezpieczeństwu razem z nami, był dzielny. Być może bał się, gdy w obliczu niebezpieczeństwa reszta z nas nie dzieliła z nim strachu? Niemożliwość dzielenia z kimś ryzyka, konieczność samotnego spotkania ze śmiercią, oto co czyniło z niego tchórza. W momencie startu wszyscy byli przestraszeni aktem zminiaturyzacji, ale przeszliśmy przez to bez szwanku. Potem chcieliśmy tylko dopłynąć do skrzepu, zoperować go i wydostać się na zewnątrz. To miało zająć może dziesięć minut. Michaels był jedyny, który wiedział, że tak się nie stanie. On jeden musiał wiedzieć, że będą kłopoty i że wpadniemy w wir. Owens mówił na odprawie o kruchości statku i Michaels spodziewał się śmierci. Nic dziwnego, że był bliski załamania. Kiedy bez szwanku przeprawiliśmy się przez przetokę, doznał szalonej ulgi. Po tym wydarzeniu utwierdził się, że nie wypełnimy misji. Odprężył się. Za każdym razem, gdy udawało nam się przewyciężyć jakiś kryzys, wpadał w coraz większą złość. Nie miał powodu do strachu, tylko do złości. Gdy już byliśmy w uchu, upewniłem się, że to Michaels, nie Duval jest tym, o kogo chodzi. Nie pozwoliłem, by Duval spróbował przed czasem laser. Rozkazałem odejść Michaelsowi, gdy próbowałem wydostać pannę Peterson z zasięgu przeciwciała. W końcu zrobiłem błąd. Nie zostałem z nim podczas samej operacji, a to dało mu szansę przejęcia okrętu. Moje wątpliwości zniknęły.

— Podejrzewałeś Duvala? — spytał Carter.

— Tak. Wyszedłem na zewnątrz, by pilnować operacji, chociaż nie mogłem nic zaradzić, nawet gdyby Duval był zdrajcą. Gdybym nie popełnił błędu, mógłbym przyprowadzić okręt nietknięty, a Michaela żywego.

— No, cóż — Carter podniósł się — to nie była wysoka cena. Benes żyje i z wolna wraca do zdrowia. Nie jestem pewien, czy Owens też jest tego zdania. Jest pogrążony w żałobie po swoim okręcie.

— Nie dziwię się — powiedział Grant. — To był kochany okręt. Hm... słuchajcie, nie wiecie, gdzie jest panna Peterson?

— Już na chodzie — rzekł Reid. — Miała więcej sił niż pan.

— Jest gdzieś tutaj, w CMDF?

— Tak. W gabinecie Duvala.

— Ach tak — powiedział Grant, nagle straciwszy humor. — No dobra, umyję się, ogolę i przyskam stąd.

Cora złożyła papiery.

— A więc, doktorze Duval, jeśli to sprawozdanie może poczekać przez weekend, jestem wolna, prawda?

— Tak, z pewnością — powiedział Duval. — Myślę, że przyda się nam trochę odpoczynku. Jak się pani czuje?

— Zupełnie dobrze.

— To było przeżycie wspaniałe, prawda?

Cora uśmiechnęła się i podeszła w stronę drzwi. W uchylonych drzwiach ukazała się głowa Granta.

— Panno Peterson?

Cora podbiegła do niego i uśmiechnęła się.

— W krwiobiegu było „Cora”.

— Czy nadal jest Cora?

— Oczywiście. Mam nadzieję, że zawsze będzie.

Grant zawahał się.

— Mogłabyś mówić do mnie Charles. Nawet pewnego dnia mogłoby dojść do tego, że nazywałabyś mnie dobrym, starym Charlie.

— Postaram się, Charles.

— Kiedy kończysz pracę?

— Właśnie skończyłam.

Grant potarł świeżo ogolony podbródek, po czym kiwnął głową w stronę Duvala pochylonego nad swoim biurkiem.

— Jesteś z nim związana? — spytał wreszcie.

— Podziwiam jego pracę. On podziwia moją. — Wzruszyła ramionami.

— A ja podziwiam ciebie. Czy mogę? — zapytał Grant.

Zawahała się, po czym uśmiechnęła się lekko.

— Kiedy tylko zechcesz. Dopóki zechcesz. Jeżeli... jeżeli ja także będę mogła podziwiać ciebie od czasu do czasu.

— Zawiadom mnie kiedy, żebym mógł się przygotować.

Roześmieli się. Duval podniósł wzrok, zobaczył ich w drzwiach, uśmiechnął się blado i pomachał ręką.

— Muszę przebrać się do wyjścia, a potem chciałabym zobaczyć Benesa. Zgoda? — zapytała Cora.

— A pozwolą na odwiedzinę?

Cora potrząsnęła głową.

— Nie. Ale my jesteśmy wyjątkiem.

Benes miał otwarte oczy. Spróbował się uśmiechnąć. Pielęgniarka szepnęła z niepokojem:

— Tylko jedną minutę, proszę. On nie wie, co się wydarzyło, nie mówcie mu nic na ten temat, dobrze?

— Rozumiem — odpowiedział Grant. Szeptem zwrócił się do Benesa: — Jak się pan czuje?

Benes spróbował się uśmiechnąć.

— Nie wiem. Jestem bardzo zmęczony. Boli mnie głowa i dokuczają mi prawe oko, ale zdaje się, że przeżyłem.

— Świetnie!

— Aby zabić naukowca, trzeba czegoś więcej niż puknięcie po głowie — powiedział Benes. — Matematyka sprawia, że czaszka jest twarda jak skała, co? Teraz muszę sobie przypomnieć to, co miałem powiedzieć po przybyciu tutaj. Jest to trochę mgliste, ale wraca. Jestem cały. — Uśmiechnął się.

— Byłby pan zaskoczony wiedząc, co jest w panu, profesorze — powiedział Grant.

Grant i Cora wyszli, trzymając się za ręce. Wyszli na świat, w którym nie było strachów, wojen i chorób. Była tylko radość.

* — Centralne Górskie Siły Obronne.

* — Przybrzeżny Departament Rybołówstwa Morskiego.

* — Zjednoczone Miniaturowe Siły Odstraszania.

Spis treści

Słowo Wstępne.	3
Rozdział 1 Samolot	4
Rozdział 2 Samochód.	11
Rozdział 3 Kwatera główna.	15
Rozdział 4 Odprawa.	21
Rozdział 5 Łódź podwodna.	31
Rozdział 6 Miniaturyzacja.	39
Rozdział 7 Zanurzenie.	45
Rozdział 8 Wniknięcie.	50
Rozdział 9 Tętnica.	56
Rozdział 10 Serce.	63
Rozdział 11 Kapilara.	70
Rozdział 12 Płuco.	77
Rozdział 13 Opłucna.	84
Rozdział 14 Naczynie limfatyczne.	92
Rozdział 15 Ucho.	98
Rozdział 16 Mózg.	107
Rozdział 17 Skrzep.	113
Rozdział 18 Oko.	120

*

—